

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 25 (1369) ROK XXVII

23 CZERWCA 1984 ROKU

CENA 15 ZŁ

- Nie dawać ryby temu, komu można dać wędkę
- Zapach świńskiej skóry
- Ostatni skok
- Tragedia u progu lata
- Aerobic, Jane Fonda i inne



Piotrkowska, godzina duchów

REMIGIUSZ CAŁOPALEK

Znany nam z kolejki po wódkę szef pewnego łódzkiego przedsiębiorstwa trafił w późnych godzinach wieczornych na Piotrkowską, i oto proszę państwa, spotkała go osobiwa niespodzianka.

Nim opiszemy jednak przygodę menedżera, przyznajmy uczciwie, iż w żadnym wypadku nie zasługuje ona na miejsce w literaturze, a to z tego prostego względu, że współczesna literatura unika jak ognia wszelkich przypadków, zbiegów okoliczności i zaskakujących rozwiązań.

Mamy tu oczywiście na myśli autorów ambitnych, tych których uwielbia krytyka i nienawidzą czytelnicy. Ambitny autor robi wszystko, co tylko możliwe aby jego dzieło nasycone było od początku do końca zawieszoną trucizną nudy. Pracując mierzliwie od rana do wieczora osiąga cel. Cieszy się, zaciera ręczki, widzi już zachwyczone miny krytyków. Komu się jednak wydaje, że wystarczy sama nuda, aby zyskać sobie opinię bezkompromisowego i odważnego artysty, jest w głębokim błędzie. Owszem, studentowi drze się już mordą od ucha do ucha, intelektualista zasypia już po pierwszej przeczytanej stronie, ale to jeszcze mało, drogi twórczo! Nie oszukuj się! Osiągnięś dopiero połowę sukcesu.

Prawdziwie wielka praca musi być nie tylko nudna, ale również powikłana, poplątana i niezrozumiała. Rozdziały nie mogą występować jeden po drugim, ale trzeba je potasować, bo literatura, do kurwy mamy, to nie jest żadna wyliczanka. To, że ty liczyć umiesz to my już wiemy. Teraz raczej poprzestawiaj zdania na stronie a później wyrazy w zdaniu. Krytykowi od razu uśmiechnie się gęba. Powie:

— Mało rozumie, co w tym musi być. A! patrzcie go! Przecież! Mało rozumie!

Nie od rzeczy będzie dodać, że pewien młody, zawistny autor wyrolowany na jakimś ogólnokrajowym konkursie z pierwszej nagrody pod zarzutem, że dał się mimo wszystko czytać, bluźniał w kulturalnych.

— Teraz jak ja coś napiszę, to już naprawdę nikt nic nie zrozumie! Zobaczyć! Tak pochachnę, że nie daj Bóg! Żeby tam śladali w pięciu, sześciu z komputerem i z obcymi słownikami, nie podłapią ani jednego zdania, gnoj!

Jeśli o tym wspominać, to nie bez pewnego ukrytego celu. Krótko mówiąc: chciałbym jakoś przygotować grunt pod osobiwą przygodę dyrektora, któremu wszystko nagle na Piotrkowskiej zaczęło się powtarzać. Przechodząc obok nocnego sklepu z wódką, który obleżony był tego wieczoru szaleniem, zobaczył w kolejce Intruza, a za Intruzem trzech zdecydowanie smutnych pijaczek, dialogujących w duchu szczerzej przyjaźni i głębokiego zrozumienia:

— Popijem, chłopcy do rana, a nad ranem się prześpię.

— Taa jest. Trochę się człek rozweseli.

— I odpocznę!

— Tyle że, chłopcy, słuchajcie mądrzejszego! Dzisiaj jest lepszy rozum wziąć wino. W książce o alkoholikach dochter píše, że wino lepiej działa na nerwy. No i jest tańsze. Józek weźmie trzy butelki. Heniek trzy a ja cztery. A pan dyrektor co bierze? — Zwrócił się pijaczek ze słodyczą w głosie do Intruza.

Intruz bardzo tego dnia skwaszony, rzucił krótko przez zęby:

— Wódek!

Oddał chłodny ukłon menedżerowi i zapatrzył się w kolejka, która bez wyjątku stała z dużymi torbami na szkło.

Menedżer czuł poważne duchowe opory, aby zdekonspirować się przed Intruzem, ze swego troskliwie ukrywanego nalogu, minął więc sklep, minął bramę RSW Prasa, gdzie dwie panie i trzech dżentelmenów ciągnęło już w najlepsze z butelki, wsiadł do swojego samochodu, zaparkowanego przed drzwiami baru „Rekord” i nagle zobaczył przed sobą na leżnej dziewczynę, która uśmiechała się i pukała kłykiem w okienko.

Zdenerwowany, wpuścił ją na przednie siedzenie i zapytał ostro:

— Czego?

— Dobry wieczór — powiedziała dziewczyna.

— Niech ci będzie, ale czego chcesz?

— Prawdę mówiąc, potrzebuję pieniędzy.

— Dorabiasz?

— Troszeczkę.

Menedżer przypomniał sobie poprzednie spotkanie z dziewczyną, która zaczęła go dokładnie w tym samym miejscu, ale była dużo starsza.

— Czy można w ogóle spotkać na Piotrkowskiej o tej porze panienkę, która nie dorabia? — zapytał. — Nie ty masz lat?

— Dwadzieścia.

— Co ci się stało z zębami?

— Wypadły.

— Nie możesz iść do dentysty?

— Na ubezpieczenie to rwa naraz tylko trzy — powiedziała dość zawiśle panienka, po czym, patrząc na obrączkę z którą menedżer jako wzorowy mąż nie rozstawał się nigdy, zauważyła pogodnie: — Ja też mam męża i dzieci. I pracuję, proszę pana!

— Wsiadź! — powiedział dyrektor.

— Oj, proszę pana...

— Wsiadź!

— Miałabym dla dzieci na pomidorki... I byłoby

panu przyjemnie... naprawdę...

Dyrektor sam sobie wydał się nagle przestępcą.

Waż

ROZMOWA Z RICHARDEM BOULEZEM

Kanadyjczyk RICHARD BOULEZ przyjechał do Polski z Chin w grudniu 1982 roku. Dyplomant Szkoły Tańca w Melbourne, Instytutu Sztuki w Sydney, Instytutu Mediów i Komunikacji w Sydney, uczył się tańca i sztuki pantomimicznej w Bostonie i Nowym Jorku, ukończył Wydział Rehabilitacji i Psychoterapii Uniwersytetu w Bostonie (uczył jako psychoterapeuta dzieci głuchonieme i niewidome).

Zajmuje się również performance, happeningiem i aktorstwem (film, telewizja, teatr),

zrealizował wiele zapisów video z performance, pisze teksty piosenek.

W Polsce zakończył niedawno zdjęcia do nowego filmu Krzysztofa Zanussiego „Rok spokojnego słońca”. Ostatnio mieszka w Łodzi, której mieszkańcy szokują swoim niesamowitym wyglądem (tęsa głowa, zielona lub fioletowa peruka z piór boa, malowniczy, różnokolorowy makijaż twarzy i głowy, granatowy lakier na paznokciach i stroje, stroje, które przypominają o sawrót głowy).

— Patrz i patrz na pana i nie mogę się nasyć tym wszystkim co widzę. Ten czerwony, prostokątny kołczyk ze skóry w prawym uchu!

— Nie zauważył pan drugiego obok, takiej czarnej kropki. Oznacza to, że brakuje jeszcze trzeciego kołczyka.

— Czerwona obróża ze srebrnymi kołkami na szyi?

— Jest taka sama jaką mają psy i węże.

— Ślubna obrączka na palcu?

— To symbol mojego małżeństwa ze Sztuką — na zawsze.

— Agrałki?

— Jeśli mam dziurę w kości, to spinam ją tymi agrałkami, a kożuszek zrobioną mam z samych dziur.

— Do kożuski przypiął pan zdjęcia jakichś ludzi?

— To fotografie osób, które lubię: Annie Lenoux, David Bowie i pewien polski punk.

— Kurika?

— Kupiłem ją w Łodzi na rynku i bardzo ją lubię. U was mówi się, że typu wojskowego.

— A przyceplone do niej lekarstwa w błyszczących opakowaniach?

— Świetnie odbijają światło, podobnie jak znaczki i broszki.

— Co oznacza ten napis na jednym ze znaczków?

— To moje motto: „Jeżeli chcesz wyglądać jak facet w tamtym pokoju, to idź do tamtego pokoju”.

— Widzę jeszcze na pierś polską kartę zaopatrzenia „M-1”?

— To symbol Polski. Ponadto nie jestem kanibalem, dlatego noszę nie wykorzystane kartki mięsnego zaopatrzenia.

— I swoją kolorową fołkę?

— Pochodzi z filmu „Księżycowa droga”, w którym grałem m.in. erotycznego sadyście.

— Widzę szczątki pudełka po papierosach!

— Po papierosach „Gitane” z filtrem, tych których nie palę.

— Ale najbardziej szokujące i dwuznaczne jest to czerwone światełko odbłaskowe przyceplone do rozporoka spodni?

— Ono ma przeznaczenie praktyczne i ważne. Światełko zamontowałem przy rozporoku po to, aby

10

6

Odgłosy

Adres redakcji: 90-138
Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny
i sekretariat redakcji:
36-52-44,

zastępca redaktora
naczelnego, sekretarz
redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Tomasz Sas.
Sekretarz redakcji: Andrzej
Karolczak.

Zastępca sekretarza
redakcji: Grażyna
Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Igor Sikiryci.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorożyński,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Jerzy

Kwieciński, Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki, Karol

J. Stryjski, Paweł

Tomaszewski, Jolanta

Wrońska.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażejowski,

Edward Bryl, Krzysztof

Drzewiecki, Grzegorz

Gazda, Bohdan Gadomski,

Witold Kasperkiewicz,

Włodzimierz Krzemiński,

Edmund Lewandowski,

Krzysztof Namysłowska,

Jerzy Panasewicz, Ewa

Pankiewicz, Jerzy

Wilmański.

Wydawca: Łódzkie Wydawni-

ctwo Prasowe RSW, „Prasa —

Książka — Ruch”, 91-103 Łódź,

ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-

ficzne RSW „Prasa — Książka

Ruch” 90-950 Łódź, ul. Armii

Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-

możonych rękopisów i zastrze-

ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla

instytucji i zakładów pracy:

instytucji i zakłady pracy zlo-

kalizowane w miastach woje-

wódzkich i pozostałych miastach,

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach:

instytucji i zakłady pracy zlo-

kalizowane w miejscowościach

RSW „Prasa — Książka —

Ruch” i na terenach wiejskich

opłacają prenumeratę w urze-

dach pocztowych i u doręczycieli.

2. dla indywidualnych prenume-

ratów: osoby fizyczne zamiesz-

kałe na wsi i w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów

RSW „Prasa — Książka —

Ruch” opłacają prenumeratę w urze-

dach pocztowych nadawczo-oddaw-

czych właściwych dla miejsca

zamieszkania prenumeratę.

Wpłaty dokonuje się używając

„blankietu wpłaty” na rachunek

bankowy miejscowego Oddziału

RSW „Prasa — Książka —

Ruch”. 3. Prenumeratę ze zlecen-

iem wysyłki za granicę przyjmuje

RSW „Prasa — Książka —

Ruch”. Centrala Kolportażu

Prasy i Wydawnictw, ul. Towar-

owa 28, 00-938 Warszawa, kon-

to NBP XV Oddział w Warsza-

wie nr 1153-201045-139-11. Pre-

numerata ze zleceniem wysyłki

za granicę pocztą zwykłą jest

droższa od prenumeraty krajowej

o 50 proc. dla zleceniodawców

indywidualnych i o 100

proc. dla zlecających instytucji

i zakładów pracy. Terminy

przyjmowania prenumeraty na

kraj i za granicę: — do dnia 10

listopada na I kwartał i półro-

cze roku następnego oraz cały

rok następny — do dnia 1 każ-

dego miesiąca poprzedzającego

okres prenumeraty roku bieżą-

cego.

Zam. 1733, E-2

Odgłosy

2 ODGŁOSY

Przegląd prasy

Rozmowa jako sposób dzien-
nikarskiej wypowiedzi staje się
coraz popularniejsza. Jedni u-
trzymują, że jest to skutek o-
bawy przed wypowiedzianiem się
samemu. Dziennikarz zdając so-
bie sprawę, że w takich czy in-
nych zagadnieniach społecznych
bądź gospodarczych nie staje
mu wiedzy, nie orientuje się
dość dobrze w zawiłościach,
woli oddawać głos swemu roz-
mówcy niż wypowiadać się sa-
memu. Sądzę, że nie jest to ani
jedyny, ani decydujący powód,
z którego bierze się popularność
rozmów. W moim przekonaniu
wynika ona przede wszystkim
z faktu, że społeczeństwo nasze
jest bardzo różnicowane, że
mamy do czynienia z wielością
różnych poglądów na sprawy
tak ważne, jak i błahe, że
wreszcie ludzie chcą wiedzieć,
czy ich wątpliwości i poglądy
podzielają bądź nie ludzie nie
tylko utytułowani, ale spacia-
liści różnych dziedzin wiedzy,
ludzie o dużym doświadczeniu.
Obowiązkiem zatem dziennika-
rza jest taka wiedza dostarczyć
czytelnikom. Stąd nie tyle po-
пулярność, ile zapotrzebowanie
na dziennikarskie rozmowy z
różnymi ludźmi, nieraz na ten
sam temat.

Oto na przykład wielu lu-
dzi chciałoby się dowiedzieć.

CZY ALEKSANDER KOPEĆ JEST PRZECIWNY REFORMIE GOSPODARCZEJ?

Takie jest bowiem dość po-
wszechnie mniemanie. Co zatem
powinien zrobić dziennikarz?
Powinien udać się do prezesa
NOT i zapytać go o to. Tak
właśnie zrobił Wojciech Ko-
czanowicz, a rozmowę opubliko-
wał w „EXPRESSIE WIE-
CZORNYM — KULISTY” (nr 9-
11 czerwca 1984 r.). Tytuł
rozmowy: „Dzisiaj lepiej wi-

— „Chcę podkreślić bardzo
mocno — powiedział Aleksander
Kopeć — jestem i zawsze by-
łem zdecydowanym zwolenni-
kiem reformowania gospodarki
w poszukiwaniu nowych roz-
wiązań przynoszących w efek-
cie rozwój gospodarki i podno-
szenie stopy życiowej społec-
zeństwa”.

Wobec tego przeciw czemu
jest prezes NOT?

— „Jestem i byłem również
zdecydowanym oponentem roz-
wiązań nie podnoszących efek-
tów. Szczególnie leżą mi na ser-
cu sprawy postępu techniczne-
go, ze względu na moją wielo-
letnią pracę w przemyśle. Bo-
leje nad tymi mechanizmami
ekonomicznymi, które prowa-
dzą do wiatu w myśli technicz-
nej, pogarszają sytuację pol-
skiego przemysłu, zniechęcają
do pracy inżynierów”.

A jakie to są mechanizmy?

— „Wymyślony przez refor-
matorów podatek obrotowy wy-
susa z przedsiębiorstwa środki
finansowe tak, iż nie jest ono
w stanie odtworzyć zużytego
parku maszynowego, nie mó-
wiąc już o inwestowaniu w
postęp techniczny. Co w takim
razie robią zakłady ekono-
miste, żeby ich firma wyszła
na swoje? Podnoszą ceny. Te-
raz robotnicy naciskają na pla-
ce, złotówek na rynku coraz
więcej a towarów proporcjo-
nalnie nie przybywa... Co ma
krytyka takiego stanu rzeczy do
krytyki odnowy czy reformy.
Inżynierowie są zwolennikami
racjonalnego myślenia i odrzu-
cają to, co jest sprzeczne z lo-
giką. Jesteśmy obrońcami idei
reformy realnej i przeciwnika-
mi niedoceniania roli nauki i
postępu technicznego w zmi-
nach struktury gospodarczej”.

Wojciech Koczanowicz, wy-
słuchawszy tych poglądów, za-
daje również logiczne pytanie,
dlaczego Aleksander Kopeć —
minister przemysłu maszyno-
wego, a później wicepremier
w latach siedemdziesiątych —
nie realizował tych idei w
praktyce, a raczej robił jakby
coś innego, przez co do dziś
mamy kłopoty ze spłatą dłu-
gów. Aleksander Kopeć nie
zgadza się jednak z takim po-
glądem. Mówi:

— „W ciągu 10 lat Minister-
stwo Przemysłu Maszynowego
Kupilo na Zachodzie maszyn,
urządzeń, surowców i koopera-
cji za sumę 18 mld złotych de-
wizowych, zaś eksport wyniósł
20 mld złotych dewizowych.
Warto różne mity rozbić. O-

staty Moskwy nie przekro-
czą 1 proc. całkowitego za-
dłużenia Polski na Zachodzie. Te wszy-
stkie zakupy spłaciły się już
dawno z nadkładem, a w kra-
ju pozostały nowoczesne miej-
sca pracy i niezłe technologie...
Dzisiaj ponad połowa eksportu
pochodzi właśnie z tej gałęzi
przemysłu”.

Pieniądze, ale jakoś pożyczone
na Zachodzie pieniądze roze-
szły się. Aleksander Kopeć au-
geruje, że przedjedliśmy po pro-
stu te pieniądze. „Świadomie
założono — mówi — że pro-
gram konsumpcyjny może być
realizowany tylko w oparciu o
importowane zboże i pasze, na
bazie kredytów zagranicznych.
Zapominamy, że połowę ich
przeznaczaliśmy na konsumpcję
i traktujemy to dziś tak, jakby
tego faktu nie było”.

Cóż więc mamy dziś robić?
— „To, co powiem — od-
powiada A. Kopeć — znów
będzie pod prąd opinii więk-
szości: trzeba te pieniądze zna-
leźć za wszelką cenę, nawet za
cenę dalszego ograniczenia Kon-
sumpcji. Jeżeli nie uruchomimy
tych maszyn, jeżeli nie kupimy
lub nie zbudujemy nowych —
kto będzie za nas produkował
tak potrzebne towary? Zatrzy-
mamy się, węgryjąc na kart-
kach, patrząc jak dookoła coraz
bogatsze, nowoczesniejsze spo-
łeczeństwa innych krajów od-
dalają się na dystans, który już
będzie nie do odrobienia. I
jeszcze jedno: decyzji, które
trzeba podjąć w tym względzie,
nie wymusi żadna reforma, te
decyzje muszą być podjęte cen-
tralnie”.

Podobny pogląd zaprezentow-
ał w „TYGODNIKU POL-
SKIM” (nr 24 z 10 czerwca
1984 r.) prof. Janusz Tymowski,
który uważa, że

NIE MA INNEGO WYJŚCIA, JAK SOLIDNIE WZIĄĆ SIĘ DO PRACY

Istnieje bowiem potrzeba dal-
szego inwestowania, bez tego
bowiem nie będzie postępu,
zatrzymamy się w miejscu. A
środki na inwestycje musimy
znaleźć sami.

— „Trzeba by rzeczywiście
przeznaczyć więcej na inwesty-
cje. Przy tym zadłużeniu, jakie
mamy, na większe kredyty za-
graniczne, dzięki którym mogli-
byśmy przeprowadzić na więk-
szą skalę restrukturalizację na-
szego przemysłu, liczyć nie
możemy. Musimy zatem oprzeć
się na własnych siłach, wyko-
rzystując te zasoby ludzi wy-
soko kwalifikowanych, które
mamy, a wobec tego trzeba
się zdobyć na to, aby na pe-
wien czas obniżyć średni stan-
dard życiowy. Ale społeczeń-
stwo musi uwierzyć, że innej
drogi nie ma i że to obniżenie
standardu życiowego i zwią-
zane z tym wyrzeczenia nie bę-
dą smaczne”.

Janusz Tymowski — z któ-
rym rozmawia Edmund Mo-
szyński, a rozmowa nosi tytuł:
„Wyrzeczenia będą konieczne”
— nie jest tak optymistycznie
nastawiony do niedalekiej prze-
szłości. Obiektywnie ocenia ca-
łe 40-lecie, wyliczając, jakie
dało niezaprzeczone rezultaty
dla rozwoju naszej gospodarki
i społeczeństwa, wymienia bra-
ki, ale też krytycznie odnosi się
do ostatniego dziesięciolecia.
Mówiąc na przykład: „niestety,
nie doceniliśmy przemysłu o-
brabiarkowego”. Otóż pracuje u
nas 400 tys. obrabiarek, w tym
75 tysięcy liczy sobie przeszło
25 lat. Obrabiarka nie powinna
w przemyśle pracować dłużej
niż 15 lat. Aby mieć możliwość
dokonywania takiej wymiany
powinniśmy rocznie produk-
ować około 30 tysięcy obrabi-
arek, a produkujemy... 12 tysią-
cy.

Zdaniem prof. Janusza Ty-
mowskiego występują obecnie
dwa zagrożenia. Pierwsze —
„zahamowanie postępu technicz-
nego”, drugie — „dekla-
nicznego”, czyli szybkie zuży-
wanie się maszyn i urządzeń
w przemyśle. Jako miernik za-
hamowania postępu technicz-
nego prof. J. Tymowski wymienia
ilość polskich patentów przy-
znawanych za granicą w 1980
roku było ich 130, w 1981 —
66, w 1982 — 43, w 1983 — 40.
Nasze wyroby są przestarzałe,
nie znajdują zbytu w krajach
strefy dolarowej, ale też nie
znajdą chętnych w krajach
RWPG.

Trzeba zmienić strukturę prze-
mysłu i wziąć się do solidnej
pracy.

— „Obecna struktura — mó-
wi J. Tymowski — naszego
przemysłu jest wadliwa. Po-
winniśmy się oprzeć przede
wszystkim na przemysłach, któ-
re mają krajową bazę surow-
cową lub na przemysłach, w
których zdobyliśmy sobie u-
gruntowaną pozycję. Polska

przemysł włókienniczy opiera
się na surowcach przywóz-
nych, ale jest właśnie jednym
z tych przemysłów, które taką
pozycję osiągnęły... Mamy więk-
szość surowców potrzebnych
przemysłowi chemicznemu. U-
zasadnione jest u nas rozwija-
nie przemysłu rolno-spożywu-
czego... Trzeba więc rozwijać
takie przemysły, które spowo-
dzą maksymalny przerób su-
rowców krajowych, a myślny
nastawili się na przerób su-
rowców zagranicznych”.

Musi się też wiele zmie-
nić w sposobie myślenia ludzi,
przede wszystkim młodych.

A JACY SĄ NASI STUDENCI?

Prof. Janusz Tymowski wylicza
12 wad polskich studentów.
Wymienia je: 1. poszanowa-
nie dla papierka a nie wiedzy,
2. słabe zainteresowanie tem-
tem studiów, 3. brak samodziel-
ności i odpowiedzialności, 4.
brak systematyczności, 5. brak
umiejętności. Integracja
różnych wiadomości, 6. posta-
wa: „nie wychylać się”, 7. nie-
terminowość, 8. lekceważenie
wiedzy społeczno-politycznej, 9.
nieznajomość języków obcych,
10. niechęć do korzystania z
konsultacji, 11. brak dbałości o
majątek społeczny, 12. brak
chęci do rozpoczęcia samo-
dzielności życia. Pewien młody
człowiek zapytał synową pro-
fessora J. T.: — „Powiedz mi,
Kasiu, co tu trzeba robić, żeby
nie być idiotą?”. Młodzi ludzie
nagminnie chcą, wyjechać na
Zachód, nie żeby się uczyć, jak
później lepiej pracować w Pol-
sce, ale żeby się dobrze tam
urządzić w myśl zasady, gdzie
mi dobrze, tam ma być czarna...
Takich ludzi kształcimy w
naszych szkołach, takie wzory
przekazuje im starsze społec-
zeństwo. Nic więc dziwnego,
że Ryszarda Moszczeńska z
„ŻYCIA WARSZAWY” (nr 12
czerwca 1984 r.) zapytała w
związku z końcem roku szkol-
nego ministra oświaty i wy-
chowania o ocenę pracy szkoły
i dowiedziała się, że

MINISTER BOLESŁAW FARON JEST ZADOWOLONY

z wyników pracy kierowanego
przez siebie resortu. Nastąpiła
bowiem dalsza stabilizacja, ale
„czeka nas batalia o jakość
pracy szkoły i nauczyciela”.
Czeka też wysiłek wybudowa-
nia przedszkoli i szkół. Jest to
niezbędne dla prawidłowego
kształcenia, ale też nie będzie
to łatwa. Min. Bolesław Faron
wypowiedział się też w spra-
wie łatwiejszego dostępu do
szkół dzieci robotników i chło-
pów:

— „Hasło dostępu całej mło-
dzieży do dalszych, tzn. śred-
niego i wyższego, etapów
kształcenia wynika z ograniczenia
z naszego socjalistycznego us-
troju. Sam problem podawa-
ny jest często w sposób wielce
uproszczony. Nie rozwiąże go
tylko budowa internatów, więk-
sze stypendia dla uczniów, kur-
sy przygotowawcze, punkty
preferencyjne itd. Rzecz bo-
wiem polega na podnoszeniu
stopnia cywilizacyjnego spo-
łeczeństwa, od tego np. czy usze-
dnie jest dostęp do podstawo-
wych przejawów tej cywiliza-
cji, do radia, telewizji, prasy,
książki. Potem dopiero to gre
wchodzi poziom oświaty, jakość
kadry, internaty, pomoc ma-
teriarna. Narzeka się na mały
procent młodzieży pochodzącej
robotniczego i chłopskiego
środków uczniowskich ogólnie-
kształcących i na studiach. Lecz
trzeba pamiętać o budżecie
motywacji do uczenia się,
wspieraniu aspiracji edukacyj-
nych. Tymczasem obserwujemy
raczej pewną dewaluację war-
tości wykształcenia, stąd wła-
nie ostatnio spadek zaintereso-
wania wyższymi szczeblami
nauki, a ogromne powodzenie
praktycznej nauki zawodów,
zwłaszcza rzemieślniczych, któ-
re pozwalają na szybkie auto-
modzielnie się i niezłe za-
robić”.

Realizacja tego hasła wyma-
ga zatem nie tylko zabiegów
organizacyjnych, lecz przede
wszystkim zmiany świadomości
społeczeństwa, pobudzenia mo-
tywacji do kształcenia się. Jest
to na pewno proces długi i za-
leży nie tylko od oświaty”.

Zawsze powtarzam i powta-
rzam, że dopóki nie będzie-
my należeć do państwa z dobrą
pracą, póki praca złożona bę-
dzie niżej nagradzana od pra-
cy prostej, to młodzi, dynami-
czni, a niecierpliwi ludzie będą
woleli iść w rzemieślniki niż
w doktory i inżynierów.

LUCJAN BOGUSZ

Minał tydzień

WYBORY BYŁY NAJWAŻNIEJSZYM WYDARZENIEM

minionego tygodnia. W niedzielę, 17 czerwca 1984 roku, niektó-
re rozgłoszenie radiowe i telewizyjne kilkakrotnie informowały
o przebiegu wyborów w Polsce. Wybrał się w całym kraju
przeszło 7 tysięcy radnych do rad wojewódzkich i przeszło
103 tysięcy radnych do rad narodowych stopnia podsta-
wowego. Niemal przez cały dzień ciągnęli ludzie do lokali wy-
borczych, które w większości wypadków były otwarte do godzi-
ny 20. Jak poinformował — krótko po północy, a więc już 18
czerwca, — sekretarz Państwowej Komisji Wyborczej, Edward
Szymański, na konferencji w „Interpresie” dla dziennikarzy
polskich i zagranicznych, w kilkuset lokalach wyborczych ko-
misje wcześniej przystąpiły do liczenia głosów, gdyż wszyscy
dokonali wyborów. Ogółem pracowało 19 654 komisji wybor-
czych.

Najliczniej poszli do urn wyborczych mieszkańcy małych
miast i wsi. Głosowano całym rodzinami. Pod lokale wyborcze
podjeżdżały autobusy, samochody strażackie, furmanki.
Edward Szymański poinformował też dziennikarzy, że frek-
wencja była dobra. Według wstępnych danych w całym kraju
wyniosła ona powyżej 75 proc. Była jednak różnicowana. Jed-
nak na dokładne dane trzeba poczekać jeszcze kilkanaście go-
dzin. Dane te powinny zostać opublikowane 19 czerwca.
Nie obeszło się też bez zakłócenia spokoju. Do prakrych wy-
padków doszło w Nowej Hucie, gdzie grupa młodych ludzi de-
monstrowała swój sprzeciw, trudno powiedzieć przeciw czemu,
a wyrażał się on głównie rzucaniem kamieniami.

Wielu wyborców wypowiadając się przed kamerami TVP
podkreślało, że Polsce potrzeba przede wszystkim spokoju i
zgody, że musimy się porozumiewać nie tylko w deklaracjach,
ale przy wspólnej pracy. Frekwencja wyborcza — a przecież
opozycja wzywała do bojkotu wyborów — pokazała, że zdecy-
dowana większość nas jest za tym spokojem, zgodą i chce mieć
dobre warunki do pracy. Pokazaliśmy, że przyszłość Polski jest
naszą najważniejszą troską.

Wybory to oczywiście dopiero początek obranej drogi. Doko-
naliśmy świadomego wyboru, ale teraz ludzie przez nas wybra-
ni muszą z całą odpowiedzialnością spełnić te zadania, do jak-
ich się publicznie zobowiązali i jakie wynikają z ustawy o
radach narodowych i samorządzie terenowym. A my — wy-
borcy — powinniśmy ich stale kontrolować i śmiało wyrażać
swoją opinię o ich pracy. Wszystko to będziemy robili dla na-
szego wspólnego dobra, dla naszej wspólnej przyszłości.

HALINA AUDERSKA ODWIEDZIŁA

łódzki oddział Związku Literatów Polskich. W długiej, szczerzej
rozmowie z łódzkim środowiskiem pisarskim mówiła o sytuacji
ZLP, która, wbrew nieprzychylnym i wrogim prognozom z Za-
chodu, znacznie ustabilizowała się. Do tego czasu akces do od-
nowionego Związku zgłosiło 602 pisarzy, a także przyjęło 26
kandydatów, którzy w niedalekiej przyszłości staną się rzeczy-
wistymi członkami.

Dowodem normalizacji są także i takie fakty: podpisanie
umów o współpracy ze związkami pisarzy z krajów socjali-
stycznych, wyjazdy zagranicę, zainteresowanie jakie amba-
sady krajów zachodnich, pragnących podpisać odpowiednie u-
mowy o współpracy przejawiają działalnością ZLP.

ZLP jest otwarty dla wszystkich piszących, lecz nikogo się
nie zamierza ani kłopotować, ani specjalnie zapraszać do wsta-
pił w jego szeregi. Co prawda, wielu pisarzy pozostaje nadal
poza Związkiem, ale wypływa to albo z faktu, że niektórzy
przeszli do jawnej opozycji, albo po prostu nie zdążyli jeszcze
zrewidować swojego stosunku do tego, co wydarzyło się w
kraju po 13 grudnia 1981 r.

W czasie spotkania mówiono wiele także o sprawach byto-
wych: o rentach dla literatów, o podatku wyrównawczym, o
stawkach autorskich, o zastraszającym wydłużającym się cyklu
wydawniczym książek i o Funduszu Literatury.

HARCERSKĄ NAGRODĘ LITERACKĄ ZA ROK 1984

za całą swoją pracę literacką dla dzieci otrzymał ostatnio
IGOR SIKIRYCKI.

WSRÓD NAGRODZONYCH

przez przewodniczącego Komitetu do Spraw Radia i Telewizji
za twórczość i działalność radiową i telewizyjną znalazł się
HENRYK SMOLAGA — redaktor w łódzkiej rozgłoszeni Polskie-
go Radia, który nagrodzony został za publicystykę na tematy
wiejskie i rolne.

Obu laureatom serdecznie gratulujemy!

CUD W BIERUTOWICACH

polega na tym — jak donosi „Kurier Polski” — że na drodze
między domem wczasowym „Orlen” a Dzikim Wodospadem na
ręce Łomnicy samochody jadą same — z wyłączonym silni-
kiem — pod górę, zamiast — jak nakazują prawa przyrody —
jechać z góry do dołu. Reporterzy „Kuriera Polskiego” dokonali
iż też innych doświadczeń. Duża piłka na drodze toczyła się
również pod górę, próbowano też ustawić poziomice, ale ona
uparcie wskazywała zupełnie coś odwrotnego, niż to co było
widac gołymi oczyma, spadek w drugą stronę czyli pod górę.
Reporterzy „Kuriera Polskiego” uznali to za cud.

Jeden z naszych redakcyjnych kolegów przed laty był w Te-
heranie i tam widział podobne zjawiska na tak zwanej górce
magnetycznej. Jechał nawet samochodem pod górę z wyłącz-
onym silnikiem. Nikt tego nie uważał za cud. Musi być prze-
cież jakieś wyjaśnienie takich zjawisk, bo przykład teherański
pokazuje, że Bierutowice nie są wyjątkiem.

„Kurier Polski” apeluje do swoich czytelników, aby pisali
listy i donosili gdzie jeszcze w Polsce występują podobne
dziwne zjawiska. Zachęcamy!

BÓKA W WINDZIE HOTELU „CENTRUM”

znalazła swoje zakończenie. Urzędnik z Wrocławia, któremu
wybito zęb, wycofał oskarżenie. Sprawy nie ma. Tak więc z
dwu przynajmniej wersji wydarzenia w windzie hotelu „Cen-
trum” — jednej, że uderzył gitarzysta basowy „Lady Pank”, a
właściwie ktoś z jego ochrony i drugiej, że zaczął urzędnik z
Wrocławia i w odpowiedzi dostał po głbie aż stracił zęb —
żadna nie zostanie do końca wyjaśniona. Może to i lepiej.

Plakat wojkowy towarzyszył polskiemu żołnierzowi w jego frontowej drodze z Siles pod Lennem, do Sum i Zytomierza, z jednostek formowania w ZSRR na ziemi polskiej.

Początkowo był to improwizowany plakat wykonany ręcznie bardziej lub mniej udolnie. Autorami byli zarówno zawodowi plastycy jak i rysownicy-amatorzy.

Warunki do wykonania artystycznego plakatu powstały dopiero po wyzwoleniu Lublina. Na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. zorganizowano tam przy Centralnym Domu Żołnierza pracownię plakatu frontowego. Jej kierownikiem został art. plastyk Włodzimierz Zakrzewski, absolwent Warszawskiej Szkoły Sztuk Zdobniczych, który po 1939 roku kontynuował studia w Moskwie, a następnie jako ochotnik zgłosił się do wojska polskiego w ZSRR.

Obok Zakrzewskiego rozpoczęli pracę w powstałej pracowni artyści plastycy: Mieczysław Tomkiewicz (absolwent Akademii Sztuk Plastycznych w Krakowie) oraz Jan

ma do końca grudnia 1944 r. wykonano ręcznie 28 plakatów szablonowych w łącznym nakładzie 8736 sztuk. Próby zdobywania maszyn litograficznych nie powiodły się, natomiast pozyskano kilku nowych zdolnych szablonistów, a to umożliwilo wykonywanie od 500 do 800 plakatów na dany temat.

W styczniu 1945 r. ruszyła gigantyczna ofensywa Armii Radzieckiej i Wojska Polskiego. Kolektyw pracowni zdawał sobie sprawę ze zwiększającego się zapotrzebowania na polski plakat na wyzwolanych każdego dnia, coraz to nowych obszarach. Pracowano w gorączkowym pośpiechu po 14-15 godzin na dobę. Gotowe plakaty natychmiast wysyłano do jednostek frontowych z załączeniem rozkazania ich w wyzwolonych miejscowościach.

Na wiadomość o wyzwoleniu Warszawy plakat „Warszawa wolna — na Berlin” powstał dosłownie w ciągu 24 godzin, chociaż powielanie egzemplarzy trwało kilka dni. Ten plakat zaprojektowany przez Jana Kulikowskiego wykonano w

—1954) tworzył w latach 1931—1939 w zakresie grafiki użytkowej i plakatu. W 1933 r. uzyskał nagrodę na konkursie plakatu dla PKO, w 1935 r. i nagrodę za plakat dla Browaru Tychy, a w 1937 r. i nagrodę na wystawie „Sztuka i Technika” w Paryżu (wymieniam tylko przykładowo niektóre sukcesy bardzo młodego grafika). Jego projekty określano jako fascynujące. Posługiwał się zrozumiem dla przeciętnego odbiorcy alegoria, natomiast poszczególne elementy kompozycji rysunkowej były wykonane bardzo precyzyjnie i realistycznie, a równocześnie umiejętnie posługiwał się on kontrastami barw i otwierał grę światła. Litografowie w Łodzi wielokrotnie podkreślali, że plakaty Trepkowskiego wykonują ze szczególną troskliwością, ale równocześnie z satysfakcją.

Pierwszym litografowanym plakatem, który wykonano w Łodzi w nakładzie 5000 egzemplarzy był plakat Aleksandra Radziewicza-Winnickiego „Na Berlin”. Zmieniająca się sytuacja wojenna wymagała bardzo

nie) „Chwała Armii Czerwonej”. Ten ostatni jest urzekający poprzez swoją prostotę. Na tle nieba błyszczą nieciermienna gwiazda, a pod nią spada pionowa (właściwie dynamiczna) swastyka. W górnej części napis „Chwała Armii Czerwonej”, na dole „1918—1948”.

Zakończenie wojny nie przerwało działalności projektantów plakatów wojennych. Zauważano wykonywanie plakatów przez szablonistów. Kilku podoficerów plakaciarni zasililo skład osobowy drukarni. Z czasem zdobyli oni kwalifikacje maszynistów drukarskich (Młinski, Rozbicki, Szlachetko) i będą pracowali aż do dostarczenia emerytury w Łódzkiej Drukarni Wojskowej.

Od czerwca 1945 r. zmieniła tematyka plakatów wojskowych. Mobilizowały one do walki na froncie, obecnie będą mobilizowały do pracy i odbudowy, równocześnie będą propagowały nasze tradycje historyczne i wydarzenia aktualne.

W latach 1945—1947 plakat wojskowy był pod względem artystycznym plakatem człowieka plastycznego kraju, a stare, łódzkie maszyny litograficzne, jeśli chodzi o wykonawstwo, konkurowały z nowoczesną techniką offsetową.

W dalszym ciągu plakat wojkowy prezentował najczęściej ujęcie alegoryczne, łatwe do odczytania, przykuwające wzrok ze względu na doskonałość formy i mała ilość elementów kompozycyjnych.

Do najbardziej udanych plakatów okresu bezpośrednio powojennego należy zaliczyć: Tadeusza Trepkowskiego „Bromia i praca”, „Grunwald 1410 — Berlin 1945”, „Nie powtórz się nigdy... 1939” „Lenino 12.X. 43”.

Graficy łódzcy Brudzewski i Świątkowski (pracownicy litografii) zaprezentowali plakat „Odra i Nysa — Zachodnia granica Polski”, a Włodzimierz Zakrzewski był autorem bardzo popularnego plakatu „Przypomnijmy sobie w Norymberdze” — na tle lasu żołnierskich krzyży wznosił się wyeksponowany, duży prosty drewniany krzyż pod nim wisząca kwiata i napis „Przypomnijmy sobie w Norymberdze”.

Tak, jak w okresie wojny odbiorcami wojskowego plakatu oprócz wojska była także milicja i władze administracyjne, tak po dniu zwycięstwa zaczęły poszukiwać plakatu wojskowego szkoły, zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych. Łódzkie kuratorium, a także dyrektorzy niektórych szkół bezpośrednio zwracali się do kierownika litografii lub dyrektora drukarni z prośbą o ofiarowanie chociażby paru plakatów. O ile pamiętam prośby te były spełniane, choć nie w takim zakresie, jak tyczyły sobie petencje.

Łódzka drukarnia GZPW WP wykonywała litografowane plakaty wojskowe do 1948 roku. W tym czasie grupa artystów projektantów (Trepkowski, Zakrzewski, Tomkiewicz, Kulikowski) przeniosła się do Warszawy. Nastąpiła reorganizacja wojskowego przemysłu poligraficznego. W Łodzi na miejsce drukarni Głównego Zarządu Polityczno-Wojskowego i Drukarni Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego (podporządkowana była Sztabowi Generalnemu) powstała jedna drukarnia wojskowa, stanowiąca agendę poligraficzną „Prasy Wojskowej” (obecnie drukarnia wojskowa Wydawnictwa MON).

Artyści graficy łódzcy i projektodawcy plakatów wojskowych Ryszard Brudzewski oraz Paweł Świątkowski po zdemu bilizowaniu z wojska przekształcili się w znanych i cenionych grafików-dekoratorów, którzy nadal tworzą w rodzinnym mieście.

Natomiast łódzki wojskowy plakat litograficzny zakończył w latach 1948—49 swój żywot. Bardziej nowoczesna technika offsetowa uruchomiona w wojskowej drukarni w Warszawie wyparła mniej wydajną, bardziej kosztowną technikę litograficzną.

Łódź przestała wykonywać plakaty wojskowe, ale pozostała pamięć o wojennych latach „górnych” choć chmurnych, kiedy łódzki plakat towarzyszył żołnierzowi polskiemu w ostatnich miesiącach walk, a pierwsze broszury polskie informowały o historii i zasobach Ziemi Odzyskanych. Wyszły one także z łódzkiej, wojskowej oficyny drukarskiej. Z nich nie tylko wojskowi, ale i cywile dowiadawali się o przeszłości i bogactwie ziem nad Odrą i Nysą, ziem, które po stuleciach wróciły do macierzy.

Atmosfera zwycięstwa i radość z zakończenia wojny oddała chyba najlepiej Tadeusz Trepkowski w plakacie „Chwała wyzwolicielom” i drugimi plakacie (wykonanym po woj-

Nie dawać ryby temu, komu można dać wędkę

Nie znalazłem tego powiedzenia i bardzo mi się spodobało. Usłyszałem je 14 czerwca 1984 roku w czasie spotkania przedstawicieli duchowieństwa różnych wyznań i działaczy stowarzyszeń chrześcijańskich z członkami Biura Politycznego i sekretarzem KE PZPR — TADEUSZEM CZECHOWICZEM. Powiedzenie to miało dotyczyć tych ludzi, którym państwo daje różne świadczenia, mimo że mogliby jeszcze zarobić na życie. Ale sądzą, że można je odnieść do całego spotkania.

Mówimy często, że społeczeństwo nasze jest podzielone, króćnicowane. Taką jest prawda. To społeczeństwo żyje jednak w określonym geograficznie miejscu i w określonym historycznie czasie. Skoro jego członkowie wyznają różne światopoglądy, należą do różnych kościołów, bądź są poza kościołami, mają różne poglądy na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, to przecież mają jedną ojczyznę i taką samą powinność jej służenia i jej bronięcia. To ich łączy. Muszą zatem, z różnych punktów widzenia wychodząc, szukać tego, co ich łączy, aby znaleźć wszystkie wspólne punkty i płaszczyzny, które pozwoliłyby na wspólną troskę o przyszłość Polski. A zatem — mówiono na tym spotkaniu — skoro już Polacy się różnią, to niech te różnice mają twórczy charakter, niech przyczyniają się do wspólnej troski o przyszłość narodu i niech nie dzielą nas we wspólnej pracy. Różnić się — mówiono — nie znaczy dzielić się.

Żeby jednak różnice nie przekształciły się w podziały musza być spełnione określone warunki. Po pierwsze — trzeba szanować tego, z kim się różnimy, widzieć w nim partnera, a nie tylko przeciwnika. Po drugie — należy w każdym widzieć przede wszystkim człowieka, a dopiero później jego poglądy, przynależność narodową, religijną. Po trzecie — musi istnieć szacunek dla każdej pracy, dla tego, co człowiek robi i jak robi. Człowiek powinien wykonywać swoją pracę ze świadomością, że robi to dla ludzi, a nie przeciw ludziom. No i po czwarte — wartości te muszą leć u podstaw wychowania.

W życiu przecież nie jest tak pięknie jakby się wydawało, jak byśmy tego chcieli. Wszyscy są na przykład zgodni, że trzeba zdecydowanie i wszelkimi możliwymi sposobami przeciwdziałać się zjawiskom patologii społecznej, ale też wielu ogląda się na innych, czeka aż ktoś za nich to zrobi. To przecież nie tylko niewierzący chodzą po ulicach pijani, to nie tylko niewierzące kobiety usuwają ciążę, niewierzące dziewczyny puszczają się z obokrajowcami za wymienne waluty. To przecież nieprawda, że tylko katolik może być dobrym Polakiem, bo gdyby tak było mielibyśmy społeczeństwo aniołów, a tak przecież nie jest. Biskup Kościoła prawosławnego Szymon upomniał się o milion wyznawców tej religii, którzy też chcieliby zasłużyć na miano dobrych Polaków. Ale zasłużyć swoją pracą i postawą.

Tadeusz Czechowicz przypominał, że partia też swego czasu uważała, że wyraża opinie i poglądy całego narodu, a okazało się, że tak nie jest. Więc niech inni wezmą to pod uwagę, niech nie popełniają tego samego błędu i nie uznają sobie prawa do wyrażania poglądów całego społeczeństwa. Gdyby tak było, że ktoś wyraża poglądy wszystkich, nie byłoby potrzebne porozumienie, nie szukano by wspólnie tego co nas łączy, byłoby to niepotrzebne.

Biskup Kościoła prawosławnego Szymon zaproponował, aby słowo „zwłaszcza” zastąpić „i”. Jest to bardziej demokratyczne i partnerskie. I żeby wszędzie, przy każdej okazji, uczyć ludzi, aby to, co robia starali się robić jak najlepiej. Wszyscy razem i każdy z osobna.

Troska o przywrócenie właściwej wartości pracy była powszechna. Szacunek dla pracy, dla dobrze wykonywanej pracy, musi leć u podstaw wychowania. Padła nawet propozycja, aby ludzie różnych zawodów, robotnicy, inżynierowie, lekarze, ludzie którzy kochają swoją pracę, są w niej mistrzami, żeby ich ludzie byli zapraszani do szkół na lekcje wychowawcze i tam rozmawiali z młodzieżą o pracy, uczyli jej szacunku do pracy. Jest to bardzo interesująca i godna podchwycenia propozycja.

Nie oszukujmy się przecież, ale to my dorosli uczymy młodych lekceważenia pracy. Nie wnikać w tej chwili w przyczyny, dla których dobra praca straciła uznanie wśród ludzi. Jest to między innymi związane z systemem plac, co musi być zmienione. Ale niezależnie od tych zmian musi ulec zmianie stosunek do pracy przekazywany młodym w trakcie wychowania. Ale przecież to lekceważenie pracy nie jest powszechne. Są ludzie, którzy kochają swój zawód, którzy dobrze pracują, którzy widzą sens swojej pracy, niech ci ludzie uczą tego innych. Przecież w tej nauce szacunku dla dobrej pracy mogą się jednoczyć różni ludzie. Wspólna troska o to, aby nie zaginał szacunek dla pracy może i powinna ścierać ostrość różnic i podziałów, a wysuwać na plan pierwszy to, co nas łączy a nie dzieli. Przecież każdy rozsądnie myślący człowiek zdaje sobie sprawę że bez szanowania wartości pracy przyszłość Polski będzie nijaka.

Szukanie porozumienia, szukanie tego, co nas łączy, likwidowanie ostrości różnic i podziałów — bo te przecież istnieją — nie może oznaczać milczenia o sprawach istotnych, o występkach, o nieprawidłowościach, o popełnianych błędach przez różnych ludzi i ugrupowania, a także o takich czy innych postawach politycznych. Partia od IX Zjazdu deklaruje i stara się wcielić to w życie, że postępować będzie i postępuje zgodnie z linią porozumienia i walki. To znaczy, że szukamy porozumienia z każdym, komu droga jest przyszłość socjalistycznej Polski, ale nie będziemy obojętni wobec wrogich socjalizmowi postaw.

Trzeba więc powiedzieć — i zostało to powiedziane na spotkaniu — że widzimy ludzi angażujących się w pracę dla przyszłości Polski, że widzimy ogromne rzesze szczerych patriotów, ale i tych, którzy angażują się po stronie obojczy, działają na szkodę Polski, że zastanawiamy się, czy „wojna o krzyże” ma służyć porozumieniu, religii czy polityce określonych grup, że nie jest dla nikogo tajemnicą wojujący kierykałizm, a wołanie o tolerancję powinno obowiązywać w obie strony — w stosunku do niewierzących również, jak i w stosunku do wyznawców różnych religii.

Nie dawać ryby temu, komu można dać wędkę. Morał z tego powiedzenia wyciągam taki, że wszystko jest w naszym ręku, że naszymi rekoma, wspólnie działając, możemy się i wyżyć, i ubrać. Wspólna nasza troska powinno być zarówno wychowanie młodego pokolenia, trwałość rodziny, jak przyszłość kraju. Wspólnie musimy zwalczać zło, zjawiska patologiczne. Nikt za nas tego nie zrobi. W tym działaniu podziały powinny ustać, zejść na dalszy plan, a różnice przyczyniać się do poszukiwania różnych, twórczo przez to wzbogaconych, rozwiązań. Musimy zrobić to sami i tu, na ziemi.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

WŁADYSŁAW BORNOWSKI

Wojna i ludzie sztuki



Kulikowski (ukończył on właśnie przed wybuchem wojny warszawską Akademię Sztuk Plastycznych). Z pracowni współdziałał jako projektanci: Karol Baranicki, Edyta Nacht, Jerzy Zaruba i inni.

Jedyna istniejąca w Lublinie litografia prywatna została całkowicie „obłożona” zamówieniami PKWN. Wojsko musiało więc radzić sobie samo. Wykorzystywało plakaty radzieckie nadsyłane jednaki w skąpych ilościach, a ręcznie malowany plakat pochłaniał moc czasu i nie mógł sprostać zapotrzebowaniu.

Ppor. Włodzimierz Zakrzewski stosunkowo szybko zorganizował pracownię plakatów wykonywanych ręcznie przez szablonistów. Projekt dwu- lub nawet trójkolorowy wykonywali artyści plastycy. Na jego podstawie tzw. „szabloniści” wycinali szablon i farba klejowa oddajła tło plakatu. Ile wytrzymał szablon (najczęściej kilkadziesiąt sztuk). Dla niektórych plakatów przeznaczonych dla oddziałów na ludność cywilną wykonywano od razu parę szablonów. Licząc się z tym, że nakład powinien wynosić kilkadziesiąt egzemplarzy (np. plakaty: „Dziś się spełnia chłopaka wola, synu walcz o naszą polę”, „Do szeregu”, „Chwała bohaterom”).

Pracownia nie mogła zasobem zapotrzebowania wojska na plakaty. W miejscach zakwaterowania stanowiły one bowiem nie tylko element dekoracyjny, ale często punkt wyjścia dla gawęd i pogadek.

Zapotrzebowanie na wojskowe materiały propagandowe zgłaszała także Milicja Obywatelska, władze administracyjne i szkoły, gdzie plakaty stanowiły tło dla pogadek o Polsce współczesnej. Niewielka drukarnia uruchomiona w smachu Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego wykonywała obok materiałów tekstowych (pogadanki, gawędy, instrukcje) także hasła drukowane drewnianymi członkami o dużym formacie. Były one przeznaczone przeważnie do rozplakatuowania w wyzwolonych miastach i wsiach oraz komendach uzupełnień, które przeprowadzały pobór do tworzących się jednostek II Armii oraz uzupełnienia kadrowego I Armii sformowanej w ZSRR.

Jak wynika ze sprawozdania ppor. Zakrzewskiego od sier-

pnia do końca grudnia 1944 r. wykonano ręcznie 28 plakatów szablonowych w łącznym nakładzie 8736 sztuk. Próby zdobywania maszyn litograficznych nie powiodły się, natomiast pozyskano kilku nowych zdolnych szablonistów, a to umożliwilo wykonywanie od 500 do 800 plakatów na dany temat.

W styczniu 1945 r. ruszyła gigantyczna ofensywa Armii Radzieckiej i Wojska Polskiego. Kolektyw pracowni zdawał sobie sprawę ze zwiększającego się zapotrzebowania na polski plakat na wyzwolanych każdego dnia, coraz to nowych obszarach. Pracowano w gorączkowym pośpiechu po 14-15 godzin na dobę. Gotowe plakaty natychmiast wysyłano do jednostek frontowych z załączeniem rozkazania ich w wyzwolonych miejscowościach.

Na wiadomość o wyzwoleniu Warszawy plakat „Warszawa wolna — na Berlin” powstał dosłownie w ciągu 24 godzin, chociaż powielanie egzemplarzy trwało kilka dni. Ten plakat zaprojektowany przez Jana Kulikowskiego wykonano w

—1954) tworzył w latach 1931—1939 w zakresie grafiki użytkowej i plakatu. W 1933 r. uzyskał nagrodę na konkursie plakatu dla PKO, w 1935 r. i nagrodę za plakat dla Browaru Tychy, a w 1937 r. i nagrodę na wystawie „Sztuka i Technika” w Paryżu (wymieniam tylko przykładowo niektóre sukcesy bardzo młodego grafika). Jego projekty określano jako fascynujące. Posługiwał się zrozumiem dla przeciętnego odbiorcy alegoria, natomiast poszczególne elementy kompozycji rysunkowej były wykonane bardzo precyzyjnie i realistycznie, a równocześnie umiejętnie posługiwał się on kontrastami barw i otwierał grę światła. Litografowie w Łodzi wielokrotnie podkreślali, że plakaty Trepkowskiego wykonują ze szczególną troskliwością, ale równocześnie z satysfakcją.

Pierwszym litografowanym plakatem, który wykonano w Łodzi w nakładzie 5000 egzemplarzy był plakat Aleksandra Radziewicza-Winnickiego „Na Berlin”. Zmieniająca się sytuacja wojenna wymagała bardzo

nie) „Chwała Armii Czerwonej”. Ten ostatni jest urzekający poprzez swoją prostotę. Na tle nieba błyszczą nieciermienna gwiazda, a pod nią spada pionowa (właściwie dynamiczna) swastyka. W górnej części napis „Chwała Armii Czerwonej”, na dole „1918—1948”.

Zakończenie wojny nie przerwało działalności projektantów plakatów wojennych. Zauważano wykonywanie plakatów przez szablonistów. Kilku podoficerów plakaciarni zasililo skład osobowy drukarni. Z czasem zdobyli oni kwalifikacje maszynistów drukarskich (Młinski, Rozbicki, Szlachetko) i będą pracowali aż do dostarczenia emerytury w Łódzkiej Drukarni Wojskowej.

Od czerwca 1945 r. zmieniła tematyka plakatów wojskowych. Mobilizowały one do walki na froncie, obecnie będą mobilizowały do pracy i odbudowy, równocześnie będą propagowały nasze tradycje historyczne i wydarzenia aktualne.

W latach 1945—1947 plakat wojskowy był pod względem artystycznym plakatem człowieka plastycznego kraju, a stare, łódzkie maszyny litograficzne, jeśli chodzi o wykonawstwo, konkurowały z nowoczesną techniką offsetową.

W dalszym ciągu plakat wojkowy prezentował najczęściej ujęcie alegoryczne, łatwe do odczytania, przykuwające wzrok ze względu na doskonałość formy i mała ilość elementów kompozycyjnych.

Do najbardziej udanych plakatów okresu bezpośrednio powojennego należy zaliczyć: Tadeusza Trepkowskiego „Bromia i praca”, „Grunwald 1410 — Berlin 1945”, „Nie powtórz się nigdy... 1939” „Lenino 12.X. 43”.

Graficy łódzcy Brudzewski i Świątkowski (pracownicy litografii) zaprezentowali plakat „Odra i Nysa — Zachodnia granica Polski”, a Włodzimierz Zakrzewski był autorem bardzo popularnego plakatu „Przypomnijmy sobie w Norymberdze” — na tle lasu żołnierskich krzyży wznosił się wyeksponowany, duży prosty drewniany krzyż pod nim wisząca kwiata i napis „Przypomnijmy sobie w Norymberdze”.

Tak, jak w okresie wojny odbiorcami wojskowego plakatu oprócz wojska była także milicja i władze administracyjne, tak po dniu zwycięstwa zaczęły poszukiwać plakatu wojskowego szkoły, zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych. Łódzkie kuratorium, a także dyrektorzy niektórych szkół bezpośrednio zwracali się do kierownika litografii lub dyrektora drukarni z prośbą o ofiarowanie chociażby paru plakatów. O ile pamiętam prośby te były spełniane, choć nie w takim zakresie, jak tyczyły sobie petencje.

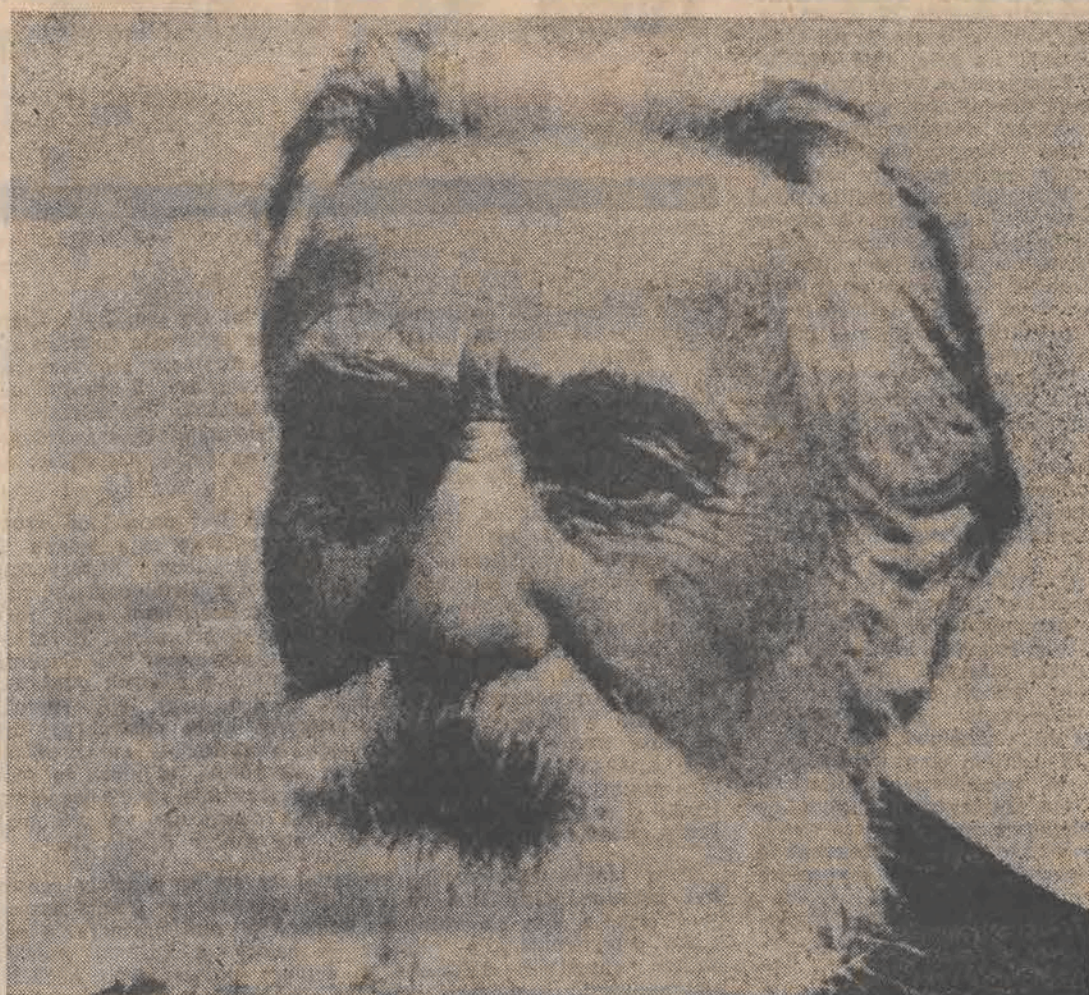
Łódzka drukarnia GZPW WP wykonywała litografowane plakaty wojskowe do 1948 roku. W tym czasie grupa artystów projektantów (Trepkowski, Zakrzewski, Tomkiewicz, Kulikowski) przeniosła się do Warszawy. Nastąpiła reorganizacja wojskowego przemysłu poligraficznego. W Łodzi na miejsce drukarni Głównego Zarządu Polityczno-Wojskowego i Drukarni Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego (podporządkowana była Sztabowi Generalnemu) powstała jedna drukarnia wojskowa, stanowiąca agendę poligraficzną „Prasy Wojskowej” (obecnie drukarnia wojskowa Wydawnictwa MON).

Artyści graficy łódzcy i projektodawcy plakatów wojskowych Ryszard Brudzewski oraz Paweł Świątkowski po zdemu bilizowaniu z wojska przekształcili się w znanych i cenionych grafików-dekoratorów, którzy nadal tworzą w rodzinnym mieście.

Natomiast łódzki wojskowy plakat litograficzny zakończył w latach 1948—49 swój żywot. Bardziej nowoczesna technika offsetowa uruchomiona w wojskowej drukarni w Warszawie wyparła mniej wydajną, bardziej kosztowną technikę litograficzną.

Łódź przestała wykonywać plakaty wojskowe, ale pozostała pamięć o wojennych latach „górnych” choć chmurnych, kiedy łódzki plakat towarzyszył żołnierzowi polskiemu w ostatnich miesiącach walk, a pierwsze broszury polskie informowały o historii i zasobach Ziemi Odzyskanych. Wyszły one także z łódzkiej, wojskowej oficyny drukarskiej. Z nich nie tylko wojskowi, ale i cywile dowiadawali się o przeszłości i bogactwie ziem nad Odrą i Nysą, ziem, które po stuleciach wróciły do macierzy.

Atmosfera zwycięstwa i radość z zakończenia wojny oddała chyba najlepiej Tadeusz Trepkowski w plakacie „Chwała wyzwolicielom” i drugimi plakacie (wykonanym po woj-



Z ziemi obcej do polskiej

ZENON JANUSZ MICHAŁSKI

„Wędrownia nasza jest ciężka i nie wiemy, kiedy się skończy, ale nie narzekamy i nie wątpimy, my wierzymy w zmartwychwstanie Polski, w niepodległość ojczyzny naszej, w przyszłą wielką Rzeczpospolitą, która jasnieć będzie promienistym światłem wolności, równości i braterstwa...”

Słowa te wygłosił Bolesław Limanowski 28 czerwca 1890 roku nad zwłokami Adama Mickiewicza z powodu uroczystego ich przewiezienia do Krakowa. Przebywał już wtedy dwadzieścia lat na obczyźnie, bowiem we wrześniu 1878 roku przybył do Szwajcarii wybierając jako miejsce pobytu Genewę. Stał się — jak sam to określił — wygnanym dla sprawy socjalistycznej. — „Należałem — powiedział — do pierwszego wychodźstwa z powodu spraw socjalistycznych.”

Wybór Szwajcarii uzasadniał tym, że skupiła się tam liczna emigracja socjalistyczna z różnych krajów europejskich — emigracja francuska z walki komunalnej, kierownictwa emigracji niemieckiego stronnictwa socjalistycznego ze swoim organem „Vorwärts” i liczna emigracja rosyjska.

W Genewie znaleźli się także Kazimierz Dłuski, Stanisław Mendelson, Szymon Diksztajn i inni, tworząc pierwszą grupę polskiej emigracji socjalistycznej. Bolesław Limanowski powierzone redagowanie czasopisma „Równość”, w którego pierwszym numerze (październik 1879) został zamieszczony „Program socjalistów polskich”. Wskazywał w nim, że rewolucja jest jedyną drogą likwidacji kapitalistycznego wyzysku, postulował utworzenie partii kierującej proletariatem w walce o wyzwolenie społeczne.

Polska emigracja socjalistyczna nie stanowiła grupy jednolitej, dzielił ją stosunek do sprawy niepodległości Polski. Jak zapisał to w swoich pamiętnikach Bolesław Limanowski — nie zgadzał się ze Stanisławem Mendelsonem, Kazimierzem Dłuskim, Ludwikiem Waryńskim i innymi uważającymi, że cel główny i jedyny to rewolucja społeczna, która rozwiąże także i kwestię narodową.

Pisał w genewskiej „Równości” Kazimierz Dłuski, że „patriotyzm polski nie dla niej (kasy pracującej) nie zrobił, i nie by jej nie dał wtedy, gdyby powstała nasza pomyślnym skutkiem uwieczniona została. Wtedy byłoby jeszcze łatwiej i wygodniej zapomnieć o chłopie i robotniku miejskim...”

Bolesław Limanowski prezentował w tej kwestii całkowicie odmienny punkt widzenia. W wydanej w 1880 roku pracy „Patriotyzm i socjalizm” stwierdził, że „patriotyzm jest główną dźwignią społeczeństwa. Zniszczyć to uczucie, znaczyć zabić samodzielność organizmu narodowego. Socjalizm jest to dążność społeczna do prawdziwej, rzeczywistej między ludźmi równości... szczeru zaś socjalizm, wypływający z miłości do narodu, musi być patriotyczny...”

Uwidocznili się szczególnie te różnice zdań w okresie obchodów 50 rocznicy powstania listopadowego. Na międzynarodowym zebraniu 29 listopada 1880 roku w Genewie Ludwik Waryński oświadczył: „Odczytując naszą historię, jesteśmy ziomkami, członkami jednej wielkiej narodowości, bardziej nieszczęśliwej niż Polska, narodu proletariatu. Kiedy przyjdzie chwila naszego powstania, to już nie okrzyk „Niech żyje Polska”, lub „Perest Moskwa”, wi-

tać nas będą, ale całego świata proletariatu. „Niech żyje socjalna rewolucja...”

Odmiennie jednak stanowisko w sprawie niepodległości Polski zajęli twórcy marksizmu. W piśmie powitalnym nadesłanym na zebranie genewskie Karol Marks i Fryderyk Engels oświadczyli, że „...dziś, gdy walka ta rozwija się wśród samego ludu polskiego, niech ją podtrzymuje propaganda, prasa rewolucyjna, niech łączy się ona z usiłowaniami naszych braci rosyjskich, będzie to jednym powodem więcej, aby powtórzyć dawny okrzyk: „Niech żyje Polska...”

Różnice zdań wśród polskiej emigracji socjalistycznej doprowadziły do utworzenia organizacji pod nazwą Lud Polski. W programie opracowanym przez Limanowskiego stwierdzono, że jest „...ostatnim naszym celem — wyzwolenie się spod ekonomicznego, polityczno-narodowego i społecznego jarzma...”, przy czym Limanowski widział odrodzone państwo polskie w granicach dawnej Rzeczypospolitej, urządzonej na wzór Szwajcarii — federalistycznie, dającej zupełną samodzielność każdemu narodowi.

W 1883 w liście otwartym do Władysława Wścieklicy, piszącego o stosunku socjalistów do patriotyzmu, raz jeszcze Bolesław Limanowski przedstawił swój pogląd na sprawę niepodległości Polski. W moim przekonaniu — stwierdził — „niepodległość narodu jest największą potrzebą i najpierwszą koniecznością. Bez odzyskania niepodległości niepodobna myśleć narodowi o tym, aby mógł uzyskać wolności polityczne, a bez istnienia wolności politycznych marzeniem pozostaną wszelkie pragnienia odmiann socjalistycznych w ustroju społeczno-ekonomicznym narodu...”

W tym samym roku doszło do utworzenia w Paryżu nowej organizacji pod nazwą, Gminy Narodowo-Socjalistycznej. Wstąpił do niej Bolesław Limanowski i stał się jednym z czołowych publicystów wydawanej przez gminę „Pobudki”. W „Pobudce” zamieścił między innymi artykuł o Galicji, pisał o niej, że może się stać podstawą politycznej odbudowy. Wyjaśniał też dlaczego rewolucja społeczna może dojść do niepodległości Polski, uważał bowiem, że oczekiwanie wszystkich narodu do przysięgi rewolucji społecznej osłabi działalność bieżącą.

W setną rocznicę zburzenia Bastylii, na skutek rozłamu we francuskim ruchu robotniczym, odbyły się w Paryżu dwa kongresy — jeden — marksistów, a drugi — posybilistów — ograniczających problematykę do walki ekonomicznej. Członkowie gminy wzięli udział w kongresie posybilistów, a w trakcie obrad Bolesław Limanowski doprowadził do przyjęcia następującej rezolucji:

„...Uważając, że narody pozbawione niepodległości i praw politycznych nie tylko same na tym cierpią, ale przeszkadzają innym narodom do normalnego rozwoju, zważając, że dopóki kwitnie despotyzm wyzyskiwanie także istnieje musi, Kongres uważa, że obowiązkiem wszystkich narodu jest starać się o to, aby każdy naród w Europie posiadał niepodległość narodową i wolność polityczną...”

A po zakończeniu kongresu, na wspólnej uczcie składkowej oświadczył przyjęto wystąpienie Limanowskiego, zakończone następująco: „Niepodległość jest nam potrzebna, jest nam konieczna, chcemy ją mieć, musimy ją mieć, i będziemy ją mieć...”

W 1889 roku nekany trudnościami finansowymi Limanowski opuścił Zurich i przeniósł się do Paryża. W tym też czasie ukończył swą pracę „Historia powstania 1863 i 1864”.

Rok 1892 zapisał się jako bardzo znaczący w dziejach polskiego ruchu robotniczego. Na terenie zaboru rosyjskiego miały miejsce liczne strajki i demonstracje, których punktem kulminacyjnym był strajk powszechny w Łodzi ze starciami ulicznymi.

W takich to warunkach, w drugiej połowie listopada 1892 roku odbył się w Paryżu zjazd działaczy socjalistycznych, dający początek Polskiej Partii Socjalistycznej, przy czym socjaliści przebywający na emigracji zrzeszyli się w Związku Zagranicznym Socjalistów Polskich, a przewodniczącym wybrano Bolesława Limanowskiego.

W inauguracyjnym protokole paryskim postanowiono jako punkt pierwszy programu minimalnego samodzielną republikę demokratyczną gwarantującą równość obywateli, swobody obywatelskie, bezpłatne nauczanie, ustawodawstwo społeczne. W tej republice dopiero nastąpiłoby stopniowe uspołecznienie środków produkcji.

W 1894 roku, dzięki protekcji Adolfa Warszawskiego-Warskiego, otrzymał Limanowski pracę w paryskim biurze amerykańskiego towarzystwa ubezpieczeniowego „New York”, co zapewniło mu skromne utrzymanie. W tym też roku ukończył swoją pracę „Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość”. Nową formę aktywności politycznej przejął Bolesław Limanowski włączając się w działalność powstałego w Paryżu Towarzystwa Pomocy Więźniom i Emigrantom Politycznym — Czerwony Krzyż. Jako przewodniczący organizacji prowadził ożywioną działalność na rzecz poszkodowanych przez władze carskie.

Początek naszego stulecia to okres intensywnych prac naukowych Limanowskiego. Wtedy właśnie zakończył swoją „Historię demokracji polskiej w epoce przedrozbiorowej”.

„Dla zrozumienia ruchu demokratycznego w każdym narodzie — pisał we wstępie do tej pracy — nie wystarczy ogólna teoretyczna znajomość, czym jest, czyli raczej, czym powinna być demokracja, ale i konieczną jest rzeczą stanąć na gruncie historycznym i zbadać pod wpływem jakich warunków ten ruch demokratyczny powstał i kształtował się...”

Wybuch wojny rosyjsko-japońskiej wzbudził w Limanowskim nowe nadzieje na niepodległość. Myślał o utworzeniu wojska polskiego walczącego przeciw Rosji, a w zamian za to — sądził — Japończycy pozwolili Polakom zająć wyspę Formozę i tam utworzyć przesiedleńczą kolonię.

W 1906 roku Limanowski pisze pracę „Naród i państwo” i jest to jedno z jego ostatnich dzieł na ziemi obcej. Rok bowiem później, zgoda władz austriackich na jego powrót do Galicji zakończyła prawie trzydziestoletnią emigracyjną tułaczkę. Zamieszkał w Krakowie i mimo policyjnego nadzoru, konsekwentnie poprzez odczyty i wykłady prowadził działalność niepodległościową.

W 1910 roku zorganizowano w Krakowie jubileusz 50-lecia działalności publicznej i 75-lecia urodzin Bolesława Limanowskiego. Relejując prędko jubileusz pisał krakowski „Naprzód” 22 listopada, że program swój zawarł on w krótkich słowach: „Chcę, aby ojczyzna nasza była wolna i stała się matką równie sprawiedliwą dla wszystkich swych synów...”

Wacław Sieroszewski, Andrzej Strug, Stefan Żeromski, Marcell Handelman i Stanisław Posner nadesłali jubilatowi z Paryża adres następującej treści:

„Do Bolesława Limanowskiego

„Żeś Czcigodny Panie, biblijny wiek swój przeżył w ciężkiej narodowej służbie;

„Żeś lata te wypełnił wielką ilością znakomitych prac historycznych;

„Żeś, żurawiem, czuwał nad młodzieńczym entuzjazmem niezliczonych pokoleń emigracyjnych, kierując ten entuzjazm ku pracy nad wyzwoleniem polskiego robotnika w wyzwolonej Polsce;

„Żeś, dzwoniłkiem niestrudzonego, przypomniał pokoleniom rozszanym w diasporze o Polsce, Lelewela, Worcella, Rewolucji i powstaniu narodowym, wiążąc w niezliczonych dziełach, z których każde czynem było, wysiłek polskiej myśli społecznej z przedziwnym ogólnoludzkim ukośnem Zachodu Europejskiego;

„Żeś, tulaczem polskiemu, wytrwał na boleściwym szlaku meki Polaka i Socjalisty — w Archangielsku, Zurichu, Paryżu, a także we Lwowie i Krakowie, wynosząc z tych udręceń myśli i uczucie wieczne młode, tęsknoty pełne; „Żeś dla strudzonych i zbłąkanych miał zawsze słowa otuchy i wiary w przyszłość ludu polskiego, w wyzwolenie Robotnika i Narodu;

„Robotnikowi winny narodowej —

„Siewcy i przewodnikowi —

„Tulaczowi —

„Dzwoniłkowi —

„Pisarzowi —

„Apostolowi dobrej nowiny —

„W tym dniu uroczystym dla Ciebie i dla Narodu cześć składamy, życząc, dobry i zacy Panie, abyś długie jeszcze lata żył i pracował dla literatury polskiej i proletariatu polskiego...”

W Europie, tymczasem, następowało wyraźne pogarszanie się sytuacji. Bolesław Limanowski widział w tym szansę dla sprawy niepodległości Polski i w poglądach swych zbliżył się do koncepcji Józefa Piłsudskiego. W sierpniu 1911 roku, na zaproszenie Piłsudskiego wygłosił szereg odczytów publicznych, a 25 i 26 sierpnia 1912 roku uczestniczył w zjeździe działaczy niepodległościowych w Zakopanem i na wniosek Piłsudskiego został przewodniczącym zarządu Polskiego Skarbu Wojskowego. W ten sposób —

jak sam to podkreślił — wziął udział w początku „akcji legionowej”, która doprowadziła do stworzenia wojska polskiego.

Z tego samego roku datuje się list do Limanowskiego ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej od utworzonego tam przez polskich działaczy Komitetu Pomocy w sprawie walki o niepodległość Polski. W liście postawiono Limanowskiemu następujące pytania:

„1. Czy możliwa jest wojna Austrii z Rosją w sprawie bałkańskiej?

2. Czy Polacy w danej chwili wystąpią przeciw Rosji?

3. Czy leży w interesie dobra narodu polskiego walka zbrojna przeciw narodom zaborczym?

4. Które stanowisko w Polsce szczerze dąży do niepodległości Polski i jest w stanie wystąpić do walki czynnej z wrogiem?

5. Jaki jest pogląd Pana na obecną i przyszłą sytuację w sprawie Polski...”

Odpowiedział, że wojna jest wielce możliwa, że „...powinniśmy z niej skorzystać i dokończyć wszelkich starań, aby lud wziął w niej czynny udział, nadając jej w ten sposób charakter i narodowy, i rewolucyjny...”

W wypowiedzi tej wyraźnie rysuje się stanowisko wobec koncepcji Piłsudskiego. Dał temu także wyraz w swym przemówieniu do ćwiczących w Stróży oddziałów strzeleckich, kiedy to stwierdził, że „...wyzwalając niepodległość narodową otwieramy drogę do szerzenia świadomości socjalistycznej, niezbędnej do ugruntowania doskonałego ustroju społecznego...”

Wybuch pierwszej wojny światowej otworzył kolejny rozdział w życiu Bolesława Limanowskiego.

Już w pierwszych dniach sierpnia 1914 roku wszedł w skład Komitetu Obywatelskiego w Krakowie dla niesienia pomocy Skarbowi Wojskowemu i Polskiej Intendenturze Wojskowej. Był wtedy pod urokiem Józefa Piłsudskiego i w pełni akceptował jego działania. W pamiętnikach opisuje dzień 30 marca 1916 roku, kiedy to w krakowskim teatrze, na sztuce „Kościusko pod Racławicami”, w momencie składania przysięgi przez Kościuszkę wszyscy wstając urządzili owację obecnemu na widowni Józefowi Piłsudskiemu.

16 września tegoż roku Limanowski podpisał adres do Piłsudskiego jako „uznanego przez naród wodza polskiego”, nie oznaczało to jednak, że był nadal wobec niego bezkrytyczny. W wydanym 8 lutego 1917 roku numerze „Kultury Polski”, w artykule „O charakterze kultury polskiej” znalazł się fragment, w którym Piłsudskiemu, proponującemu utworzenie „silnego, karnego wojska podług zwykłego ustroju militarnego”, przeciwstawił wojsko, „w którym żołnierz nie przestaje być obywatelem, i w którym karność nie wytwarza się ślepa z przymusu, lecz dobrowolnie ze zrozumieniem jej konieczności...”

Wybuch rewolucji w Rosji ocenił Limanowski jako doniosłe wydarzenie. Nie mówił o tym wprost, ale od pierwszych dni wiązał z rewolucją rosyjską nadzieje dla sprawy polskiej. W programie Rządu Tymczasowego uwagę zwrócił przede wszystkim na fragment dotyczący zniesienia „...wszelkich ograniczeń społecznych, religijnych i narodowych...”. Podziwiał także jej — jak pisał — „postępowość i łagodność”.

Konsekwentnie kontynuował swoją działalność naukową. W kwietniu 1917 roku ukończył rozdział o powstaniu polskim 1863 roku do „Historii demokracji polskiej” w dobie porzobiorowej i ostatecznie w połowie kwietnia pracę nad tą książką zakończył. Jej tekst poprzedził znacznie rozszerzając i dodając dwa nowe rozdziały. W początkach czerwca napisał artykuł „Udział Polaków w walkach wolnościowych w dobie porzobiorowej”.

Lato 1917 roku spędził Limanowski w Usarzowie koło Opatowa, w gościnie u państwa Jabłonowskich. Tam też doszły go wieści o kryzysie przysięgowym w Legionach, o wystąpieniu Józefa Piłsudskiego z Tymczasowej Rady Stanu i o jego aresztowaniu. Stanowisko Piłsudskiego zaakceptował, ale przyglądał mu się coraz bardziej krytycznie. Wynika to chociażby z oceny napisanej przez Wacława Sieroszewskiego broszury pt. „Józef Piłsudski”. Odnosił wrażenie — jak pisał — że była ona „...pisana pod dyktando Piłsudskiego. Razi w niej nadto arystokratyczne wyprzedzanie swego rodu od książąt litewskich i megalomania uzależniająca od siebie niemal cały ruch niepodległościowy...”

W pracy swej — naukowej i publicystycznej — konsekwentnie obracał się w kręgu tematów, które odradzały się Rzeczypospolitej i wybiłajacemu się na niepodległość narodowi przypominającym, stawały za wzór wielkich bojowników niepodległości. 15 października 1917 roku zamieszczono w krakowskim „Naprzodzie” jego artykuł „Kościusko i Targowica”. Przyjął także zamówienia na opracowanie życiorysu Traugutta, Łukasieńskiego, Dąbrowskiego, Kościuszki i Poniatowskiego, a 14 czerwca 1918 roku ukazał się w „Kulturze Polski” artykuł Limanowskiego „Jan Henryk Dąbrowski twórca pierwszych legionów polskich”.

W pamiętnikach swych dotyczących ostatniego okresu Wielkiej Wojny pilnie odnotował wszystkie ważniejsze wydarzenia, akcentując te sprawy, które mogły mieć wpływ na losy Polaków.

Ogromny zasób wiedzy oraz instynkt wielkiego patrioty uświadamiały mu, że wielkimi krokami zbliża się Czas Odrodzenia. Nie biorąc czynnego udziału w sterowaniu działaniami politycznymi, starał się wpłynąć na świadomość narodową Polaków, aby upragniona niepodległość nie zastała ich nieprzygotowanymi.

Anty jego czterdziści i cztery — powinien za Wieszcem zawałać Leopold Beck, bo kiedy podejmowałem tę nową pracę, tyle właśnie miałem lat. „Karuzela” była w stadium rozruchu, sakrecała się dopiero siedem razy. Zgrzytały różne tryby i trybiki, jak to w niedotartej maszynie. Horoskopy wróżyły nowemu czasopiśmu powodzenie. I rzeczywiście: nakład rósł z numeru na numer, czemu towarzyszyło zrozumiałe poruszenie w pewnym budynku na pl. Trzech Krzyży w Warszawie. Bodaż w trzecim miesiącu po moim przyjeździe drukowali już trzysta tysięcy. Ile na samym początku — trudno ustalić. Jedyne dane, jakimi z pierwszego roku istnienia „Karuzeli” dysponuje łódzka Delegatura RSW „Prasa”, to przeciętny nakład — 287.187.

I aniśmy się obejrzieli, jak na liczniku rotacji stuknęło pół miliona egzemplarzy jednorazowego nakładu. Wyżłutą maszyną dobywała ostatka sił. Co ileś tysięcy zbite płyty trzeba było zastępować nowymi odlewami. Gdyby nie limit papieru, moglibyśmy podwoić nakład, teren łączył wciąż jeszcze, zwrótów prawie nie było. Tak oto z lokalnego tytułu „Karuzela” stała się czasopiśmem o zasięgu ogólnokrajowym, masowo czytany we wszystkich zakątkach Polski.

Po tym wstąpię, skromnie traktującym moją mesjanistyczną rolę, przyjrzyjmy się bliżej narodzinom i karierze tego niewątpliwego fenomenu w dziejach naszej prasy. Humorystyczno-satyryczny pisma nigdy nie cieszyły się popularnością. Przedwojenne „Szpilki” długo nie mogły wyjść z dwóch tysięcy. „Cyrułik Warszawski” najwyżej w świecie zbankrutował, podobnie jak po wojnie redagowany przez Józefa Prutkowskiego katowicki „Kocynder”.

Leopold Beck od dawna chciał się usamodzielniać (zanim się przeniósł do Łodzi, kierował lubelską gazetą). Marzył o popularnym magazynie, w którym „wszystko by było”. Życie zmieniło jego plany. O obliczu stworzonego przezeń tytułu zdecydowały dwa wydarzenia: zbliżające się wybory do Sejmu i rad narodowych 1957 oraz przechodząca przez kraj fala odnowy popaździernikowej. Beck miał już w swym dorobku kilka broszur przedwyborczych, ale mało kto czytał prześladowane sloganami i liczbami nudne druki. Teraz, korzystając ze sprzyjającej aury, postanowił wydać okolicznościową jednodniówkę na nową modłę, bez sztampy — na wesoło. A jeśli się przyjmie — walczyć o przedłużenie jej żywota i stopniowo przekształcać ją w upragniony magazyn.

Pomysł zyskał aprobatę (o swych dalszych planach Beck nie wspominał). Zdecydowano wypuścić dwa przedwyborcze numery „Karuzeli”. Pierwszy ujrzał światło dzienne 9 stycznia 1957. Buneczny napis w ramce obok winiety tytułowej głosił: „12 stron i to jacyh!”, zaś pod winietą — „Ukazuje się kiedy chce”. W stopce redakcyjnej można było przeczytać: „Redaguje się samo. Redaktor przyjmuje codziennie na przystanku tramwajowym przy ul. Mickiewicza, róg al. Kościuszk. Kierownik muzyczny: Jan Czarny, choreografia: Karol Baraniecki. Kolegium nie ma, ale będzie. Kolportaż ustny: Horacy Safrin. Telefon popsuty, winda nieczynna. Jan Sztudzynger przyjmuje owoce i prezenty w dni nieparzyste. Następny numer ukaze się ok. 17 stycznia 1957. Z pozdrowieniem Leopold Beck”.

A kiedy wprowadzono zakaz informowania czytelników o wysokości nakładu — niektóre tytuły nie miały się czym pochwalić — filuternie zawiadamialiśmy: „Nakład nie taki duży, jak myślał niektórzy”. Mój kontropomysł „Nakład nie taki mały, jakby tego nasze wrogi chciały” — upadł.

Tak jeszcze nikt do czytelników nie przemawiał. I to chwyciło. A przede wszystkim — lekkie, atrakcyjne teksty i rysunki, co prawda, nie zawsze najwyższego lotu. „To można czytać i oglądać z zamkniętymi oczyma!” — zachęcaliśmy. Przyjął się też — ni przypiął ni przysłał — tytuł, zaproponowany przez Teresę Wojciechowską. Przed wojną nasza „Republika” też drukowała „Karuzelę”, tygodnik przygodowy dla dzieci i młodzieży.

Obydwa pierwsze numery wypełniła niemal bez reszty tematyka wyborcza. Leitmotywem był apel Władysława Gomułki: głosujemy bez skręśleń.

Energiczny, pełen inicjatywy redaktor, unobilizował liczną armię współpracowników spośród łódzkich dziennikarzy, literatów i karykaturzystów. Oto nazwiska autorów według kolejności stron obydwu, historycznych już numerów: Karol Baraniecki, Zdzisław Kozłowiec, Irena Beck, Jan Sztudzynger, Horacy Safrin, Wiesław Machejko, Adam Bienkowski, Kazimierz Grus, Wojciech Drgas, Henryk Anders, Jan Czarny, Ryszard Brudziński, Teresa Wojciechowska, Tadeusz Dobrzyński, Jerzy Jankowski, Jan Koprowski, Michał Galewski, Jerzy Urbanowicz, Zygmunt Fijas, Marian Piechal, Zofia Tarnowska, Krystyna Wyrzykowska, Tadeusz Słupski, Stanisław Cieloch. Redaktor udostępnił nam również klasyczny. Zamieścił utwory o tematyce wyborczej takich mistrzów pióra jak Jarosław Hašek, Mark Twain, Ignacy Chodźko i inni.

Powodzenie „Karuzeli” skłoniło władze RSW do przedłużenia jej egzystencji, a Becka — do zachowania charakteru i profilu periodyku. „Wydajemy pismo plebejskie dla mas!” — deklarował na różnych naradach popierając to następującym porównaniem: — Różnica między nami a „Szpilkami” polega na tym, że gdy u nas dowcip zaczyna się: „Kowalski powiada do Nowaka”, to „Szpilki” ten sam kawał zapowiadają: „Pewnego razu Bernard Shaw zwrócił się do Oskara Wilde’a”.

Chyba jednak nie był pewny czy utrzymamy się z samego kolportażu, bo zamieszczał ogłoszenia nie wspólnego z satyrą ani humorem nie mające. Kogo tam było! MHD PSS, PDT, „Delikatesy”, Zakłady Szkłarskie „Hortensja”, „Jubiler”. Przedsiębiorstwa nie potrzebowały reklam, ale dysponowały nie wydany na ten cel funduszami. Jeśli ich nie upytaliśmy, w przyszłym roku budżetowym mogą przepaść. Na tej zasadzie w prasie codziennej ukazywały się kuriozalne ćwierćstronicowe ogłoszenia... z życzeniami pomyślnego Nowego Roku dla załóg pracowni... Składały je dyrekcje fabryk i instytucji, urzędujące często przez ściany z halami produkcyjnymi.

Każdy numer „Karuzeli” zawierał całą stronę anonsów, raz nawet dwie kolumny. Dopiero po trzech miesiącach (nakład stale rósł) asekuranci redaktor zrezygnował z zamieszczania reklam. I wtedy też, obok daty wprowadził numerację. Po raz pierwszy z numerem (6) wyszła „Karuzela” w dniu 2 kwietnia 1957.

Dyrektor Delegatury i główny księgowy zacierali ręce. Mimo fatalnej szaty graficznej (drukowali się na gazetowym papierze, technika czarno-biała, gdzieś tam tylko można było dać czerwony akcent) pismo szło jak woda w górskim potoku podczas powodzi. Zarabiała na siebie i na pozostałe tytuły. Czysty dochód przynosił rocznie około 35 milionów złotych, cała łódzka gastronomia osiągała o pięć milionów mniej!

Nie tylko wysoki nakład decydował o kolosalnych zyskach. Beck, doświadczony wyga, spędził lata młodości na Zachodzie i odcierając się o dziennikarstwo niejedno podpatrzył. Opierał redakcję na innych niż to się u nas praktykowało i niestety praktykuje zasadach. Personel był mikroskopijski: czterech dziennikarzy plus sekretarka i goniec. Za to współpracowników mnóstwo z całego kraju. Odpadały poważne wydatki na pensje, urlopy, świadczenia społeczne.

Kiedy zadomowiliśmy się w „Karuzeli”, jako sekretarz redakcji, zastąpiłem w niej, poza Beckiem, dwóch grafików — Karola Baranieckiego i Jerzego Jankowskiego. Redakcja dysponowała tylko dwoma etatami: Becka i moim. Przeszły za nami z „Dziennika Łódzkiego”, który na jakiś czas używał nam gościnie dwóch pokoi. Pierwsze numery Leopold redagował jeszcze jako pracownik „Dziennika”, aż któregoś dnia Stasio Mojkowski postawił go przed alternatywą:

— Leopold (tak się do niego zwracał), zdecyduj się: „Dziennik” albo „Karuzela”. Jednym tylko na dwóch stołkach nie możesz siedzieć.

Trzeci, z trudem wywalczony etat, Beck podzielił między Karola i Jurka. Mimo iż mieli tylko po pół etatu, z polecenia szefa zjawiali się w redakcji codziennie rano i jak my dwaj pełnoetatowcy odsiadali godzinę.

Szef z miejsca jasno przedstawił sprawę honorariów. A żeby nam apetyty nie rosły, ustanowił poprzeczkę, której żaden z nas

w ciągu jego prawie 10-letniej kadencji ani o złotówkę nie mógł przekroczyć. Sobie wyznaczył od każdego numeru 1350 zł, mnie — 1100, Baranieckiemu — 900, Jankowskiemu — 800. Takie ryzykały pobierał się bez względu na ilość naszych tekstów czy rysunków w numerze. Dochodziło do paradoksów. Gdy Baraniecki czy Jankowski mieli po 10 rysunków (zdarzało się i więcej), wyceniano je po 80—90 zł, a gdy po trzy, cztery — stawki wzrastały do kilkuset złotych.

Dziesięć rysunków w numerze tego samego autora? Jak by to wyglądało przed czytelnikami? Toteż Baraniecki rysował również jako Bazyli Kot i Ivo Kacaraba. Jankowski miał jeden kryptonim — Jerzy Harcerz. Ja występowałem pod firmą Jan Nieznany, Ali-Baba, Skorpioń, William Mc Noldy, Stefan Wirski. Może miałem jeszcze jakieś pseudonimy, już nie pamiętam.

Mimo sukcesów kasowych „Karuzeli”, centralne władze RSW nie rozpieszczały nas. Skromny fundusz honoraryjny nie odpowiadał rosnącemu potrzebom. Autorzy z całego kraju garmeli się do nas jak muchy do miodu, wśród nich twórcy o głośniejszych wiskach. Nie zaplacił im jak należy, ogłosił bojkot. Rada w radę zapadła decyzja: przedruk. Na pierwszy ogień poszły humoreski Światopelka Karpińskiego z tomiku „Kreda na parkanie”. Przepuściliśmy przez nasze łamy całego Wiecha z jego kilkunastu zbiorów. Drukowali go na przemian z monologami solistów Kierdziołka Jerzego Ofierskiego. To się kalkulowało. Za przedruk „Zaika” Inkasował po 150 zł od sztuki, w dodatku sumy te nie obciążały naszego funduszu wierszówkowego. Placila Delegatura w ramach tzw. kosztów administracyjnych.

Ale to jeszcze nie wystarczało. Wpadłem na pomysł, żeby zamieszczać nowe pisarzy, których prawa autorskie już wygasły, w tłumaczeniu ludzi, którzy też już dawno przeniesli się do lep-

ADAM OCHOCKI

Przesiadam się na „Karuzelę”

szego świata, gdzie nie ma ani „Zaiku”, ani RSW. I tak w każdym numerze „Karuzeli” pojawiały się po trzy, cztery całostronicowe, ilustrowane przez Baranieckiego lub Jankowskiego, utwory takich znakomitości jak: Fryderyk Karlinth, Anatol Franc, Eugeniusz Heltał, Róda Roda, Jarosław Hašek, Franciszek Molnar, Camus, Tristan Bernard. Nie oszczędziłem nawet XIX-wiecznego satyryka wiedeńskiego Moritza Saphira.

Wyszukiwanie z poźłokich annałów tej lektury, zabiegł wernik-sowe i przepisywanie na maszynę wzięłem na swe wzięte barki. Honoraria — nazywało się to dyplomatycznie „za organizację materiału” — szły do wspólnego kofa. Bo zawsze jednemu z nas brakowało własnych tekstów do ustalonego rytmu.

Becka rozpięła energia. Co rusz wyskakiwał z jakąś inicjatywą. Każde ciekawe wydarzenie w kraju i na świecie było przez nas rejestrowane. Pierwszy człowiek w kosmosie — niemal cały numer poświęcony temu wydarzeniu. Ekipa polskich naukowców udała się na Spitsbergen, gdzie noc i dzień trwała nieprzerwanie po pół roku — wywiady (fikcyjne) z przedstawicielami różnych zawodów, jak wyobrażają sobie życie i pracę w kregu polarnym. Sport! Film! Sensacje ze świata!

Krzyżówki i konkursy z szampańskimi nagrodami. Telewizory, aparaty radiowe i fotograficzne, nawet motocykl dla zwycięzców. Przychodziło po kilkanaście tysięcy rozwiązań. Kto to skontroluje? Włec najpierw losowaliśmy, dopiero potem sprawdzało się czy odpowiedź jest prawidłowa. Jeśli nie — wyciągało się następną kopertę.

W powodzi listów nie brak było płodów ducha czytelników. Każdemu odpowiadaliśmy. Jeśli utwór był do kuitu, stawiałem literkę „A”: „Zwracam tekst, który nie przypadł nam do gustu. Zaliczamy go do zbioru”. Jeśli budził jakieś nadzieje — literę „B”: „Zwracam, przysyłany tekst, prosimy o coś innego”. Obydwa szablony sekretarka znała na pamięć, a w wolnych chwilach wypisywała na reklamowych kartkach „Karuzeli” pozdrowienia dla... abonentów sieci telegraficznej w całym kraju.

Ale nie wierzcie, że przychodziły do nas listy w tzw. sprawach życiowych. Można je było policzyć na palcach. Czytelnicy słusznie wyczuili, że ogólnokrajowe pismo wychodzące dwa razy w miesiącu ma znikome szanse załatwienia ich lokalnych problemów i oszczędzała nam zachodu. Konkretnie fakty do naszej stałej rubryki „K-raj na ziemi” autorzy czerpali ze zsywek gazet krajowych i stąd ich dezaktualizacja.

Szef postanowił wydawać mutacyjne numery dla załóg największych zakładów pracy. Jeden pod zawałaniem „Co nowego u Marchlewskiego”, wypadł nawet całkiem niezły. Tylko parę kolumn z normalnego numeru, reszta — satyryczne felietony, wiersze i rysunki o bolączkach tych zakładów przemysłu włókienniczego.

Otworzył Beck teatr karuzelowy. Teatr 50 krzesel. Z estrady i rozsuwając kurtynę. Nasi autorzy czytali swe utwory i opowiadali o sobie, graficy na oczach zaproszonych widzów rysowali karykatury. Przedstawienia odbywały się w moim pokoju, szły kompletnie. Kiedy przedstawień nie było, estrada służyła bardziej przyziemnym celom — jako składnica lampionów.

Przedsiębiorczy szef znalazł jeszcze jedno źródło powiększenia dochodów Delegatury i... swoich. Kolarski Wyścig Pokoju budził duże emocje. Jak przepuścić taką okazję? Wydał więc kilka numerów „Rewii kolarskiej”, z fotografiami uczestników, życiorysami, wywiadami, ciekawostkami z zakresu kolarstwa, i... ogłoszeniami.

Siłą uderzeniową były pomysły. Im bardziej niecodzienne, swawolne, tym lepsze. I tutaj Beck pokazał co potrafi. Wymyślne fotomontaże na okładki (rodzime i zagraniczne gwiazdy filmowe, zgrabne dziewczyny, ale ubrane, goliżny szef nie uznawał). A wewnątrz — projekty pomników dla zasłużonych ludzi, listy gończe z fotografiami poszukiwanych, rady jak się zachować w nagłych wypadkach. Otworzyliśmy Biuro Matrymonialne. Podobizny kandydatów i kandydatek do stanu małżeńskiego wycinało się z zagranicznych pism. Kojarszyliśmy bezczelne starszaki z kulturyści, dziennikarzy o fizjonomiach małpoludów z gracjami. Typy rodem z panoptikonu prezentowaliśmy w Salonie Piękności. Zaliczaliśmy bogato ilustrowaną grę w bibra. Za faciecia z ryżą bródka — pół punktu, z siwą brodą — punkt, za nosiciela brody a la król Wilus — dwa, za bibra na rowerze — pięć punktów. Przed wojną jako uczeń pasjonowałem się tą zabawą. Wtedy za zauważonego w dorocznej brodaty Żyda bez pakunków dostawało się dziesięć punktów i z miejsca wygrywało zawody.

I wszystko byłoby cacy, cacy, gdyby nie te fanaberie szefa. Karol przynosił swe rysunki na ostatnią chwilę. Doprowadzało to Becka do szwabskiej pasji. Wchodził do mego pokoju i od progu anonsował:

— Będziemy lepić!

Wyjmował teczkę z odtłakami złożonych tekstów, Baraniecki przynosił swoją z odtłakami przyjętych rysunków — i zaczynała się polka. Szef chodził po pokoju na trasie drzwi-okno, ze splecionymi z tyłu rękoma i przystając co parę chwil komendował:

— Od góry daj Mozolewskiego, Świątny rysunek! Ha, ha, ha! Włep jeszcze jeden. Tylko żadnych ramkiś sramkiś. A tu daj Jankowskiego, Dobre, Ha, ha, ha!

Raz, dwa, trzy, cztery... Okno — drzwi, drzwi — okno. Po godzinie kilkanaście wylepionych makiet wędrowało do szuflady, a nazajutrz do kosza, bo Karol przynosił swoje rysunki — i apia! zaczynało się wszystko od początku.

Najczęściej ja miałem z szefem na pieńku. Poza „organizowaniem” nowelek sporo tłumaczyłem. Gdy Beck zobaczył moje przekłady w „Expressie”, zabronił mi współpracy z innymi tytułami, a kiedy powiedziałem, że jako sekretarz redakcji nie mam obowiązku pisanie do „Karuzeli”, zażądał przedkładania mu wszystkiego co spłódzę, on wybierze teksty dla nas, resztę zwróci. Odtąd stałem musiałem egzekwować maszynopisy, co każdorazowo wywoływało awanturę.

Kiedy jeździł na urlop, siłą rzeczy zajmowałem się całą redakcją. Jakoś nie upominałem się o zapłatę za zastępstwo, szef też o tym nie pamiętał. Wreszcie zbuntowałem się i powołałem na odpowiedni przepis.

— Przed najwyższym sądem wygrasz, ale ze mną nie! — oświadczył. Było to jego ulubione powiedzenie, przecinające wszelką dyskusję. Pobiegłem do dyrektora Basisty, który mimo heroicznego oporu Becka kazał księgowemu wypłacić mi należną sumę. Ale za lata minione forsę przepadała.

Nie daj Boże, żeby zobaczył nas w Klubie w towarzystwie Huszcy i Fijasa. Miewali oni pretensje do „Karuzeli” i na zebraniach w związku literatów — o czym Beck zawsze dokładnie wiedział — głośno o tym mówili.

— Oni psy na nas wieszają, a wy pijecie z nimi herbatę! Nie mogli też ścierpieć, gdy zastawał nas — Karola, Jurka i mnie na rozmowie. To wtedy najczęściej padała komenda „Będziemy lepić!”. A gdy mieliśmy coś do załatwienia na mieście, musieliśmy każdorazowo meldować wyjście i przyście. Zamiast na nas, szef spoglądał na zegarek.

Brutalnie obchodził się z tekstami. Nie uznawał żadnych świętości. Raz poprawił... Czechowa. W przetłumaczonej przez mnie nowelce jest taka scena, gdy rodzice podglądają przez dziurkę od klucza swą córkę gruchającą z chłopakiem. W obawie, żeby młodzian się nie rozmyślił, tata zdjął ze ściany święty obraz i pobiegł z żoną pobłogosławić nim młodą parę. Beck, żeby było demokratycznie, zamienił święty obraz na portret dziadka Kleofasa, czego Zygmunt Fijas do dziś nie może mi darować.

Wszakże od czasu do czasu wykazywał troskę o nas. „Karuzelę”, jak innym tytułom, przyznano wymiennie bezdewizową z redakcjami bratnich czasopiśm satyrycznych. Mogliśmy za darmo, na zasadzie wzajemności, jeździć do „Krokodyla”, „Eulenspiegla”, „Dikobrazu”, podzielić się doświadczeniami z kolegami po fachu. Ale wiadomo jakie niebezpieczeństwa cychają na podróżujących. Pociąg może się, nie daj Boże, wykołcić, na ruchliwych ulicach samochód człowieka rozjechać, można uwikłać się w jakąś przegrodę miłosną. Włec żeby nas uszczę przed złem, jeździł tylko szef. Przez dziesięć lat nikt poza nim z tej okazji nie skorzystał.

Upominałem się kiedyś i to.

— Przed najwyższym sądem...

Często rozprawialiśmy z Karolem o stosunkach w redakcji. Zaprzyjaźniliśmy się niemal od pierwszej chwili. Naszą zażyłość sementował instynkt samoobrony i... Lwów. (.)

Baraniecki współredagował powielaną w kilkunastu egzemplarzach „Pacalichę”, czasopiśmo z piosenkami śpiewanymi przez batiarów, wiersze odtwarzającymi gwara lwowska. Kilka zilustrowanych przez Karola, zamieściliśmy w „Karuzeli”. Czy znać balladę o pannie Franciszce? No to posłuchajcie:

Na Liwandówce, za rogatkami,
Mieszkała sobi z rodzicielami,
Piękna jak anioł, gruba jak kiska,
Na imi miała panna Franciszka.
A ojciec panny, co był ryżnikiem,
Codziennie swini zarzynał z kwikiem.
I zy świń robił szpondry i kiski,
Taki był tatu panny Franciszki.
A matka panny za ladu stała,
Co tatu zarzął, mama sprzedała,
Wienc sprzedawała szpondry i kiski,
To była mama panny Franciszki...

Do córeczki uderzał w konkury młody fryzjerzyk, jednak nie przypadł do gustu ani tacie, ani mamie. Nadziali więc kieszke strychnina i podsuneli amantowi, ten spożył kolację razem z ukochaną i oczywiście obydwoje wzięli.

A ballada o bandycie Liwickim, który... ale niech to lepiej opowie piosenka:

Na Baturego, cy wy styszyci,
Przyd trybunałem Liwicki stał,
Bu on kuchancy odebrał żyć,
Dajonc z bruninga trzykrotny strzał.
Choć go wariatem czyni rodzina
I na Kulparków gwałtownie szle,
Musi być kara, tam dzie je wina,
Z tobu, Liwicki, już będzie źle!

Bandzior srodze odpokutował za swój czyn, o czym nie bez sentymentu wspomina dalsza część ballady. Utwory te podobają się czytelnikom, ale najbardziej... Beckowi. Każda piosenka, zanim trafiła na nasze łamy, kierował do „Malinowej”, gdzie na estradzie odtwarzali ją bawiający na gościnnych występach aktorzy.

Beck razem ze śpiewakiem Michałem (miał i innych współpracowników) tłumaczył libretta operetek. Był czas, że zbijał na tym kokosy. Gdy listonosz przynosił przekazy pieniężne, wpadał w szampański humor. Mnie kiedyś obciął przy samym weźle nowy krawat, innym razem posłał chłopca po mendel iaj (na koszt Delegatury) i rozbił je jedno po drugim rzucając do celu, którym była nowo kupiona szafa biblioteczna. Kierownikowi gospodarczemu, który przyszedł upomnieć się o mienie spółdzielcze, powiedział, że musiał nam wytłumaczyć na czym polega taszym.

Okresami gromadziły się chmury nad „Karuzelą”. Despotyczny, konfliktowy charakter naszego szefa powodował spiecia. Przeważnie szło o współpracę z łódzkimi literatami, przy okazji wspominałem Beckowi różne grzeszki. Po każdym takim mwieciu głowy w naszym periodyku ukazywały się wykresy planu 6-letniego i inne, potraktowane z całą powagą państwowotwórcze materiały, co budziło mieszane uczucia czytelników, bądź co bądź, pisma humorystyczno-satyrycznego.

Aż nastąpiło owo pamiętne trzesienie ziemi. Grunt usuwał się spod nóg, błyskawice i pioruny rozdzierały horyzont. A gdy się uspokoiło, wiatry przywiałły nowego szefa. Odetchnęliśmy z ulgą: już nam nie groził come Beck.

Fragment wspomnień z przygotowywanego do druku drugiego tomu książki „Reporter przed konfesionalem, czyli jak się po wojnie robiło gazeta”.

Piotrkowska, godzina duchów

Dokończenie ze strony 1

Pomyślał: Nie! takim draniem to ja nie będę. Nigdy! A potem myślał: co się dzieje w ogóle z tym narodem. Co się dzieje z tymi wszystkimi dziewczynami. Powinienem chyba oddać ją w ręce pierwszego napotkanego milicjanta.

Tu jednak również miał wątpliwości natury moralnej. Zatrzymując biedaczkę, a dzieciaki będą płakać. A mąż, pewnie jakiś pijak, zacznie je bić. Szamotał się wewnętrznie, nie był bowiem człowiekiem złym. Zdarzało się, że cierpiał za cały świat — szczególnie wtedy, kiedy miał kaca.

- Ile bierzesz za seans? — zapytał.
- Z panem pójdę za pięćset, proszę pana — rzekło układowie dziewczę.
- Za pięćset! — powtórzył wstrząśnięty, nie przypuszczając bowiem, że tak poważnie spadły ceny za usługi miłosne.
- Dam ci pięćset.
- Dobrze, proszę pana.
- Ale pod jednym warunkiem.
- Oczywiście, proszę pana.
- Że momentalnie wróci pan do domu.
- Bez kochania?
- Bez.
- Trudno, proszę pana.
- Wrócisz?
- Tak.
- Gdzie mieszkasz?

Podala adres przy dworcu kolejowym. Obejrzał się na kolejkę pod sklepem i powziął plan: spełnić dziś dobry uczynek. Odwiozł ją. W tym czasie Intruz zdążył zaopatrzyć się w wodkę i odejść; wróciwszy więc, śmiało będą mógł stanąć po pół litra.

Ruszył, skręcił czym prędzej w przecznicę i jechał aż do ulicy Składowej. Minawszy ją zatoczył łuk wokół jakiegoś dużego placu, na którym parkowały autobusy, i nagle zawahał się. Okolica była ponura i groźna. Po prawej stronie ciągnęły się tory kolejowe; widać było długie rzędy zużytych wagonów, a także ściany drewnianych bud, służących prawdopodobnie jako magazyny. Na wprost było coś jakby łąka — nie łąka, jakieś druciane ogrodzenie, jakieś krzaki, jakieś drzewka, resztki jakiegoś budynku. Tu i tam błyskała światłem pojedyncza latarnia.

Menedżer poczuł dary wzdusł krzyża i chciał w pewnej chwili zawrócić. Mimo to patrzył zafascynowany na ludzkie cienie, wynurzające się z ciemności i podążające mu naprzeciw. Były to stare, pijane kobiety i starzy, pijani mężczyźni; niektórzy śpiewali, niektórzy palili, inni przemycali cicho jak widma.

- Tu mieszkasz? — zapytał.
- Tak, ale trochę dalej.
- No to wysiadaj.
- A pieniądze?
- Wsadził rękę do kieszeni i próbował wyłuskać z pliku jeden banknot. Dziewczyna otworzyła tymczasem drzwi.
- Co ty kombinujesz? — krzyknął.
- Nic.
- Okłamałaś mnie. Wcale tu nie mieszkasz.
- No wie pan? Za kogo mnie pan bierze.
- Chwilczkę — powiedział. Chciał zatrasnąć drzwi, ale przeszkodził mu w tym jakiś młody człowiek. Inny młody człowiek stał na wprost pojazdu i notował spokojnie na kartce numery rejestracyjne.

Zaden z owych dwóch młodych ludzi nie wyglądał na ostentacyjnego bandytę. Ten przy drzwiach swrócił się do panienki: — Zabawiasz się, Luśka? — Nie. — To co robisz z tym panem w samochodzie? — Dziewczyna grała swą rolę płynnie i bez zająknięcia: — Powiedział, że odwiezie mnie do domu, a tu nagle zaczął mnie podmacywać. — Łezki! — zaprotestował oburzony menedżer. — Nie tknąłem cię palcem! — Jak to nie, proszę pana! Mówiłam panu, że się spieszę, że mam męża i dzieci, a pan proponował mi pieniądze i pakował łapsko pod sukienkę. — Pięć — zawyrokował człowiek przy drzwiach. — Co: pięć? — Pięć tysięcy. Wiemy gdzie pan mieszka, gdzie pracuje i jak się nazywa, więc w sumie musi pan zapłacić pięć.

Intruz wracał z butelką do swojego domu przy Piotrkowskiej. Jego samopoczucie zaczęło lekko zwyżkować. Milicja pracowała ostro, co chwila przejeżdżał jakiś patrol, interweniowali również piesz funkcjonariusze, legitymując pijaków, awanturników i prostytutki.

Ano, może nareszcie będzie porządek — pomyślał. Nagle zobaczył stojący przy krawężniku wóz i znajomego dyrektora.

Nieszczęsny menedżer opierał obie ręce na kierownicy, przy czym minę, proszę sobie wyobrazić, miał ponurą.

- Co się stało, panie kolego? — zagadnął z niekłamany współczuciem Intruz.
- Menedżer machnął ręką: — Szkoła gadać!
- Okradli pana?
- Nie.
- Więc czemu pan się martwi?
- Zgubiłem gdzieś pięć tysięcy.
- Niech pan przeszuka jeszcze raz dokładnie kieszeń po kieszeni.
- Szukałem już sto razy.
- Fakt, nie przyjemnego, ale wie pan co? Najważniejsze, że jest pan zdrow i cały.
- Nie jestem ani zdrow, ani cały. Coś mi się zdaje, że w naszym wieku człowiek powinien siedzieć po prostu wieczorami w domu.
- Pewnie, że tak — przytaknął Intruz. — Jak pan chce, możemy wypić u mnie po jednym.
- I co? Mam później uisnąć pod muchą za kierownicę?
- Mogłby pan wrócić taksówką.
- Boję się nocnych taksówek.

Jakaś taksówka zatrzymała się właśnie po drugiej stronie ulicy. Dłuższy moment stała tak w ciemności i bez ruchu, po czym wysypało się na chodnik jakieś czterookosowe towarzystwo.

Dyrektor zamienił jeszcze z Intruzem parę zdań, nagle jednak umilkł zdumiony. Tak samo mniej więcej zareagował Intruz.

Najpierw poznał trzydziestoletnią kobietę, z którą obydwa mieli parę tygodni temu do czynienia — była to owa dorabiająca dziewczyna, przedstawiająca każdemu z nich inną wersję swojego życia.

Ale obok niej szła również inna dziewczyna, ta bez zębów, śpiączka się jeszcze godzinę temu do swojego mieszkania przy Składowej, aby podać głodnemu mężowi i dzieciom kolację.

REMIGIUSZ CAŁOPALEK

P.S. Otrzymałem niedawno list od Obywatela zamieszkałego przy ulicy Piotrkowskiej w rejonach Grand Hotelu. Obywatel ów, obserwujący codziennie godzinami życie miasta, jest wysoce zaniepokojony tym, co dzieje się w okolicznych barach, kawiarenkach i sklepach. Jego wiedza o ludziach urzędujących oficjalnie lub półoficjalnie na wspomnianym odcinku ulicy jest ogromna, ale jego lek jest nie mniejszy.

Ja również nie czuję się zbyt pewnie. Podeszłem niedawno do mnie człowiek, którego nigdy nie widziałem na oczy, i ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu zapytał:

- Pan nazywa się Remigiusz Całopalek?
- Tak.
- I zaczął pan niedawno pisać w „Odgłosach”?
- Owszem.
- Serdecznie gratuluje, czytałem dwa kawałki. Ale chciałem panu coś poradzić: niech się pan za bardzo nie rozpęda, bo możemy się pogniewać. Od niektórych spraw lepiej trzymać się z daleka.

I tak ucieknę — myślał patrząc prosto w oczy dyrektora zakładu. Co się skończy? Też coś, bać się go będę! Jeszcze się taki nie urodził. Nawet nie starał się słuchać, co do niego mówił. Czekaj! Jedyne na sakramentalne — zrozumieć się chyba chłopce — a kiedy padło, uśmiechnął się szeroko. Tak jest, panie dyrektorze! Co mu zależało udawać układowego? Dobrze wiedział, że dorodził pasjami lubią, aby im przytakiwać.

Siedział teraz z wychowawcą do sypialni. Wiać, wiać stąd, natychmiast! Wszystko co drżało w nim z tego pragnienia. Czuli się jak dziki ptak nagle zamknięty w ciasnym, ciemnym pomieszczeniu. Czekając swoboda, kumple, przytulna melina, a tu...! Dawniej nie bardzo miał gdzie uciekać. Chyba że do domu. Pamięta jak pierwszy raz trafił do poprawczaka, że niby społecznie nieprzystosowany — wagar, kradzieże w szkole, no i to włamanie do kiosku. Ogromnie tęsknił za swoimi, za matką, nawet za wiecznym pijanym ojcem. Najbardziej za małą Kasią, co jej zawsze okierki za trafne pieniądze kupował. Jak Kasia od tamtego czasu wyrosła! On też się zmienił, wyrosł! Teraz nie zajmuje się byle czym. Włamanie do chat, samochody, sprzęt elektrotechniczny, to jego specjalność. Znał go dobrze okoliczni paserzy. Krzysiek to solidna firma. Nie zająłby wcale do domu, gdyby nie rodzeństwo. Trochę jedzenia trzeba podrzucić. Kasi jakiś nowy ciuch, dziewczyna piękna jak marzenie, matce parę groszy, a i z ojcem półlitrowkę obalić. Niech wiedzą, że syn ich odwiedził. Tak po prawdzie, to nie zasługują sobie na jakąś admirację.

— Siadaj wodną, pogadamy — wskazał mu krzesło.

Krzysiek rozsiadł się wygodnie i popatrzył przeciągle na popielniczkę.

— Co to, to nie bratku! Palić wspólnie nie będziemy! Kiełchem cię też nie poczęstuję.

— Gumą także nie radzę — wtrącił chłopak i niedbale gestem, jakby się przeciągając wysunął przed siebie długie ręce, rozprostował pięści, ogromnie jak bochny.

— Kozak z ciebie. Nie wyobrażaj sobie jednak, że nas zawojujesz. Całkiem nieźle sobie poczynamy z różnymi typkami. Tu bracie masz do dyspozycji cały instytut wychowawczy!

— Jaki ja brat dla pana, a wychowanie już odebrałem, hrabiowski! Życie uczę najlepiej. Nikt się ze mną nie pieści. Od pętaka krasa musiałem, żeby bruch był pełny i mój, i rodzeństwa. Gdzie wtedy obracali się szanowni wychowawcy? Jakoś nie zatoszczyli się o nas, a rodzinke mam sporą — pięciorka baków jeszcze w domu.

— Mimo wszystko mało wiesz. Lekko żyć nigdy nie będzie ci łatwo. Zawsze w końcu trafisz pod kluczyk, dokładnie tak, jak teraz. Lepiej się ustakuj. Nie pójdziesz ci jak po masle, ale warto, spokojnie mieć będziesz i czyste sumienie.

— Moim sumieniem jest żółtek i całe spodnie na tyłku! Był pan kiedyś głodny i garścią przyrodzenie zakrywał, jak kto obcy wchodził do chłupy? Nie? To zostaw pan swoje nauki dla lepszych, bo do mnie nie dotrą!

— Dotrą, dotrą. Na wiele spraw przyjdzie czas...

— Złudzenia! Moje sprawy czekają na mnie za bramą tego zakładu. Wyjdę i do nich powrócę. Reszta mnie nie interesuje.

— No to pogadaliśmy po przyjaźnisku. Idź teraz do kolegów i nie pal w sypialni.

— Gumy nie będzie?

— Nie, ale za następną wpadkę, paka!

Krzysiek wyszedł. Też sobie znalazł obiekt kazański! Co mu będzie kawałki wtykał i w ogóle co taki gogus wie o życiu. Niech się zapyta chłopaków czy dziewczyn z jego paczki czy chociaż Krzyska dawniej nauczycielki, która go uczyła w klasie przerosniętej — tamci to mieli życie! Samo dno życia. Ojciec Jurka do siostry się zabierał. Maryśka była duża, trzynaście lat dziewczucha, niech jej tam! Ale kiedy chciał do pięcioletniej Joli, tego już ścierpieć nie mógł. Wła! staremu, a że chłopak był nie ukłomek, to ojciec cherlawy płaćczywa w szpitalu wylądował. Zeberka mu reperowali. Radek regularnie obijał swojego rodziciela, kiedy tamten „na cyku” ze skórzany pasem zakończonym metalową sprzączką do matki ruszał. Wiazał go nawet do łóżka. Zośka Rzepcekich butelkami handlowała. Żeby było na mleko dla drobniaków. Po całym mieście jeździła, w śmietnikach grzebała. Dziś biedni dostają z onieki, iakoś im łatwiej. On zebrać nie będzie, nie musi, na kombina-

— Krótko trzymaj, co?

— Posiedzisz, zobaczysz Żyć...

— Długo nie zabawie, z gorznych tarapatów wyłaziłem.

Niektórzy chowali papierosy. Trzech razem z nim spokojnie wzięło się do palenia. Któryś z młodszych otworzył usznięte okno. Wtedy pojawił się wychowawca.

— Dobrze zaczynasz nowy! Ty rozdajesz papierosy?

— Ja, a bo co? — postawił się Krzysiek. — Pale od kolyski i palić będę. Nikt mi nie zabroni.

— Okaże się. Proszę do mnie kolejno. Piatkowski, Waciak, Janas i nowy.

Wyszedł, za nim Piatkowski.

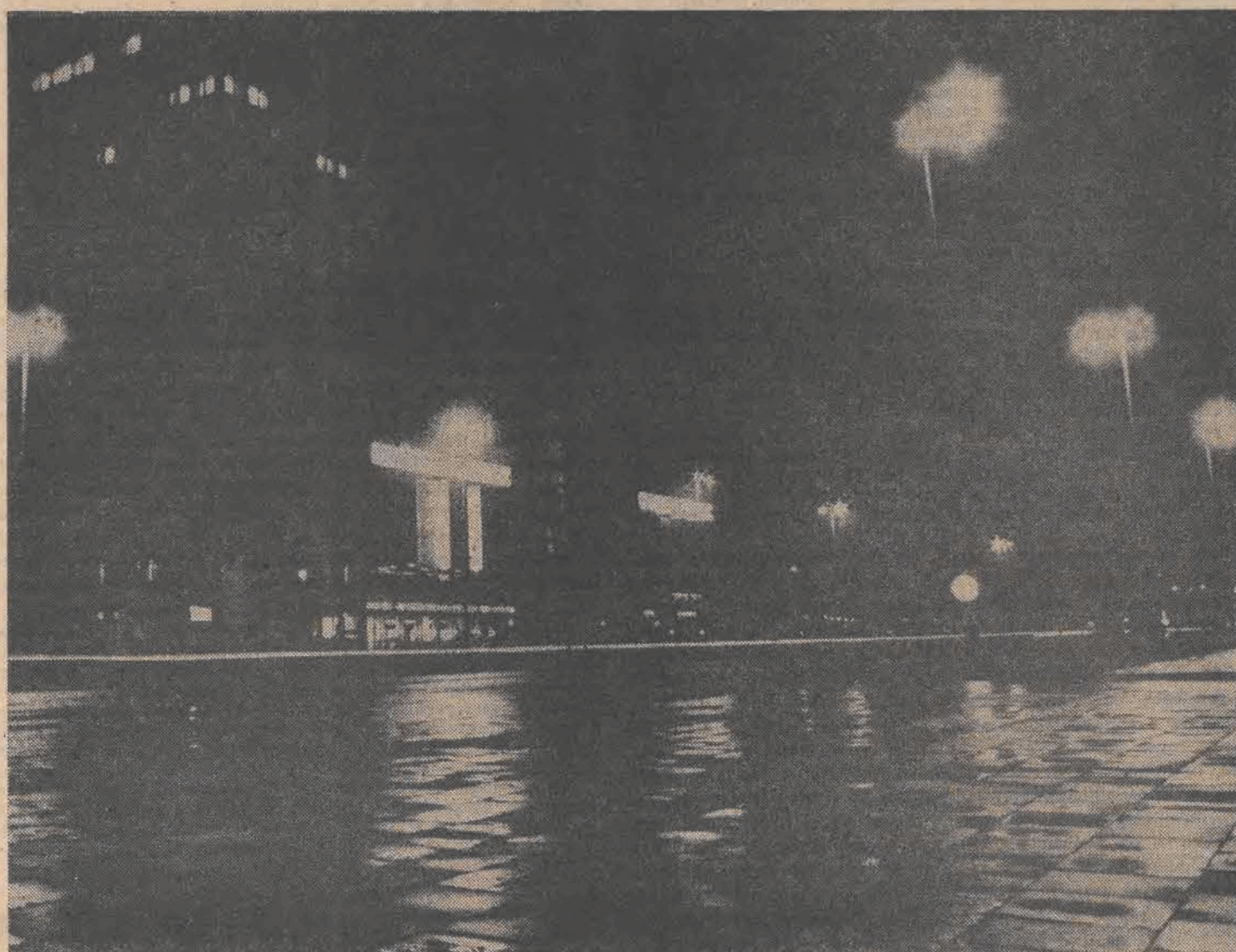


Foto: Grzegorz Galasiński

ciach dalej zajadzie, niż na pracy. Próbowal już w warstwie samochodowym i wie czym to pachnie. Majster po dupie go kopał nie będzie, a na państwową posadkę to szkoły nie ma. Ojciec z matką całe życie w fabryce robili, forsa szła na przelew, w tej śmierdzącej norze już tyle lat siedzą. A on ma fajną melinę i grosz odłożony na własne mieszkanie. Jak dojdzie do pełnoletności odkupi od kogoś, koniecznie w blokach i z wanną! Zawsze był gospodarny i oszczędny. Pamięta jak przed laty po raz pierwszy milicja go zwinęła. Sam obrobił za dwa stoiska w „Uniwiersalu”, sprzedal towar. Całe pięćdziesiąt kawalców przez dwa tygodnie nosił w tylnej kieszeni farmerków. Zabrał mu je oczywiście! Ale to było pierwszy i ostatni raz. Więcej już mu nic nie zabierali. Umiał się urządzać.

Dni biegły wolno, jednostajnie. Nauka, praca, warsztaty. Wypełniali im czas dokładnie, nawet w karty nie było wolno pograć. Krzyska nudziło zakia-

głowa. Nie miał ochoty na Kryśkę, choć mu się pchała do rózki.

W sobotę szli na skok. Przygotował go jak zwykle Długi, zawsze robił to dobrze. Krzysiek wylosował nowego, będą w parze. Była to prywatna willa na peryferiach. Właściciele tego wieczoru wyjechali ponoć na wesele. Dowiedzieli się od Bodka, który mieszkał w okolicy. Dom miał być pusty. Ale tym razem szczęście nie dopisało. Nowy i Krzysiek trafili na syna gospodarzy. Chłopak spał w najlepsze, kiedy narobili hałasu wyskoczył jak oparzony z pościeli. Był chyba rówieśnikiem Krzyska. Nowy szybko się z nim uporał, dał go fbie i tamten stracił przytomność. Wiązali go we dwójkę, przescieradkami, jakimś lachami znalezionej w szafie. Nowy darł je szybko zębami na pasy. Wkrótce leżał jak baran z kneblem w ustach. Mieli już iść dalej, gdy obudzili się i wytrzeszczyli na nich swoje niebieskie gały. Krzysiek chciał szybko wyjść, ale nowy

Takich morderczych skrzyżowań jak w Meszczach duma naszych dróg z lat 70-tych ma jeszcze parę: w kierunku na Bełchatów, Radomsko i z kierunku Łodzi. Dalej, już za Tomaszowem, w poprzek naszej wspólnie autostrady przejeżdżają najspokojniej wozy z sianem lub co gorsza z gnojem zostawiając po sobie na asfalcie niebezpieczny śliski ślad. Co prawda wszystkie te skrzyżowania będące wynikiem „niedokończonej drogowej symfonii” są „ynalizowane znakami ograniczającymi szybkość do 70 km/h, ale który rozpędzony kierowca tego przestrzega? W końcu nawet zderzenie przy tej prędkości, zależnie oczywiście od masy pojazdu ma siłę i skutek uderzenia pocisku armatniego dużego kalibru.

6 czerwca o godz. 12.30 w rzeczonych Meszczach, opodal stacji benzynowej, gdzie na autostradzie wyprowadza kierowców objazd obowiązujący po jazdy powyżej 2,5 tony nastąpiło tragiczne zderzenie wielkiego trzyosiowego „Jelcza” ze Spółdzielni Ogrodniczo-Pasieczarskiej z Sochaczewa z autobusem tej samej marki należącym do szkoły gminnej w Pszczółkach w woj. gdańskim. Kilkanaście godzin po wypadku byłem w tym miejscu i jak wszyscy zadawałem sobie pytanie, jak mogło dojść do katastrofy (określenie adekwatne do liczby ofiar) na terenie o tak dobrej widoczności. Dojazd do skrzyżowania oznaczony jest znakami stojącymi i napisami na asfalcie. Autostradę (tak tę drogę szybkiego ruchu nazwimy) słycały z daleka, sznury pojazdów są też widoczne, a jednak Aleksander Czubacki — kierowca szkolnego „Jelcza” wjechał wprost pod koła rozpędzonej ciężarówki pełnej na dodatek ceramicznych rurek do melioracji — co daje pojęcie o wadze pojazdu uderzającego w bok autobusu pełnego dzieci.

Wśród potwornego huków oba pojazdy przewróciły się: autobus na bok, ciężarówka na plecy...

A więc dlaczego?

W Szpitalu Wojewódzkim w Piotrkowie Trybunalskim mówi mi kierowca ciężarówki Jan Włodarczyk. (Notuję z taśmy):

— Jechałem po tej trasie i widziałem z prawej, że boczna droga nadjeżdża autobus, ale nie przypuszczałem, że jeżeli jest to dwupasmowa jezdnia i jeszcze z pierwszeństwem przejazdu, że autobus może mi zajechać drogę. Nie było nawet mowy o hamowaniu, chociaż nacisnąłem hamulec. Ale było to już w ostatniej chwili... Nastąpiło zderzenie. Uderzony był środek autobusu. Przytomności nie straciłem. Pamiętam po-



tworny huk szyby i przekrzykaliśmy na pobocze. Mój silnik jeszcze pracował. Wyczołgałem się z rozbitej szoferki i po myślałem, że samochód może się zapalić, ale nie mogłem już dojść, bo obie nogi miałem poranione. Jakiś mężczyzna dobiegł i wyłączył motor.

W innym szpitalu przebywa kierowca autobusu Aleksander Czubacki. Za zgodą dyżurnego lekarza i z nim odbyłem rozmowę. (Fragment nagrania):

— Jak dawno jest pan kierowcą?

— Od 1966 roku.

— Zawsze jeździł pan dużymi samochodami?

— Nie, osobowymi również.

— Od kiedy jeździ pan szkolnym autokarem?

— 4 lata. Na różnych trasach — Warszawa, Kraków, przeważnie na wycieczkach. Teraz mieliśmy nawet jechać do NRD, właśnie miałem odbierać paszport...

— Nie ma pan pomocnika? To przecież męczące trasy. Ile godzin jechał pan wczoraj?

— Pomocników nie mamy już dawno. Poprzedniego dnia wróciłem z trzydniowej wycieczki do Warszawy i jechałem właśnie na Kraków, Myślenice, Częstochowę. Spieć 7 godzin, a za kółkiem nieraz czarnaśnica, piętnaście... szesnaście...

— Bez przerwy?

— Niesupełnie. Czasem, kiedy wycieczka coś swiedza uda mi się przespaa godzinke lub dwie w kabinie...

— Jaką trasę miał pan przebieg tego dnia?

— Z Myślenic do Gdańska, 616 kilometrów. Jechałem trasą na Łódź, we Włocławku mieliśmy mieć obiad. Przed Piotrkowem zaczęło padać. No i to skrzyżowanie i ten huk, poranione dzieciaki wokół. To mi stół przed oczami przez cały dzień, całą noc. Przez to skrzyżowanie przejeżdżałem nie raz, nie dwa. I teraz nie widziałem nic. Teraz wiem na pewno, że

WIESŁAW MACHEJKO

Tragedia u progu lata

nie widziałem ani znaków „stop”, ani nadjeżdżającego „Jelcza”. Nic! Czuję się jak morderca, jak skazaniec...

W szpitalnym pokoju zapada przejmująca cisza. Czubacki tłumaczy, przeżył to. To nie może nie budzić współczucia. A jednak leży przed nami chyba jedyny i bezpośredni sprawca wypadku, w którym 29 dzieciaków w wieku od 8 do 15 lat i 8 osób dorosłych cierpi w szpitalach, a kto wie, czy nie opuszczają ich ze zmianami trwałego kalectwa czy późniejszych powikłań, które ciągnąć się będą za nimi przez całe życie.



cie, Czubacki nie ma w tej chwili nic na swoją obronę, prócz stanu nieświadomości, w którym znalazł się na skrzyżowaniu dróg w Meszczach. Mogło w ten sposób dać znać o sobie narastające przemęczenie, na które skazywał się już dłużej wszyscy kierowcy zawodowi, wykorzystywani niestety ponad miarę przez swe firmy, kuszące premiami, nagrodami za jazdę w nadgodzinach.

Mogła odebrać się nieznana choroba mózgu, polegająca na sekundowym zakłóceniu świadomości. Członkowie specjalnej komisji wypadkowej będą mieli naprawdę trudne zadanie.

Tymczasem małymi i dorosłymi ofiarami katastrofy zajęli się lekarze dwóch piotrkowskich

szpitali: Wojewódzkiego i ZOZ. Oto co o akcji ratowniczej mówi 15-letni Mirosław Szeremeta (i znów odpląsuje z taśmy):

— Ja zobaczyłem ten ciężarówkę samochód nadjeżdżający z boku i poczułem uderzenie z tyłu w plecy. Wyleciałem w powietrze. Kiedy się podniosłem



zobaczyłem straszną mieszaninę rąk i nóg. Wszystkie we krwi. Wtedy wyczołgałem się z rozbitych siedzeń. Inni płacząc i krzycząc szli po mnie. Wszyscy wołali żeby wyjść jak najszybciej, bo może się autobus zapalić. Ale nie każdy mógł. Dziewczynki leżały przygniecione, bagażami i oparciami. Ludzie z samochodów, które się zatrzy-

nia cennych leków zagranicznych — jeśli zajdzie taka potrzeba.

Wicekurator piotrkowski Aleksandra Makowska postawiła na nogi zarząd wojewódzki TPD. Przygotowano dla dzieci najpierw paczki ze słodyczami, ale nie wszystkie przecież mo-

Elżbieta Szeremeta z Pszczółek, która jako jedna z pierwszych przybyła do swego syna Mirka już w nocy z 6 na 7 czerwca mówi ze łzami, że tak wspaniałej opieki lekarskiej i

pielęgniarskiej, jak tu w Piotrkowie nigdy nie widziała i bawnie nie zobaczy.

— Ludzie są tacy serdeczni, przejęci losem naszych dzieci, troszczą się o nas, bo wiedzą jak matka przeżywa ból swego dziecka.

Alle po godzinach zdenerwowania, trwogi, niepokoju o życie dzieci wraca chłodne pytanie: dlaczego do wypadku doszło i co zrobić, by nie powtórzyło się to w przyszłości? Tym bardziej, że sezon szkolnych wycieczek właśnie się rozpoczął.

Odpowiada na to ojciec rannego 15-letniego Basi — Edward Dacka. (Również nagranie na taśmie):

— Przecież ten kierowca ujął tylko jeździć od wsi do wsi polnymi drogami! Dzieci zbierał i do gminnej szkoły zbiorczej zwoził. Autobus też miał swoje lata. I gdzie się to pcha na międzynarodowe drogi? I czym? Mamy pretensje do szkoły, że się porwała na takie wycieczki? I jeszcze jedno: niepokoi nas przyszłość tych dzieciaków, bo właśnie skończyły podstawówkę i miały przystąpić do egzaminów do liceów i szkół zawodowych. Czy władze szkolne uwzględnią ich sytuację?

Kierownik wycieczki, nauczycielka szkoły w Pszczółkach, Elżbieta Wawrzyniak, również ranna, bez przerwy krąży od sali do sali, rozmawia z dziećmi, pociesza, pomaga pielęgniarkom i powtarza w kółko jedno:

— O Boże! Jaka to wielka odpowiedzialność kierowca szkolną wycieczką, jaka to straszna nauka i przestroga dla wszystkich...

— Tak! Przestroga dla wszystkich. Bo lato puka do drzwi wywołując na szlaki, drogi, jeźdźców. Oby nie było to ostatnie lato.

(Zdjęcia WUSW — Piotrków Tryb.)

EDWARD BRYL

Ostatni skok

ówce życie. Marzył mu się powrót do paczki. Jego osiemnaste urodziny minęły tutaj, w poprawczaku, bez echa. A miało być zupełnie inaczej — kumple, dziewczyny, szkoła. Leżał teraz w łóżku i już nie wiadomo który raz powtarzał sobie plan ucieczki. Wszystko obmyślił dokładnie. Postanowił uwracać się w czasie godzin pracy. Istniała możliwość, że wówczas nieprędko spostrzegą jego zniknięcie. W dzień łatwiej mu będzie wplatać się w tłum, zapasać się jak kamień w wodę. Dręczył go tylko fakt, że nie ma przy sobie pieniędzy i będzie musiał na samym początku coś rąbać, odwykił już od takiej roboty, drobniaka to dobra dla szczeniaków, bez pieniędzy jednak nie ma co ryzykować jazdy do swoich. Planów ucieczki nie dzielił z nikim. Nikt nie był mu potrzebny. Nieciekawie ocenili swoich towarzyszy niedoli — dzieciaki. Dawno wyrósł ponad nich. Nie miał jeszcze dziesięciu lat, kiedy parali się takimi sprawkami jak oni. Czym mogą mu zaimponować? Do dyżuru Kalifskiego brakowało jeszcze trzy dni. Wtedy ucieknie. Będzie to swoisty sposób pokazania przewagi nad tym przemądrzałym belfrem.

Czas włókił się w nieskończoność. Nie mógł doczekać popołudnia. Wszystkie miał zapiekie na ostatni guzik. Nawet kurtkę sobie naszykował. Nie może niczym się wyróżniać. Właściwie okoliczności mu sprzyjały. Nawet skok z pierwszego piętra nie nastreścił żadnych kłopotów. Poszło gładko, miał niezły trening w tej materii. Było dostatek się przedko do miasteczka. O tej porze roku pełno przybyszów, czasowiczów, turystów. Szedł w miarę szybko, na tyle, na ile pozwolił mu las. Drogi unikał. Później wszedł do sklepu i rozejrzał się za odpowiednim klientem. Wybrał turystów, rozpoznał ich łatwo. Pokreślił się trochę i było po wszystkim. Zasobny portfel — około dziesięciu tysięcy złotych. Miał fart! Wyruszył na autostradę ponieważ do pierwszego lepszego odjeżdżającego pociągu pozostawało ponad trzy godziny, to byłoby zbyt ryzykowne. Zeby zmylić ewentualną pogonę wybrał się w przeciwnym kierunku. Teraz jechał w kabinie kierowcy w stronę Płocka pałac spokojnie papierosa. Stamtąd do Łodzi już autobusem. Jaka to będzie radość, gdy pokaże się w melinie.

Rzeczywiście, nikt się go nie spodziewał. Wysłał zaraz chłopaków po alkohol i żarcie. Sam, choć wcale nie był zmęczony, rozwałił się wygodnie na postrzępionej wersalce i zdrzemnął się. Dziewczyny miały przygotować przyjęcie.

Kiedy się obudził wszystko było gotowe. Kumple też ścagali. Z powitania pamiętał niewiele. Szybko się upił. Wiedział tylko, że przybyli nowi, ze stolicy i teraz łączy z nimi na roboty. Ponoć jest niezły. Zapamiętał go dość dobrze. Niski, krepy, lat około dwudziestu pięciu. Uśmiechnął sobie prawie, przepili brudziaki. Potem było jeszcze parę kieliszków i już nie wiedział nic. Następnego dnia cały przespał. Bolała go

wrócił go ruchem dłoni. Oba stali nad jeżdżącym.

— Usiadł mu na nogach, żeby się nie szarpał.

Krzysiek machinalnie wypełnił polecenie. Widział przed sobą tylko plecy nowego, który przysiadł tyłkiem brzuch chłopaka. Zanim zorientował się, co tamten robi, było po wszystkim. Nowy wycierał łódź o drgające jeszcze ciało, czerwona, gorąca struga płynęła ciurkiem po podłodze. Krzysiek zemdlał, kiedy się ocknął stali nad nim kumple i walili go pęską. Wstał.

— Wiejmy — rozkazał Długi. — Po coś to robił, durniu — szepotał do nowego, który stał na rozkraczonych nogach, zdyszany, czerwony, gotowy do bójk. — Trzymamy się z dala od mokrej roboty. Zmiałaj! Więcej nie będziesz chodził z nami!

— Wariaty — odezwał się w końcu nowy. — Teraz jesteśmy współnikami. Musimy już zostać razem.

Poszli, nie nie wzięli. I w ogóle była to piekielna noc. Pili, ale Krzysiek nie mógł się upić. Słuchał, jak nowy opowiadał, że dawno marzył, aby trafiła mu się taka okazja. Już w dzieciństwie zabijał psy i koty. Wprawiał się Radził, żeby oni przynajmniej teraz zaczęli. Na początek można odzierać ze skóry, robić różne sekcje, a potem nauczyć się pozabawiać życia jednym pchnięciem noża. Zawsze taka umiejętności może się przydać. On do człowieka to nie miał śmiałości, ale teraz musiał. Chłopak wydałby łech, rozpoznał. A wtedy...

Kumple nie podzielali zdania nowego. Siedzieli markotni. Krzyskowi zrobiło się niedobrze. Zamknął się w ubikacji i wymiotował. Coś się w nim zlamalo. Załował, że wrócił, nie został w poprawczaku. Czemu pozwolił, aby na jego oczach zamordowano chłopaka. Mało tego, siedział na nogach niebezpiecznika, gdy tamten... Boże! Przecież wszędzie pełno jego odcisków palców. Jest mordercą, udowodnią mu to. Sam czuł się winien. Krasć, to krasć, ale zabić? To nie mieściło się w jego mentalności. Stał pochylony nad muszlą, chwiał się. Nie miał już sił ani ochoty wracać do nich. Gdzie się teraz podzieje? Już go szukają! Wtedy usłyszał, jak ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Łomotanie to cichło, to narastało. Jezu! Milicja! Teraz już się nie namyślał. Zdał pasek od spodni, zawiązał pętlę, potem umorował do rury. Będzie sprawiedliwie — śmierć za śmierć. Sam sobie karę wymierze...

Kiedy otworzył drzwi, Krzysiek już nie żył. Nie bardzo rozumiał co się stało. Czy nie wytrzymał psychicznie czy wystraszył się Józka i Kazika, co kopał we drzwi. Jedno jest pewne, wszyscy muszą wiedzieć. Koniec z meliną. Jutro będzie tu milicja.

Wiersze nagrodzone

W TURNIEJU JEDNEGO WIERSZA
„CZOŁENKO TKACKIE”...

Kazimierz Arendt

Anioł w ogrodzie

po cóż mnie tak goni
ta myśl do wspomnień
niepokoje drażni uparta
i szarpie spętana

w nadziei na ocalenie
ty pierwszą pokazałaś mi wiersz
pamiętam głos czytałaś
smutną opowieść „Do M”
przecież już rozebrali
stare mury z Bytomskiej
cegła po cegle
gdzie bunt narastał zagubionych serc
w sześćdziesiątym skostym

już nie ma mnie
nie ma ciebie
a dusze jak mury rozbiły
których głos słaby
biał przez duszący dym

w piekielnym ogrodzie
nawet stary świadek plot
przeżył w deszczu i wietrze
gdy sękami patrzył
na miłości technię

i żar wygasł w kaflowym piecu
co przy łóżku stał o czterech nogach
znikł długim czekaniem zmęczony
jakby sobie gdzieś poszedł

teraz żal gorzko i siono i brak
że nie jesteś moim aniołem
niosąc rozdarty sztandar wron
co pionał miłością i czuł lek

chyba że gdzieś nad brzegiem
wśród trupów i zgłiszcz
załadniesz swym śpiewem
lub skonasz z wycieńczenia

więc skąd się podnosi
z wolna twój obraz
przez otchłań zamglony
co latami płynie

maj — listopad 1983

Andrzej Strak

kordian

sielskość anielskość
dojrzenie
chmurność i durność
pielgrzymka
z głową posypaną
gazetowymi literami
do szklanej góry gór
do szczytu szczytów
pałacu kultury i nauki
w podziemiach niewidzialni
spiskowcy
więc wspinaczka
po cichobieżnej drabinie windy
przez antyczne teatry
sale pompejańskie i kolumnowe
tu mieszka

car
ale w natłoku komnat
nikt
tylko blazny i mędrcy
ziab
więc jeszcze jeden krok
w ostani piekła krąg
na dach
naszego świata
przed skokiem ogrzewasz ręce
nad bulgoczącym kotłem
słofica
z zawiązanymi oczami
stajesz na samej
krawędzi
i wtedy
otwierają się całkiem
inne widoki
harold Lloyd
wielki męski
wiek

...W KONKURSIE DZIELNICOWEGO
DOMU KULTURY ŁÓDŹ-GÓRNA

Stefania Opalska



dedykuję matkom, które opuściły
swoje dzieci

Matko jaka jesteś
zza firanki nieobecności
urostaś do motyla
uchodzącego w słońce
Zamgloną pamiętką
medaliką na cienkiej
dziecięcej szyi połówką
fotografią której już nie ma

Połamane kołczyki z opalem
do nieprzekutych uszu
Brylantową broszą wytwornej
damy sięgasz wspomnienia
nie do odczytania

Maleńką rączką dziecka
Dorośli Kobieta odgaduje
we śnie niepojęte znaki
lecz żaden z nich nie
zaprowadzi do ciebie

Matko kim jesteś
czy bardzo cierpiełaś
zostając kukłką

Bez serc, bez ducha...

MAREK TRUSZKOWSKI

Czy potrzebne są festiwale? I — komu są
potrzebne? Czy naprawdę na takie formy
konfrontacji artystycznej istnieje obecnie po-
pyt? Poza tym — jaką dzisiejsze festiwale
mają funkcję do spełnienia? Czy wnoszą co-
kolwiek do danej dziedziny życia kulturalne-
go?

Takie i inne pytania można by mnożyć
Rzecz w tym jednak, że zrodziły się one nie-
jako na kanwie pofestiwalowej refleksji, do-
tyczającej dwudziestych czwartych już z ko-
lei Kaliskich Spotkań Teatralnych, jakie w
mieście nad Prosną odbywały się do połowy
maja br.

Spotkania, festiwal, mniejsza o nazwę, waż-
na jest treść, wynikająca tak z formuły im-
prezy, jak i z artystycznych prezentacji posz-
czególnych scen teatralnych (w br. — ośmiu
teatrów wzięło udział w konkursie). W Kaliszu
formuła okazała się beztreściowa, poziom ar-
tystyczny — nierówny, delikatnie mówiąc.

Na imprezie tego typu szczególnie piękno
wywiera osobowość artystyczna kierownictwa
sceny gospodarzy (Teatru im. W. Bogusław-
skiego) oraz ludzi którzy tę imprezę organi-
zują, z reguły zakochanych w Melpomenie i
będących au courant wszystkiego, co się w
krajowych teatrach dzieje. Po inicjatorze KST,
nieznanym mi dyrektorem Kubalskim, te-
atr kaliski przeżywał jeden tylko okres roz-
kwitu. Najpierw rządziła rodzina (brat pisał
i grał, siostra reżyserowała, szwagierka grała
główne role etc.), co nie zapisało się złotymi
złócenkami w annałach sceny. Inni dyrektorzy
byli nijacy i bezbarwni, a ich szumne zapo-
wiedzi artystyczne satysfakcjonowały mecena-
sa, lecz w praktyce widowiska głosowała „na
nie” trzaskająca fotelami. Ten najjaśniejszy
okres to dyktowanie w Kaliszu Izabelli
Cywińskiej, kiedy teatr tętnił życiem nie tyl-
ko podczas festiwalowych prezentacji. Obec-
nie osoba Romana Kordzińskiego zdawałaby
się zwiastować poprawę, gdyby... no właśnie.
co? Ano, gdyby organizatorzy rzetelniej po-
deszli do swych zadań, teatry miały w reper-
tuarze polskie dramaty współczesne, reżyserzy
tworząc wene, a zespoły aktorskie poza do-
brymi rzemieślnikami miały w swych skła-
dach także „forszpie”.
Debata nad formułą trwałą bodaj tyle cza-
su, ile istnieje kaliski festiwal. Przygotowując
jego obecną edycję uwzględniono jubileusz
40-lecia Polski Ludowej, z tym wszakże, że
uczyniono to tak późno, iż teatry nie były w
stanie przygotować odpowiedniego spektaklu,
nie burząc przy tym innych planów repertu-
arowych. W efekcie — z dwunastu zapro-
ponowanych uprzednio przez ciało pełniące
obowiązki komisji artystyczno-kwalifikacyjnej
scen wystąpiły w Kaliszu dwie (gospodarze
oraz Teatr Wybrzeże z Gdańska). Inne teatry
dokonywane na zasadzie „lapania”, a także
przypadku: kto chciał i mógł, przyjechał i
wystąpił, nierazdo załapując w dodatku na-
grody, jako że pula finansowa też właśnie
przeznaczona jest w Kaliszu najwyższa spo-
śród wszystkich miast organizujących podobne
imprezy.

Ów niewypał organizacyjny, „poszkaplenie”
po prostu sprawy przez ludzi mających przy-
gotować imprezę na właściwym poziomie, zo-
stało w dodatku ubrane w uczone słowa.
Otóż oświadczone, że spektakle dobrane zo-
stały z uwagi na ich wybitny poziom artysty-
czny. Ta formuła-klucz była już kilkakrotnie
stosowana dla przykrycia czyjeś nieudolności
bądź przypadkowości poczyniń.

Efekt tego wszystkiego taki, że widzowie i
umiezione jury oglądali spektakle bardzo róż-
ne, tak treściowo jak i pod względem insce-
nizacji. Było w Kaliszu wszystko: klasyka świa-
towa (Szekspir), przedwojenna komedia (Sko-
ninski, „Rodzina”, Teatr Nowy z Łodzi), dra-
maty auto- i biograficzne („Już prawie nic”
Jerzego Andrzejewskiego, Teatr Wybrzeże z
Gdańska oraz „Z życia glist” P. O. Enquista,
Teatr Stary z Krakowa), współczesny dramat
polski („Anioł na dworcu” J. Abramowa, te-
atr gospodarzy) i obcy, z publicystycznym za-
cięciem („Klub” D. Williamsona, Teatr im. S.
Jaracza z Łodzi), był Molier („Don Juan”,
Teatr Nowy w Warszawie) i wstrząsająca
wybitna „Pułapka” Tadeusza Różewicza (Te-
atr Współczesny z Wrocławia). I okropna,
choć poza konkursem, komediowa ramota w
żenującym wykonaniu tuzów warszawskiej
sceny i estrady („Jak się kochają” A. Ayck-
bourn, Teatr Współczesny w Warszawie).
Tylko — nie było żadnego wspólnego mia-
nownika.

Pobrzmiwały wątki „o życiu i śmierci”,
kwesnie rasowe, a właściwie semickie, o dra-
macie tworzenia i powikłaniu losów, o beze-
ceństwach własnych i obcych, wątki erotyczne
mieszały się z próbami ukazania rzeczywistości
w satyrycznym zwierciadle itd., itp. Zgoda
— to wszystko teatr. Tylko — nic z tego nie
wynika. To wszystko już było, a nie zda-
rzyła się w Kaliszu inscenizacja taka, która
niosąc stare treści byłaby w stanie wstrząsnąć
widzem, miast go lechtać lub lekko straszyc.
W dodatku oglądane spektakle, choć rzetelne
warsztatowo, gubiły gdzieś urok scenicznego
intymny klimat obcowania widza z czymś, co
porusza jego świadomość. Poza pewnymi wy-
jątkami.

Do nich należy, na szczególnych prawach,
„Pułapka” T. Różewicza. Z zastrzeżeniem —
jako ważny, jeden z najważniejszych po woj-
nie tekstów polskiej dramaturgii, niosący tre-
ści tyleż oczywiste i uniwersalne, co wiecznie
żywe. Ale nie jako spektakl. Kazimierz
Braun, twórca przedstawienia, jest niejako

„statowym specjalistą” „od Różewicza”. Czyta
go słusnie i wnikliwie, gorzej z realizacją
dział tego autora, jako że do tego potrzeba i
scenografów, i pomysłu, a nade wszystko —
zespołu aktorskiego. Choć te elementy nie
sprzyjały poziomowi inscenizacji, tekst Róże-
wicza obronił się sam, zyskując główną na-
grode jury.

Na marginesie uwagi: zaczynają się jakby
kompetencyjne „przepychanki” pomiędzy Ka-
liskimi Spotkaniami Teatralnymi a wrocław-
skim festiwalem polskich sztuk współczes-
nych. W roku ubiegłym przyznano w Kaliszu na-
grode główną Jarosławowi Abramowskiemu-Ne-
verlyemu za „Maestra”, w tym — T. Różewi-
czowi za „Pułapkę”. A więc w obu przypadkach
za teksty dramatyczne, a nie za insce-
nizację! Kalisz zaczyna odbierać Wrocławowi
„monopol”, choć nie sądzę, aby było to czy-
niące specjalnie. Raczej jest wynikiem tego
— o czym było wyżej — braku formuły, kon-
cepcji Kaliskich Spotkań Teatralnych. Na tej
imprezie powinno — i w założeniu ma — na-
gradzać się twórców, nie autorów. Ale skoro
tych pierwszych nie stało lub reprezentowany
przez nich poziom przyznania nagrody nie u-
zasadnia, bez ryzyka dużego błędu bezpie-
czniej przyznać nagrodę „za tekst”.

Tym sposobem doszliśmy do twórców wła-
śnie. Na kaliskim festiwalu błysnął jeden z
nich talentem najszybszym, co cieszy tym
bardziej, że to człowiek młody, tak w sensie
wieku, jak i stażu zawodowego. Mowa o Krzy-
stofie Babickim, reżyserze spektakli w tea-
trach gdańskim i krakowskim. Z nie najlep-
szej, ciężkiej i dusznej, choć ważnej satuki
Jerzego Andrzejewskiego „Już prawie nic”
wycisnął wszystko, co mu było potrzebne do
nadania przedstawieniu kształtu i formy, dzie-
łki której mimo męczących wynurzeń głównego
bohatera, alegorycznych retrospekcji i ryso-
wanych grubą kreską skeczy, trzymał widow-
nię w napięciu od początku do końca przy-
długiego spektaklu. Rzecz dyskusyjna, czy
wszystko w tej inscenizacji było potrzebne, i
czy reżyser nie zapodział gdzieś nożyczek.
Bez dyskusyjnie jest natomiast, iż oprócz
zmagania się z materiałem Andrzejewskie-
go musiał K. Babicki zmagać się chyba i z
aktorami nie zawsze rozumiejącymi intencje
dzieła, jego klimat. Dysponował obsadą na
średnim poziomie, wśród której jak rodzynek
błyszczała Joanna Bogacka (nagrada), słabiej
Krzysztof Matuszewski (kontrowersyjne wy-
różnienie). Z olbrzymią pomocą przyszła reali-
zatorowi twórczyni scenografii, Anna Rachel,
zabudowując sceniczną przestrzeń tyleż fun-
kcyjnie, co sugestywnie. (Jedyna na festi-
walu nagroda za scenografię).

O wiele prostsze, ale jakże inne, miał
Krysztof Babicki zadanie realizując „Z ży-
cia glist” w krakowskim Teatrze Starym. Ta
modna ostatnio sztuka o Janie Christianie
Andersenie, infantylnym bajkopisarzu i gra-
fomańskim dramaturgu, doczekała się kilku
inscenizacji, wśród których najlepsze opinie
tyczą estradowej (z M. Komorowską i Z. Za-
pasiewiczem) — oraz właśnie krakowskiej.
Zbudował Babicki niebanalny klimat, tekstem,
który właściwie ogranicza możliwości sceniczne-
go „dziania się” żonglował po wirtuozeria, a
w interpretacji wybornych aktorów nawet
sceny komiczne smakowały gorzko, ludzkim
dramatem i „nieudacznością”. Piszą „wybor-
nych” — bo trudno znaleźć inne określenie
dla pary Jan Nowicki — Teresa Budzisz-
-Krzyżanowska (dwie z trzech nagród głów-
nych — ostatnia przypadła właśnie twórcy
spektaklu). Szczególnie imponuje Jan Nowic-
ki, którego aparycja i dotychczasowy genre,
znany widzom raczej z ekranu niż ze sceny,
wydaje się być zaprzeczeniem możliwości pre-
destynujących go do roli Andersena w kon-
tekście dzieła Enquista. Gra krakowski aktor
„duże dziecko”, infantylnego faceta z brodą,
w wieku co najmniej średnim, nieśmiałego w
obcowaniu z ludźmi, zarazem pełnego wew-
nętrznego i skutecznej dobroci, wyolbrzymiają-
cego tak sukcesy jak kleski i upokorzenia,
trawionego ambicją bycia dramaturgiem co
się zowie. Sekunduje mu T. Budzisz-Krzyża-
nowska, a choć jej rola nie jest pisana tak
bardzo „na granie”, jak Andersena, czyni z
niej prawdziwe cacko — twardą, gestem, syl-
wetką, gdzie każde wypowiedziane słowo jest
wieloznacznie bolesne...

I to właściwie wszystkie najjaśniejsze stro-
ny kaliskiego festiwalu. Tekst „Pułapki”, war-
szatowa robota Babickiego, kreacje artystów
Teatru Starego. Czy są to odkrycia? Ano nie,
jako że pozycja Różewicza jest w polskiej
dramaturgii współczesnej niepodważalna, Ba-
bicki ugruntował swą opinię „młodego —
zdolnego”, a firma Teatru Starego zawsze
gwarantowała wysoki poziom wykonawczy.

Krótko o innych spektaklach. „Klub” przy-
wieziony przez łodzian okazał się być jedną
szatką stricte współczesną na całym festiwa-
lu. Przy podziale nagród — zważywszy za-
pewne na żywy odbiór przez publiczność, uw-
zględniono ten spektakl honorując reżysera
(F. Falk) oraz Sławomira Misiurewicza i Bo-
gusława Sochnackiego. Trzy nagrody to tro-
chę za dużo, bo choć jest to rzecz niezła, po-
prawnie wyreżyserowana, równo i rzetelnie
zagrana, to w sumie żaden „cymes”. Naj-
mniej protestów czy żachnięć wzbudza nagro-
da dla S. Misiurewicza, pozostałe dwie przy-
znano zapewne za swego rodzaju wybicie
się spektaklu z festiwalowej magmy. O „Ro-
dzinie” najchętniej nie pisałbym nic, a to z
tego względu, iż moim zdaniem nadaje się
bardziej do grania we wczesnych miejsc-
owościach nadmorskich w okresie kanikuły, niż
do pokazanych wygłosek w modernizym

gmaczu, niż na — bądź co bądź, festiwal. Ra-
zila — poza wszystkim innym — reżyserska
maniera mrugania do widza, tak skwapliwie
przyjęta przez aktorów. Na plus spektaklu —
pisać chyba trzeba jedynie dobre tempo i do-
konanie Janusza Kubickiego, który chyba na
dobre wyspecjalizował się już w rolach bon
vivantów.

Całkowicie nieudany był festiwal dla teatru
gospodarzy. W przypadku „Burzy” Szekspira
okazało się, iż poza chęciami trzeba jeszcze
dysponować jakim takim zespołem aktorskim,
co jest bolączką wielu scen umownie nazy-
wanych prowincjonalnymi. Temu spektaklowi
nie pomoże nic — jest to po prostu zainscenizo-
wana „lektura”. Gorzej, że wywinęła kózka
także druga propozycja gospodarzy, odgrzana
kilkoma sposobami przez reżysera Romana
Kordzińskiego „Anioł na dworcu”. Okazało się,
że dla tego typu tekstu dwadzieścia lat, jakie
upłynęło od jego powstania, to ogromny smutek
czasu. Percepcja widzów zmieniła się propor-
cjonalnie do biegu czasu i wzrostu ich rzec-
zywistej świadomości, innego spojrzenia na
dzisiejszy kraj. Ożywiły tekst pomysłowi reali-
zatora, propozycje zmierzające w stronę gro-
teski — ale tylko tyle.

Litościwa, zasłona milczenia spuścić nato-
miast należy na dokonania scen warszaw-
skich. Reżyser „Don Juana” Bohdan Cybulski
zastosował pewne chwytły formalne, spektakl
miał niezłe tempo, w obsadzie m. in. Marek
Obertyn, Jerzy Bończak, Stanisława Celińska
— a mimo wszystko zapomniał się o tym
„dziele” zaraz po wyjściu z teatru. To także
„lektura”, i naprawdę nie wiadomo dlaczego
stary mistrz Molier musiał ponieść aż taką po-
razkę.

Koszmarną ramotą „Jak się kochają” Teatr
Współczesny z Warszawy pozyskał sobie uś-
miechy bardzo bogate, bardzo snobistycznej i
bardzo niewybrednej części publiczności, choć
w sumie jest to spektakl żenujący pod wie-
loma względami. Chociaż — dobry, jak „Ro-
dzina”, na wczasy... Szkoda tylko, że „tuki”
go aktorzy tej miary, co Z. Kucówna, K. Ko-
walewski, G. Wołłejko, M. Lipińska, W. Mich-
nikowski.

Festiwalowy bój ze stolicą wygrała jedno-
głośnie „prowincja”, głównie za sprawą Gdań-
ska i Krakowa, za sprawą twórczych dokonań
inscenizacyjnych Krzysztofa Babickiego, reali-
zowanych z dala od Warszawy, czy — jak
kto woli, warszawki.

Uwzględniając wszystko, co powyżej, pora
odpowiedzieć na zadane na wstępie pytania.
Czy wyliczone in plus osiągnięcia kaliskiej im-
prezy przesądzą o fakcie jej „udania”?
Przymierzając otóż zastosowaną z konieczno-
ści formułę prezentacji spektakli o najwyż-
szym poziomie artystycznym nie da się udzielić
odpowiedzi pozytywnej. Zabrakło na pew-
no kilku liczących się na teatralnej mapie
kraju dokonań — ale efekt jest taki, jaki jest.
I jemu się właśnie przypatrując, nie sposób
wyobcować imprezy kaliskiej od dnia dzisiej-
szego polskiego teatru. Taka reprezentacja, ja-
ka liga — można by rzec, stosując terminolo-
gię piłkarską. Taki festiwal, jaki sezon te-
atralny...

Uzupełnić można jeszcze ową refleksję o
sposób prezentacji, powtarzając powszechnie przez
twórców w Kaliszu. Otóż — twierdzą oni —
nie ma co grać Czasu takie, że klasyka niko-
go nie zadowala, treści istotnych nie niesie,
widza nie przyciąga. Dobrej — powtarzam
— dobrej — dramaturgii współczesnej poza
nielicznymi wyjątkami nie ma. Stąd fale
Mroźka i Gombrowicza, ale, stanowiąc, ile
można? Stąd „jaskółki” typu „Pułapki” roz-
chwytywane są na zasadzie — lepszy, kto
pierwszy. Z drugiej strony pewien konfor-
mizm i niechęć dyrektorów artystycznych, a
więc ludzi odpowiedzialnych za plan repertu-
arowy poszczególnych scen, do pozycji takich,
które mogą spowodować „wychylenie się”. A
tego, że tym samym teatr traci możliwość mó-
wienia pełnym głosem o sprawach obecnych,
ważnych i doniosłych, jakoś nie bierze się
przy owej zachowawczej postawie pod uwagę.

Kolejna refleksja dotyczy zespołów aktorskich.
Zdarzają się w nich — poza Krakowem —
gwiazdki na lokalną skalę, jest trochę nie-
złych „rzemieślników”, ale w sumie oglądając
poczynania niektórych artystów np. z Kali-
sza czy Wrocławia wypada się zastanowić, kto
i kiedy wydał im stosowny dyplom. I te sily
aktorskie zespołu także często wyznaczają
możliwości dla realizatorów...

Największy zarzut, jaki można postawić ka-
liskiej imprezie, a właściwie jej tegorocznej
edycji, koreluje z pytaniem czy impreza jest
potrzebna? Otóż zarzut ów dotyczy zagubienia
przez nią funkcji kulturowych, upow-
szeczniowych, zatrącenia atmosfery teatral-
nego święta, klimatu towarzyszącego spotka-
niom ludzi sztuki. Zespoły teatralne przeję-
wały, występowały i odjeżdżały, na miejscu
trwało jury i kilku krytyków. Nic, ale to do-
słownie nic nie sprzyjało „nocnym twórców
rozmowom”. Zagubiła się idea konfronta-
cji twórców, spektakli, zjawisk i tendencji.
Wszystko odbywało się jako w sposób przy-
gaszony, bez serca, bez ducha ulotnego właś-
ciwego spotkaniom ludzi sztuki. Nie służyło
to także promocjom twórców, nie tym sceni-
cznym, ale tym w sensie „robienia sobie
twarzy” w branży.

Kaliski festiwal w tym roku „siadł”. I nie
jest to kwestia „czasów” w jakich się odby-
wa, takich czy innych okoliczności. Ludzie
sztuki mają to do siebie, że ilekroć się spot-
kają, wytwarzają gorącą atmosferę. Trzeba
im tylko takowe spotkanie umożliwić, a nie
żegnać zaraz po występie. Środki materialne
Kalisz posiada wystarczające, tradycje rów-
nież. Potrzeba tylko kogoś, kto by pomy-
ślał...

I wówczas kaliski festiwal okaże się jeszcze
bardziej potrzebny.

Teras jest tutaj. Przyjechała i umarła. Wszyscy chcieli dobrze, syn czekał w własnym samochodzie na dworcu w Aachen; już mieli wstąpić do swego kury, postanowili mieć ich więcej, więc Romek kręcił się za interesami, budował, organizował. Zjawiali się różne cioci, takie głośno gadające baby, ich mężowie niejący z daleka sapachem tytoniu i piwa, wyciągali od progu rękę z ostentacyjną zyczliwością strzygąc jednocześnie oczami, czyhając na każdy gest nowej wśród nich kobiety, żeby potem z tego jednego gestu wyciągnąć mnóstwo wniosków o naturze Polaków, podśmiewać się, porównywać — a zawsze z tego wychodziło się na korzyść.

— Jak ta mała do oglądania! — żaliła się matka w rzadkich chwilach, kiedy mogła serdeczniej pogadać z synem. Bardzo trudno tak ciągle czuć się na cenzurowanym, wszystko człowiekowi z ręką, leci. Wnuczek miewał swoje humory: raz garnął się do niej, poswalał się przytulając.

Jeździł, nawet na rodaki powiadzieli w Aachen, że w Polsce są takie kolonie, takie obozy, znaczy, dla dzieci z zagranicy, żeby pojechać i zobaczyć. Zie chciałem? Dobrze chciałem.

— Tylko nie nie wyszł — wtrącała się znowa i wciągnęła dech, jakby szczykowała się do dłuższej przemowy. Posada nie dopuścił jej jednak do głosu.

— Zamknij pyski! — warknął z nieoczekiwaną słością. — Nie wyszł! Teraz będzie gadać, że nie wyszł!

— Roman, lass dech... — szepotała sobie usta dłoń, mlałem wrażenie, że zanosi się na awanturę, której przebieg znała i czekała ze strachem na dalszy ciąg. — Może jeszcze kuchen? — próbowała ratować sytuację. Posada odsunął talerz z ciastem tak gwałtownie, że nie udało mi się schwytać go po drodze, ręka łony na

— To znów tenas wymyślił, zlem synowa. Zna pan Lutka, to powiedz pan, nie ma córki? — Nie ma.

— Tak też i napisał. Fajnie napisał. Chociaż jeden się taki znalazł od tamtego świata, Lieber Gott. A widział pan, że się został. Napisał na dom, znaczy się na Pabianice, a tam tylko siostra jeszcze siedzi i przekazała Lutkowi, bo widzi pan: też nie wrócił i to z samych Prus. Prusaki to draństwo, panie.

— Pan ciągle Prusy i Prusy. A tam słowo daję — nikt nawet nie pamięta. Myśli pan, że Lutka pamięta? On jest u siebie, w swoim kraju. Nawet mówił, że na samym początku jak fronty przeszły to go soltysem czy jakimś tam burmistrzem naznaczyli, on tam z korzeniami wrócił i dokąd ma wracać, i po co? Tam kraj do niego wrócił.

— Kraji — westchnął głęboko Roman. Żeby nie komuna, to może... Aha, no więc napisał, że córki nie ma, ale ma fajną siostrzenicę, panienka jest, w Gdańsku za urzędniczką pracuje — no widział pan, w Gdańsku, a to też było za granicą, nie? Szkoda, że urzędniczką, bo przy kurach roboty sporo i rękami trza więcej robić, jak głowa. Ale żyć to się daje, i zarobić można na pewno lepiej niż u was. Wszystko by tu miało. Mój chłopak to jak świeca, żebyś pan wiedział, szkoda, że go nie ma, może by z panem pogadał, pan z nim, może by o kraju i o Łodzi posłuchał takiej jak dziś, pewno inakzej niż tamta...

— O, zmieniła się.

— Ale go nie ma, bo znów do Frankfurtu bryknął. On lubi jeździć i te niemieckie kuzyny też go lubią, on się daje lubić, słowo daje. Tylko z babką psiekrew nie wyszło.

— Powiedziała jak ten list... — przypomniała mężowi pani Ottilia. — Ostatni był list.

— Właśnie chce mówić — powiedział Posada i wziął w palce kawałek ciasta, co sprawiło konie widoczną przyjemność.

— To znów tenas wymyślił, zlem synowa. Zna pan Lutka, to powiedz pan, nie ma córki? — Nie ma.

— Tak też i napisał. Fajnie napisał. Chociaż jeden się taki znalazł od tamtego świata, Lieber Gott. A widział pan, że się został. Napisał na dom, znaczy się na Pabianice, a tam tylko siostra jeszcze siedzi i przekazała Lutkowi, bo widzi pan: też nie wrócił i to z samych Prus. Prusaki to draństwo, panie.

— Pan ciągle Prusy i Prusy. A tam słowo daję — nikt nawet nie pamięta. Myśli pan, że Lutka pamięta? On jest u siebie, w swoim kraju. Nawet mówił, że na samym początku jak fronty przeszły to go soltysem czy jakimś tam burmistrzem naznaczyli, on tam z korzeniami wrócił i dokąd ma wracać, i po co? Tam kraj do niego wrócił.

— Kraji — westchnął głęboko Roman. Żeby nie komuna, to może... Aha, no więc napisał, że córki nie ma, ale ma fajną siostrzenicę, panienka jest, w Gdańsku za urzędniczką pracuje — no widział pan, w Gdańsku, a to też było za granicą, nie? Szkoda, że urzędniczką, bo przy kurach roboty sporo i rękami trza więcej robić, jak głowa. Ale żyć to się daje, i zarobić można na pewno lepiej niż u was. Wszystko by tu miało. Mój chłopak to jak świeca, żebyś pan wiedział, szkoda, że go nie ma, może by z panem pogadał, pan z nim, może by o kraju i o Łodzi posłuchał takiej jak dziś, pewno inakzej niż tamta...

— O, zmieniła się.

— Ale go nie ma, bo znów do Frankfurtu bryknął. On lubi jeździć i te niemieckie kuzyny też go lubią, on się daje lubić, słowo daje. Tylko z babką psiekrew nie wyszło.

— Powiedziała jak ten list... — przypomniała mężowi pani Ottilia. — Ostatni był list.

— Właśnie chce mówić — powiedział Posada i wziął w palce kawałek ciasta, co sprawiło konie widoczną przyjemność.

— To znów tenas wymyślił, zlem synowa. Zna pan Lutka, to powiedz pan, nie ma córki? — Nie ma.

— Tak też i napisał. Fajnie napisał. Chociaż jeden się taki znalazł od tamtego świata, Lieber Gott. A widział pan, że się został. Napisał na dom, znaczy się na Pabianice, a tam tylko siostra jeszcze siedzi i przekazała Lutkowi, bo widzi pan: też nie wrócił i to z samych Prus. Prusaki to draństwo, panie.

— Pan ciągle Prusy i Prusy. A tam słowo daję — nikt nawet nie pamięta. Myśli pan, że Lutka pamięta? On jest u siebie, w swoim kraju. Nawet mówił, że na samym początku jak fronty przeszły to go soltysem czy jakimś tam burmistrzem naznaczyli, on tam z korzeniami wrócił i dokąd ma wracać, i po co? Tam kraj do niego wrócił.

— Kraji — westchnął głęboko Roman. Żeby nie komuna, to może... Aha, no więc napisał, że córki nie ma, ale ma fajną siostrzenicę, panienka jest, w Gdańsku za urzędniczką pracuje — no widział pan, w Gdańsku, a to też było za granicą, nie? Szkoda, że urzędniczką, bo przy kurach roboty sporo i rękami trza więcej robić, jak głowa. Ale żyć to się daje, i zarobić można na pewno lepiej niż u was. Wszystko by tu miało. Mój chłopak to jak świeca, żebyś pan wiedział, szkoda, że go nie ma, może by z panem pogadał, pan z nim, może by o kraju i o Łodzi posłuchał takiej jak dziś, pewno inakzej niż tamta...

— O, zmieniła się.

— Ale go nie ma, bo znów do Frankfurtu bryknął. On lubi jeździć i te niemieckie kuzyny też go lubią, on się daje lubić, słowo daje. Tylko z babką psiekrew nie wyszło.

— Powiedziała jak ten list... — przypomniała mężowi pani Ottilia. — Ostatni był list.

— Właśnie chce mówić — powiedział Posada i wziął w palce kawałek ciasta, co sprawiło konie widoczną przyjemność.

— To znów tenas wymyślił, zlem synowa. Zna pan Lutka, to powiedz pan, nie ma córki? — Nie ma.

— Tak też i napisał. Fajnie napisał. Chociaż jeden się taki znalazł od tamtego świata, Lieber Gott. A widział pan, że się został. Napisał na dom, znaczy się na Pabianice, a tam tylko siostra jeszcze siedzi i przekazała Lutkowi, bo widzi pan: też nie wrócił i to z samych Prus. Prusaki to draństwo, panie.

— Pan ciągle Prusy i Prusy. A tam słowo daję — nikt nawet nie pamięta. Myśli pan, że Lutka pamięta? On jest u siebie, w swoim kraju. Nawet mówił, że na samym początku jak fronty przeszły to go soltysem czy jakimś tam burmistrzem naznaczyli, on tam z korzeniami wrócił i dokąd ma wracać, i po co? Tam kraj do niego wrócił.

— Kraji — westchnął głęboko Roman. Żeby nie komuna, to może... Aha, no więc napisał, że córki nie ma, ale ma fajną siostrzenicę, panienka jest, w Gdańsku za urzędniczką pracuje — no widział pan, w Gdańsku, a to też było za granicą, nie? Szkoda, że urzędniczką, bo przy kurach roboty sporo i rękami trza więcej robić, jak głowa. Ale żyć to się daje, i zarobić można na pewno lepiej niż u was. Wszystko by tu miało. Mój chłopak to jak świeca, żebyś pan wiedział, szkoda, że go nie ma, może by z panem pogadał, pan z nim, może by o kraju i o Łodzi posłuchał takiej jak dziś, pewno inakzej niż tamta...

— O, zmieniła się.

— Ale go nie ma, bo znów do Frankfurtu bryknął. On lubi jeździć i te niemieckie kuzyny też go lubią, on się daje lubić, słowo daje. Tylko z babką psiekrew nie wyszło.

— Powiedziała jak ten list... — przypomniała mężowi pani Ottilia. — Ostatni był list.

— Właśnie chce mówić — powiedział Posada i wziął w palce kawałek ciasta, co sprawiło konie widoczną przyjemność.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Hodowla kur 2

Fragment powieści „Trzynaście spotkań”

otwierał buzię i słuchał długich opowiadań w szeleszczącej mowie, z której ledwie tu i ówdzie lyskało zrozumiałe słowo: trzeba było uważać, język wysuwać, nic nie wchodziło do głowy samo, jak podczas rozmowy z Miu. Kiedy indziej fukał na babkę, otrząsał z siebie jej ręce, gadał coś, czego znowu ona zrozumieć nie mogła. Pani Ottilia podchodziła wtedy i zagarniała chłopca do siebie. A najgorzej, że tak samo robiła właśnie w momentach, kiedy przyjaźni między dzieckiem a polską babką wydawała się na dobre zawarta, kiedy obojgu było dobrze, śmiali się, cieszyli jakąś chwilową wspólną zabawą, radością i pieszczotą. Zawasz wtedy znalazł się jakiś powód, żeby chłopca zawołać. Pozory bywały zachowane, on rzeczywiście musiał właśnie umyć ręce, musi zanieść kości pieskowi, musi tysiąc innych rzeczy, wynalezionych przez matczyną zadręgot. Pani Eugenia zostawała sama i rewanożowała się odświeżeniem przy najbliższym obiedzie sałatki z zimnych kartofli i selerów. To można zjeść przez uprzejmość, ale nie zawsze ma się na uprzejmości ochotę.

moment sallowa w powietrzu.

— W cholera z twoim ciastem, do wielkiej nagłej cholery, że wszystkim ciastami! — krzyczał. — Co tu miało wyjść, niech mi kto powie? Nie pojechał na żadne kolonie, tylko do jeszcze jednej cioty, tam akurat był potrzebny, we Frankfurtu, co? Nie dość, że jeden jednak, to jeszcze Germaniec z niego będzie i tyle, a ja co tu jestem w tym wszystkim, co — parobek?

— Nie gadał, Roman! — chciała przerwać mężowi Ottilia, zabrała butelkę z resztą koniak, trzymała ją znacząco między kolanami, mówiła szybko po niemiecku nie myśląc chyba, że ja też niechęć rozumie.

— Co ten człowiek sobie pomyśli, czy widział kiedy u sąsiadów takie historie, nie krzyż, uspokój się, tyle wstępu doż narobił, nie bądź głupi.

— Głupi, co? Głupi jestem. Jakaś za mną latała, że opędił się nie mogłem, to też byłem głupi, co? Jakaś czepliła się swoich starych, że Romek i Romek — a może to ja ich prosiłem, co?

— Aleś został i po co tak mówisz, Roman? Po co teraz tak mówisz...

— Coś go zdenerwowało, ale to przejdzie. Ludzie dziś tacy nerwowi ze strach — nie wiedziałem co mówić.

— Zostałem — przeszedł znowu na polski i zwrócił się do mnie. — Zostałem, bo to była gorąca dziewczyna, a człowiek miał ledwie dwudziestkę, to i zakreśliło się we mnie, nie? I masz pan — cała rodzina: żona jest, syn jest, matka na cmentarzu, ale też jest i świeczka się co i raz zapali. I nikogo nie ma. Prawda — są jeszcze kury...

— Pomiłczeliśmy chwilę — nie znalazłem lepszego wyjścia z sytuacji póki fale nie opadły. Pani Ottilia zebrała z podłogi kawałki talerza i ciasta, wyrównała obrus zgarnięty gwałtownym gestem Romana, odstawiała koniak gdzieś w niewidome miejsce. Już znów mieliśmy kawę w filiżankach — dzbanek był spory, wystarczało do trzykrotnego rozlania. Tak dużo kawy? Bo też co to za kawa, tu się nie zważa na zapach, żeby bił do nosa, żeby zapowiadał z daleka przyjemność, tu się pije jasno brązowy przezroczysty płyn inny w smaku od herbaty, i to jest kawa.

otwierał buzię i słuchał długich opowiadań w szeleszczącej mowie, z której ledwie tu i ówdzie lyskało zrozumiałe słowo: trzeba było uważać, język wysuwać, nic nie wchodziło do głowy samo, jak podczas rozmowy z Miu. Kiedy indziej fukał na babkę, otrząsał z siebie jej ręce, gadał coś, czego znowu ona zrozumieć nie mogła. Pani Ottilia podchodziła wtedy i zagarniała chłopca do siebie. A najgorzej, że tak samo robiła właśnie w momentach, kiedy przyjaźni między dzieckiem a polską babką wydawała się na dobre zawarta, kiedy obojgu było dobrze, śmiali się, cieszyli jakąś chwilową wspólną zabawą, radością i pieszczotą. Zawasz wtedy znalazł się jakiś powód, żeby chłopca zawołać. Pozory bywały zachowane, on rzeczywiście musiał właśnie umyć ręce, musi zanieść kości pieskowi, musi tysiąc innych rzeczy, wynalezionych przez matczyną zadręgot. Pani Eugenia zostawała sama i rewanożowała się odświeżeniem przy najbliższym obiedzie sałatki z zimnych kartofli i selerów. To można zjeść przez uprzejmość, ale nie zawsze ma się na uprzejmości ochotę.

otwierał buzię i słuchał długich opowiadań w szeleszczącej mowie, z której ledwie tu i ówdzie lyskało zrozumiałe słowo: trzeba było uważać, język wysuwać, nic nie wchodziło do głowy samo, jak podczas rozmowy z Miu. Kiedy indziej fukał na babkę, otrząsał z siebie jej ręce, gadał coś, czego znowu ona zrozumieć nie mogła. Pani Ottilia podchodziła wtedy i zagarniała chłopca do siebie. A najgorzej, że tak samo robiła właśnie w momentach, kiedy przyjaźni między dzieckiem a polską babką wydawała się na dobre zawarta, kiedy obojgu było dobrze, śmiali się, cieszyli jakąś chwilową wspólną zabawą, radością i pieszczotą. Zawasz wtedy znalazł się jakiś powód, żeby chłopca zawołać. Pozory bywały zachowane, on rzeczywiście musiał właśnie umyć ręce, musi zanieść kości pieskowi, musi tysiąc innych rzeczy, wynalezionych przez matczyną zadręgot. Pani Eugenia zostawała sama i rewanożowała się odświeżeniem przy najbliższym obiedzie sałatki z zimnych kartofli i selerów. To można zjeść przez uprzejmość, ale nie zawsze ma się na uprzejmości ochotę.

otwierał buzię i słuchał długich opowiadań w szeleszczącej mowie, z której ledwie tu i ówdzie lyskało zrozumiałe słowo: trzeba było uważać, język wysuwać, nic nie wchodziło do głowy samo, jak podczas rozmowy z Miu. Kiedy indziej fukał na babkę, otrząsał z siebie jej ręce, gadał coś, czego znowu ona zrozumieć nie mogła. Pani Ottilia podchodziła wtedy i zagarniała chłopca do siebie. A najgorzej, że tak samo robiła właśnie w momentach, kiedy przyjaźni między dzieckiem a polską babką wydawała się na dobre zawarta, kiedy obojgu było dobrze, śmiali się, cieszyli jakąś chwilową wspólną zabawą, radością i pieszczotą. Zawasz wtedy znalazł się jakiś powód, żeby chłopca zawołać. Pozory bywały zachowane, on rzeczywiście musiał właśnie umyć ręce, musi zanieść kości pieskowi, musi tysiąc innych rzeczy, wynalezionych przez matczyną zadręgot. Pani Eugenia zostawała sama i rewanożowała się odświeżeniem przy najbliższym obiedzie sałatki z zimnych kartofli i selerów. To można zjeść przez uprzejmość, ale nie zawsze ma się na uprzejmości ochotę.

otwierał buzię i słuchał długich opowiadań w szeleszczącej mowie, z której ledwie tu i ówdzie lyskało zrozumiałe słowo: trzeba było uważać, język wysuwać, nic nie wchodziło do głowy samo, jak podczas rozmowy z Miu. Kiedy indziej fukał na babkę, otrząsał z siebie jej ręce, gadał coś, czego znowu ona zrozumieć nie mogła. Pani Ottilia podchodziła wtedy i zagarniała chłopca do siebie. A najgorzej, że tak samo robiła właśnie w momentach, kiedy przyjaźni między dzieckiem a polską babką wydawała się na dobre zawarta, kiedy obojgu było dobrze, śmiali się, cieszyli jakąś chwilową wspólną zabawą, radością i pieszczotą. Zawasz wtedy znalazł się jakiś powód, żeby chłopca zawołać. Pozory bywały zachowane, on rzeczywiście musiał właśnie umyć ręce, musi zanieść kości pieskowi, musi tysiąc innych rzeczy, wynalezionych przez matczyną zadręgot. Pani Eugenia zostawała sama i rewanożowała się odświeżeniem przy najbliższym obiedzie sałatki z zimnych kartofli i selerów. To można zjeść przez uprzejmość, ale nie zawsze ma się na uprzejmości ochotę.

Inaczej parzyło się tutaj herbatę, inaczej ugniatało ciasto na niedzielne chęły. Nawet chęba nie kroilo się nożem w grubsze lub cieńsze skiby, jak kto lubi, albo w takie ścieniałe się z jednej strony, apetyczne, do wyboru. Chęb przynosiło się w celofanowym opakowaniu, pokrajany maszyną w idealnie równe plastry, nie pachnący ani chębem, ani niczym. To przykre, kiedy nie ma do kogo ust otworzyć. Ale tysiąc razy jest gorzej, kiedy byłoby do kogo, a i tak się milczy. Bo nie ma o czym mówić, bo wszystko co się powie jest przyjęte z zdziwieniem i niedzielną. O chębie i o herbacie, o haftowanej poduszce na sedesie i o tym, jak pięknie pachnie żółty lubin, którego tu nigdzie nie ma.

Inaczej parzyło się tutaj herbatę, inaczej ugniatało ciasto na niedzielne chęły. Nawet chęba nie kroilo się nożem w grubsze lub cieńsze skiby, jak kto lubi, albo w takie ścieniałe się z jednej strony, apetyczne, do wyboru. Chęb przynosiło się w celofanowym opakowaniu, pokrajany maszyną w idealnie równe plastry, nie pachnący ani chębem, ani niczym. To przykre, kiedy nie ma do kogo ust otworzyć. Ale tysiąc razy jest gorzej, kiedy byłoby do kogo, a i tak się milczy. Bo nie ma o czym mówić, bo wszystko co się powie jest przyjęte z zdziwieniem i niedzielną. O chębie i o herbacie, o haftowanej poduszce na sedesie i o tym, jak pięknie pachnie żółty lubin, którego tu nigdzie nie ma.

Inaczej parzyło się tutaj herbatę, inaczej ugniatało ciasto na niedzielne chęły. Nawet chęba nie kroilo się nożem w grubsze lub cieńsze skiby, jak kto lubi, albo w takie ścieniałe się z jednej strony, apetyczne, do wyboru. Chęb przynosiło się w celofanowym opakowaniu, pokrajany maszyną w idealnie równe plastry, nie pachnący ani chębem, ani niczym. To przykre, kiedy nie ma do kogo ust otworzyć. Ale tysiąc razy jest gorzej, kiedy byłoby do kogo, a i tak się milczy. Bo nie ma o czym mówić, bo wszystko co się powie jest przyjęte z zdziwieniem i niedzielną. O chębie i o herbacie, o haftowanej poduszce na sedesie i o tym, jak pięknie pachnie żółty lubin, którego tu nigdzie nie ma.

Inaczej parzyło się tutaj herbatę, inaczej ugniatało ciasto na niedzielne chęły. Nawet chęba nie kroilo się nożem w grubsze lub cieńsze skiby, jak kto lubi, albo w takie ścieniałe się z jednej strony, apetyczne, do wyboru. Chęb przynosiło się w celofanowym opakowaniu, pokrajany maszyną w idealnie równe plastry, nie pachnący ani chębem, ani niczym. To przykre, kiedy nie ma do kogo ust otworzyć. Ale tysiąc razy jest gorzej, kiedy byłoby do kogo, a i tak się milczy. Bo nie ma o czym mówić, bo wszystko co się powie jest przyjęte z zdziwieniem i niedzielną. O chębie i o herbacie, o haftowanej poduszce na sedesie i o tym, jak pięknie pachnie żółty lubin, którego tu nigdzie nie ma.

Inaczej parzyło się tutaj herbatę, inaczej ugniatało ciasto na niedzielne chęły. Nawet chęba nie kroilo się nożem w grubsze lub cieńsze skiby, jak kto lubi, albo w takie ścieniałe się z jednej strony, apetyczne, do wyboru. Chęb przynosiło się w celofanowym opakowaniu, pokrajany maszyną w idealnie równe plastry, nie pachnący ani chębem, ani niczym. To przykre, kiedy nie ma do kogo ust otworzyć. Ale tysiąc razy jest gorzej, kiedy byłoby do kogo, a i tak się milczy. Bo nie ma o czym mówić, bo wszystko co się powie jest przyjęte z zdziwieniem i niedzielną. O chębie i o herbacie, o haftowanej poduszce na sedesie i o tym, jak pięknie pachnie żółty lubin, którego tu nigdzie nie ma.

Inaczej parzyło się tutaj herbatę, inaczej ugniatało ciasto na niedzielne chęły. Nawet chęba nie kroilo się nożem w grubsze lub cieńsze skiby, jak kto lubi, albo w takie ścieniałe się z jednej strony, apetyczne, do wyboru. Chęb przynosiło się w celofanowym opakowaniu, pokrajany maszyną w idealnie równe plastry, nie pachnący ani chębem, ani niczym. To przykre, kiedy nie ma do kogo ust otworzyć. Ale tysiąc razy jest gorzej, kiedy byłoby do kogo, a i tak się milczy. Bo nie ma o czym mówić, bo wszystko co się powie jest przyjęte z zdziwieniem i niedzielną. O chębie i o herbacie, o haftowanej poduszce na sedesie i o tym, jak pięknie pachnie żółty lubin, którego tu nigdzie nie ma.

Wieczorem siadała przed domem i patrzyła na góry. Były bardzo podobne do tych w Walmu, ale dopiero patrząc na nie czuła, jak bardzo jest od tamtych daleko. I od syna też daleko, chociaż on tu kręcił się po kuchni i słyszał jak rozmawia z żoną. Co z tego, kiedy rozmawia po niemiecku. Daleko.

— Miała dobrze. Nie chodziła do fabryki. Jedzenie dobre, nie? — mówił Roman Posada a jego żona, siedząca z nami prawie bez słowa, patrzyła na niego ze wzrastającym napięciem. — Chciałem żeby się zajęła dzieckiem po naszymu, żeby pojechał raz i drugi do kraju. Już było można i ludzie

Wieczorem siadała przed domem i patrzyła na góry. Były bardzo podobne do tych w Walmu, ale dopiero patrząc na nie czuła, jak bardzo jest od tamtych daleko. I od syna też daleko, chociaż on tu kręcił się po kuchni i słyszał jak rozmawia z żoną. Co z tego, kiedy rozmawia po niemiecku. Daleko.

— Miała dobrze. Nie chodziła do fabryki. Jedzenie dobre, nie? — mówił Roman Posada a jego żona, siedząca z nami prawie bez słowa, patrzyła na niego ze wzrastającym napięciem. — Chciałem żeby się zajęła dzieckiem po naszymu, żeby pojechał raz i drugi do kraju. Już było można i ludzie

Wieczorem siadała przed domem i patrzyła na góry. Były bardzo podobne do tych w Walmu, ale dopiero patrząc na nie czuła, jak bardzo jest od tamtych daleko. I od syna też daleko, chociaż on tu kręcił się po kuchni i słyszał jak rozmawia z żoną. Co z tego, kiedy rozmawia po niemiecku. Daleko.

— Miała dobrze. Nie chodziła do fabryki. Jedzenie dobre, nie? — mówił Roman Posada a jego żona, siedząca z nami prawie bez słowa, patrzyła na niego ze wzrastającym napięciem. — Chciałem żeby się zajęła dzieckiem po naszymu, żeby pojechał raz i drugi do kraju. Już było można i ludzie

Wieczorem siadała przed domem i patrzyła na góry. Były bardzo podobne do tych w Walmu, ale dopiero patrząc na nie czuła, jak bardzo jest od tamtych daleko. I od syna też daleko, chociaż on tu kręcił się po kuchni i słyszał jak rozmawia z żoną. Co z tego, kiedy rozmawia po niemiecku. Daleko.

— Miała dobrze. Nie chodziła do fabryki. Jedzenie dobre, nie? — mówił Roman Posada a jego żona, siedząca z nami prawie bez słowa, patrzyła na niego ze wzrastającym napięciem. — Chciałem żeby się zajęła dzieckiem po naszymu, żeby pojechał raz i drugi do kraju. Już było można i ludzie

Wieczorem siadała przed domem i patrzyła na góry. Były bardzo podobne do tych w Walmu, ale dopiero patrząc na nie czuła, jak bardzo jest od tamtych daleko. I od syna też daleko, chociaż on tu kręcił się po kuchni i słyszał jak rozmawia z żoną. Co z tego, kiedy rozmawia po niemiecku. Daleko.

— Miała dobrze. Nie chodziła do fabryki. Jedzenie dobre, nie? — mówił Roman Posada a jego żona, siedząca z nami prawie bez słowa, patrzyła na niego ze wzrastającym napięciem. — Chciałem żeby się zajęła dzieckiem po naszymu, żeby pojechał raz i drugi do kraju. Już było można i ludzie

Wieczorem siadała przed domem i patrzyła na góry. Były bardzo podobne do tych w Walmu, ale dopiero patrząc na nie czuła, jak bardzo jest od tamtych daleko. I od syna też daleko, chociaż on tu kręcił się po kuchni i słyszał jak rozmawia z żoną. Co z tego, kiedy rozmawia po niemiecku. Daleko.

— Miała dobrze. Nie chodziła do fabryki. Jedzenie dobre, nie? — mówił Roman Posada a jego żona, siedząca z nami prawie bez słowa, patrzyła na niego ze wzrastającym napięciem. — Chciałem żeby się zajęła dzieckiem po naszymu, żeby pojechał raz i drugi do kraju. Już było można i ludzie

LIST Z WYBRZEŻA

Puszkina z Gdańska

Nie jest wykluczone, że jest potomkiem wielkiego poety. Ba! dał własne drzewo genealogiczne i twierdzi, że jest jedynym z 306 żyjących krewnych Aleksandra Siergiejewicza.

Witold Puszkina jest młodym gdańskim malarzem, którego prace często można oglądać w tutejszych galeriach. Urodził się w 1957 roku i już po kilku latach chwycił za ołówek. Rysowanie stało się jego pasją, autentyczną namiętnością. Jest pracowity i uparty. Pięć razy zdawał do gdańskiej PWSSP. Za każdym razem bez skutku. Nie zraża się tymi niepowodzeniami — latem tego roku będzie kolejny raz ubiegał się o przyjęcie do szkoły plastycznej. Pytam, co będzie jeżeli i ten raz komisja odrzuci jego kandydaturę. Puszkina spokojnie patrzy na mnie i mówi, że dalej będzie malował. Nie ma w nim żalu do ludzi, którzy odmówili mu indeksu Akademii. Twierdzi, że jako malarz ma jeszcze wiele mankamentów technicznych, że przed nim jest mozolna praca. Rezygnować jednakże nie zamierza.

Witolda Puszkina poznałem w bibliotece Teatru Wybrzeże — przyszedł tam po jakąś książkę z kostiumologii. Przedstawiliśmy się sobie i natychmiast skojarzyłem jego nazwisko z osobą ambitnego malarza, którego sylwetkę kilka miesięcy temu przedstawiła gdańska telewizja. Umówiliśmy się na rozmowę u mnie w domu — trwała ona później dość długo.

Puszkina nie jest malarzem awangardowym. Sam uważa siebie za tradycyjnego. W związku z tym uparcie dąży do dokładnego poznania rzemiosła malarzkiego. Pracuje wolno — byłem świadkiem jak przez kilka godzin mozolnie opracowywał (pozwolnie prosty) rysunek. Ma dość nietypowe zainteresowania malarzkie — lubi sceny historyczne. Rysuje więc wielkie freski tematycznie związane z historią Pomorza. Mówi, że gdyby nie był malarzem, zostałby historykiem. Puszkina wraca więc do starych tradycji malarzskich, tych, które gościł w mrokach Średniowiecza kształtowały się w pracowniach anonimowych mistrzów.

Widziałem szklane Puszkina do serii obrazów poświęconych szesnastemu rocznicy Katedry Oliwskiej. Impozycja — sprawność rysunku i samą ujęciem kompozycyjnym. Gorzej jest z kolorem — jest to, jak się zdaje, słabsza strona warsztatu Witolda Puszkina. Tak czy inaczej młody malarz sugestywnie przedstawia swoją wizję historii. Nie ukrywa, że wzoruje się na nich — wie, że tylko przez drobne studia nad epoką może pokusić się o wiarygodne przedstawienie obrazów z przeszłości.

Drugą pasją Puszkina jest portret. Obecnie w ramach wystawy plastyki nieprofesjonalnej w gdańskim klubie „Rudy Kot” są prezentowane dwa portrety tego malarza. Wyróżniają się one korzystnie na tle innych prac — są to portrety nie odbiegające od analogicznych obrazów tzw. zawodowców.

Obrazy są indywidualizowane w wyrazie i pod względem sprawności technicznej nie budzą zastrzeżeń. Myślę, że za kilka lat, gdy Puszkina wyprąca sobie własną paletę, gdy nieco stonuje kolorystykę swoich portretów, będą one ważnym zjawiskiem w naszej współczesnej plastyce.

Witold Puszkina poświęcił się malarstwu. Pracuje na uboczu, nie uczestniczy w rozmaitych biesiadach gdańskiego środowiska artystycznego. Jest typem samotnika, który codzienną pracą chce dojść do poznania tajemnic malarstwa. Spotykamy go prawie codziennie, gdy z wielką teką idzie w kierunku Teatru Wybrzeże, aby tam przez wiele godzin w magazynie kostiumów rysować różne żupy czy kontuse. Jest człowiekiem pracy i fakt ten rokuje nadzieję, że w przyszłości jego nazwisko stanie się szerzej znane. Nie tak, jak wielkiego rosyjskiego poety, ale zawsze...

WIESŁAW NOWICKI

Dokończenie ze strony 1

nie uderzyła mnie ciężarówka w ciemnościach.

— Czemu służy szklane oko w dziurce od guzika?

— Jestem wysoki i widzę wszystko z wysoko, potrzebowałem więc jeszcze jednego oka umieszczonego na wysokości przeciętnego człowieka.

— Jeszcze przykrótkie spodnie w przedziwne figury geometryczne?

— Dostałem je w prezencie od przyjaciela, pomalowałem tuszem. To autentyczne spodnie polskich punków.

— I buty?

— Kupiłem je na wsi pod Częstochową, polecił mi je przyjaciółka. Co prawda to było latem, a buty były zimowe, ale w zimie już bym ich na pewno nie dostał. W ten sposób nabyłem najlepsze buty jakie mam. Wszystko co mam na sobie pochodzi z Polski. I dźwi mi, że większość ludzi marzy o zachodnich strojach, podczas gdy ja mam najlepsze ze swoich ubrań właśnie stąd.

— Polska jest kolejnym po Kanadzie, USA, Australii i Chinach krajem pana artystycznych podróży. Jak powstał ten plan zagranicznych wояжy i dlaczego w tych krajach szuka pan spełnienia swoich artystycznych oczekiwań?

— Jeśli chodzi o Chiny i Polskę, zdecydowało o tym pręczenie, że muszę się tu znaleźć. Później przerodziło się to w obsesję, którą doprowadziłem do realizacji. Ameryka, bo wyemigrowałem tam mój rodzice, urodziłem się w Kanadzie. Australia też była moją obsesją, uczyłem się tam tańca i pracowałem. Miejsca, które wybieram dla siebie są przeważnie dobre dla mnie, bo szukam swojej indywidualności.

— Jakie wrażenia wywarła na panu Polska tuż po przyjeździe?

— Warszawa wyglądała jak Pekin, wielkie place, długie puste ulice. Dźwięk przedziwnego języka był tak samo egzotyczny jak w Chinach. Nic nie rozumiałem o czym do mnie mówiono, nawet napisałem piosenkę pt. „Warszawa jest Pekinem”.

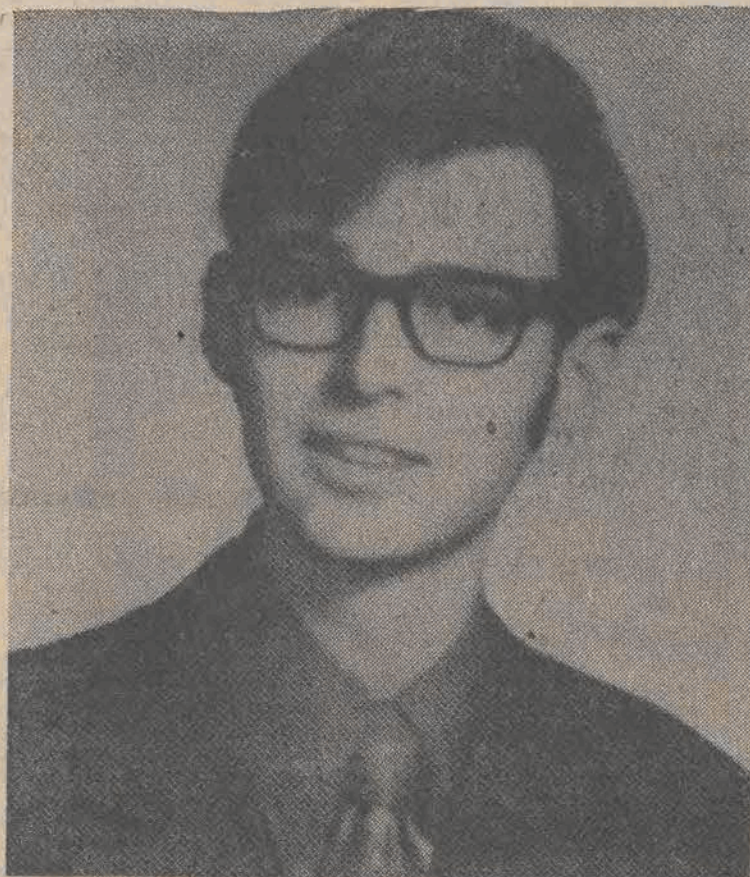
— A ludzie?

— Najpierw wybrałem się na koncert punkowy do Klubu „Remont”, po którym zebrał się wokół mnie tłum punków, aby ze mną porozmawiać. Jeden z nich zapytał — czy przyjechałem do Polski z rodzicami, następni też o to pytali. Bardzo mnie to dziwiło, a później wręczono mi wejściówkę do tego klubu. Bywałem też w Klubie Jazzowym „Akwarium”, gdzie poznałem środowisko muzyczne. I w ten sposób pojawiło się wielu polskich przyjaciół.

— To pierwsze wrażenie naprawdę zmieniło się z upływem czasu?

— Po półrocznym pobycie w Warszawie, wyjechałem do Częstochowy, gdzie zobaczyłem inną Polskę, która bardzo mi się spodobała i poczułem, że to jest właśnie Polska. Później był Kraków, w którym się zakochałem. Często chodziłem do teatru, opery, muzeów, galerii, aż pewnego dnia zrozumiałem, że Polska staje się moim domem. Szczególnie zapamiętałem pewien zimowy dzień, gdy wszyscy byli ubrani w ciśnie ubrania, co wydawało mi się dziwne. Rano zauważyłem światło jak z neonów i zrozumiałem, że to światło tworzy różnicę pomiędzy Polską a Austrią, bo tam było żółte, a tu jest białe i niebieskie. Dziś wiem dlaczego na polskich obrazach są niebiesko-białe światłocienie. To jest typowe polskie. I tak np. w filmie Andrzeja Wajdy „Sprawa Dantona” światło i charakterystyczne mały odcień biały i niebieski.

— W Polsce przebywał pan



Richard Boulez przed loty.

wyłącznie w kręgach artystycznych?

— Tak, ale wśród artystów z różnych dziedzin.

— Jak jest pan przyjmowany przez polską awangardę intelektualną?

— Myślę, że część z nich lubi mnie, a część nie. Niektórzy rozumieją, inni — nie. U mnie stosunek do niej jest podobny. Jest to normalne w każdym kraju.

Waż

— Nie zauważał pan, że szokuje ludzi strojem, makijażem, lysą głową, zieloną peruką, zachowaniem?

— Zauważyłem, ale czy oni zauważyli, że również szokują mnie swoimi strojami.

— Ten zewnętrzny wizerunek bulwersującego artysty to manifest pana ideologii, stosunku do świata, ludzi, samego siebie?

— To część mojej sztuki. Swego ciała używam do wyrażania swojej ekspresji. Lubie zmieniać swoje wizerunki w zależności od tego jak się czuję i co robię. Nienawidzę ludzi, którzy są niezadowoleni z tego jak wyglądają, a nie stać ich na to, żeby się zmienić. Myślę, że każdy może się zmienić jeśli chce. Lubie wizerunki piękne, groteskowe i makabryczne. Lubie kontrast.

— Pomysł na siebie należy do pana?

— Tak. Ale nie przyszło to łatwo, aby doprowadzić się do takiego stanu w jakim jestem. Złożyły się na to długie lata ćwiczeń. Pracowałem nad tym już od 13 roku życia.

— Były chyba jakieś wzorce?

— Miałem ich dużo, np. Davida Bowie, Marlenę Dietrich, Liussie Camp. Obecnie podoba mi się Annie Lennox z zespołu „Eurythmics”, Boy George, bo ci ludzie mają dużo wizerunków, które się zmieniają.

— A w Polsce?

— Podoba mi się teatr Kantora i Wiśniewskiego.

— Z natury jest pan odważny, pewny siebie, nie bojący się niczego i nikogo, czy też pod przedziwnym, wymyślnym opakowaniem skrywa się ktoś zupełnie inny?

— Wewnątrz jestem ciągłym dzieckiem, dlatego nie boję się, dzieci nie mają poczucia strachu. Niektórzy ludzie nazywają to odwagą lub fantazją.

— Kto jest pana przewodnikiem po Polsce?

— Ja sam. Jak wąż ślizgający się przez ludzi i sprawy.

— I wśliznął się pan do filmu polskiego?

— Wcześniej wystąpiłem w wielu filmach, spektaklach teatralnych i telewizyjnych za granicą. Zadebiutowałem w „Kidnaperze” australijskiego reżysera Filipa More, gdzie zagrałem porwanego, w „Lotni-

sku” grałem terrorystę. W teatrze grałem np. tytułową rolę kobiecą w „Ksantypie”. Najwięcej grałem w telewizji. Ludzie, którzy widzieli mnie i moją pracę przedstawili reż. Maciejowi Wojtyłce. W jego polsko-austriackim filmie pt. „Księżycowa droga” zagrałem wiele różnych postaci. Niedawno zakończyłem zdjęcia do filmu Krzysztofa Zanussi „Rok spokojnego słońca”, w którym gram amerykańskiego oficera, przyjeżdżającego do Polski w poszukiwaniu grobów amerykańskich żołnierzy poległych podczas II wojny światowej. Mam nową propozycję filmową i udział w przedstawieniu teatralnym w Katowicach.

— Aktorstwo jest panu tak samo bliskie jak wyuczona choreografia i taniec?

— Nie ma to znaczenia. Wszystko jest dla mnie tańcem.

— Skąd te talenty taneczne u pana?

— W mojej rodzinie była pewna zwariowana ciotka, która była bardzo ekscentryczna, miała duszę artystki. To ona mnie zainspirowała. Ponadto jako dziecko nigdy nie umiałem siedzieć spokojnie, ciągle się ruszałem i byłem w ciągłym ruchu, który z czasem przerodził się w taniec.

— Kto nauczył pana tańczyć?

— Zaczynałem od nauki w bostońskim Teatrze Tańca dla dzieci, później byłem w Teatrze Pantomimy w Bostonie, w Nowym Jorku, włączając się z amerykańskim Teatrem Mimów. To były początki.

— Jak traktuje pan taniec uprawiając go czynnie: dla siebie i na pokaz?

— Taniec jest dla mnie wyrażaniem mojej ekspresji. Pre-



sentując go innym, w zależności co i gdzie tańczę — pokazuję różnego rodzaju formę i ruch, np. w Polsce nikt do tej pory nie widział takiego tańca jak mój.

— Uczył go pan innych ludzi?

— Przez rok uczyłem tańca w operze, w teatrze i w moim prywatnym studiu. Lubie uczyć innych i wiem, że mogę już wiele nauczyć. W uczniu potrafię dostrzec jego indywidualność i mogę pomóc ją rozwijać.

— W USA współpracował pan z takimi gwiazdami jak: David Bowie, Adam Ant, w Polsce zainteresował się pan gwiazdami rocka, wybierając najciekawsze: Korę i Gaygę?

— Najlepiej pracowało mi się jednak z tancerzami z opery w Sydney. Moim największym sukcesem jest to, co będą robić. Korę poznałem przez polskich przyjaciół, ma duży talent, jest oryginalną postacią w polskiej muzyce rockowej. Pracowałem z nią raczej jako przyjaciel, mniej jako nauczyciel, bardziej konsultant do spraw choreograficznych i sposobu ubierania się. Gaygę poznałem poprzez jej menażera, który zaproponował mi współpracę. Słuchałem jej piosenek nagranych z nowym zespołem „DIN”, dużo rozmawialiśmy, jestem zadowolony, bo okazała się bardzo otwarta, lubi słuchać i uczyć się.

— Jak wygląda lekcja u pana?

— Zaczyna się od rozmowy, od określenia danej osobowości, badam ją poprzez innych ludzi, obserwację życia prywatnego i zawodowego. To cały, złożony proces. Nie prowadzę typowej lekcji, nazywałbym ją raczej spotkaniem, w czasie którego pojawiają się pomysły.

— Na pewno ogląda pan swoje uczennice w telewizji, na estradzie i jak je ocenia w samodzielną pracę?

— Gdy zauważam postępy, jestem bardzo szczęśliwy, że pomogłem w pierwszym etapie.

— Jaki jest pana świat?

— Mam ciągle wielką ochotę wyjść poza ten świat i widzieć więcej. Z drugiej strony wiem, że jestem w jego środku. Boję się tylko, że zabraknie państw, które chciałbym odwiedzić. Mój świat to podróże.

— Co najbardziej fascynuje pana w życiu?

— Każdy dzień jest dla mnie fascynujący. Początek tej fascynacji zaczyna się codziennie, gdy otwieram swoje drzwi.

— A co najbardziej frapuje pana w uprawianych dyscyplinach sztuki?

— Lubie malować swoją ty-

gancję ucieka pan od czegoś?

— Nigdy od niczego nie uciekam, chociaż zawsze miałem i mam na sobie dużo kolorów.

— Co robi pan, gdy ktoś chce mu wejść w jego świat i podkutymi buclorami?

— Ja również mam wielkie i ciężkie buty, które stoją pod stołem. Teraz włożyłem w cholewki nogi od stołu, ale zawsze mogę je wyjąć i użyć.

— Jest pan taki delikatny, kruchy i pewnie nie potrafi na nikogo krzyknąć, obrazić się, wyśmiać?

— Ja nie krzyczę, ja biję, depczę po nogach i odciskach.

— Ale jako mały chłopiec był pan chyba zakompleksiony?

— Niespecjalnie, poza tym, że byłem mały, a chciałem być duży i mówiłem wszystkim: poczekajcie aż urosnę!

— Życie według pana powinno być nieustanną kreacją?

— I życie, i śmierć winny być kreacją. Myślę tak o tym dlatego, że śmierć jest kawałkiem życia i od nas zależy którą z tych części wybierzemy. Np. całe moje życie jest dla mnie sztuką i śmierć będzie tym samym.

— Każdy według pana może być artystą, twórcą?

— Może być nim ten, kto się na to zdecyduje, ale gdybyśmy wszyscy byli artystami, to kto by sprzedawał ser? Żeby być artystą, trzeba poświęcić wiele rzeczy, np.: dobrą finansową, uczucia, emocje, fizyczne radości. A jeśli ktoś podjął taką decyzję, to nie wolno mu nigdy narzekać.

— Czy można zaprojektować swoją osobowość?

— Czy jest to konieczne?

Większość artystów ma jakiś pomysł, plan — jak chce żyć, jak się rozwijać. Decyzje te wymagają od nich odpowiedzialności i konsekwencji. Sekretem powodzenia jest, żeby nigdy nie żałować swego wyboru, pracować uważnie, coraz lepiej.

— Pan zdaje się być całkowicie wyzwolony, taki poza wszelkimi konwencjami. A może to tylko tak się wydaje?

— Mam swoje założenia, swoje konwencje i nie poddaję się wpływowi nawet swoich przyjaciół. Jeżeli coś jest dla mnie niewygodne i hamuje mój rozwój, rezygnuję z tego, ale jeżeli muszą stanąć w kolejce, to stoję...

— To prawdziwy luksus, na który u nas mało kto może sobie pozwolić?

— Owszem, ale nie zapominać — ile zapłaciłem i zapłacę za ten swój luksus, ile rzeczy poświęciłem i poświęcę, jakie ryzyko podjąłem i podejmę. Ale tylko wtedy pojawia się szanse, które wygra się lub przegra. A ludzie przeważnie lubią rzeczy pewne.

— Wciąż zaskakuje pan wszystkich, czy ktoś jest w stanie pana zaskoczyć?

— Byłem tu tylko raz zaskoczony, gdy kolega wypilił moją wodę kolońską.

— Ale na pewnym przyjęciu ktoś przebił pana ubierając się w indyjski ornat i był w epicentrum zainteresowania, spytał pana na drugi plan?

— Tak? Nie pamiętam, może byłem za bardzo pijany.

— Nie mogę się oprzeć pokusie zajrzenia do pana szafy i walizek, domyślając się, że są tam prawdziwe skarby?

— Mam w nich wiele tajemnic, niespodzianek, np. z przeznaczeniem dla ozdoby mojej głowy: dwie nowe fioletowe peruki z piór typu boa, sprężynę wyjętą z łóżka, dwa rogi z obcasów od damskich szpilek (to prezent od kolegi na moje imieniny) i jeszcze drzewko — choinkę ze wszystkimi moimi kolczykami.

— Wystarczy! Przydałby się duży show telewizyjny z panem w roli głównej, żeby to wszyscy mogli obejrzać. Może już ma pan pomysły?

— Tak, wiem jak to powinno wyglądać. Należałoby pokazać kilka moich wizerunków. Może nawet dałbym w telewizji lekcję tańca — mówiąc coś po polsku.

— A dlaczego do tej pory nie mówi pan po polsku?

— Jestem strasznie zajęty pracą, a przy nauce języka trzeba się skupić i oderwać od innych zajęć. Ale tak naprawdę, artyści w komunikacji między sobą nie potrzebują żadnego języka.

— W Polsce będzie pan do 1985 roku, co w planach na ten okres?

— Może nawet pozostanę w Polsce na zawsze i będę musiał powiększyć swój program.

— Przewracając w głowach nawet największym ekscentrykom?

— Tak, przewracając w głowach.

— I ucząc ich jak być wciąż młodym i świeżym uprawiając wegetarianizm?

— Jedząc tak jak ja chleb z serem lub ser z chlebem. Od czasu do czasu lody „Ambrozja” w „Hortexie”. Uczę ich jak być dobrym dla zwierząt, a nie jeść.

— Ile pan schudł w czasie pobytu w Polsce?

— 35 kilogramów.

— Co będzie dalej?

— Zostanę duchem.

Rozmawiał:
**BOHDAN
GADOMSKI**

Polemiki • Listy • Opinie

MELANCHOLIA ZWROTNIC

Upalne południe, Łódź. To już mówi za wszystko: ogromny zacheł w wąskich ulicach, spaliny... I w tej scenie stoję na przystanku róg Gdanskiej i Andrzeja.

Niepozorny, mały człowiek zaopatrzony w białą czapkę i w pomarańczową kamizelkę oczyszcza zwrotnice i rozjazdy. Tuż przed nim zatrzymuje się tramwaj numer osiem. Motorniczy i pan czytający szynny nie mają kontaktu głosowego i tylko ten mały w białej czapce pokazuje dramatycznie na usta. Dobry tramwajowy: zatrzymał wóz i w jego oczach ogromne współczucie.

A ja tak sobie stoję na tym przystanku w ulwie sierpniowego słońca, początkowo jestem zły na siebie, że tego wcześniej nie spostrzegłem, a potem zaczynam się, mówiąc po ludzku, wkurzać. Wreszcie mnie bierze ciężka cholera.

To jak to właściwie jest? Minął okres Odnowy, potem Małej Stabilizacji, potem Sukcesu (zwanego inaczej okresem Arogancji) — a ten niewielkiego wzrostu facet furt czyści te zwrotnice i rozjazdy.

Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne nie chciało mi podać telefonicznie listy takich robotników torowych oczyszczających stareńkie łódzkie szyny. Oni traktują ich bardzo globalnie — z nieprawdopodobną pogardą mówią o nich „robotnicy torowi”.

Zauważyłem gest bez słów: człowiek, który czyści szyny zasłonił całą dłoń ust i stojący przed nim motorniczy kiwnął z pożalowaniem głową.

Oczywiście dla MPK to są najniższego szczebla robotnicy torowi, takie ot marne, nie nadające się do czego innego frajery, o których nawet szkoda gadać.

A jak wygląda praca? Ci ludzie posiadają narzędzia o bardzo małym gabarycie — i kiedy oczyszczają zwrotnice i rozjazdy, wówczas ogromne tumany skorodowanego żelaza, kurzu ulicznego i rdzy walą im prosto w twarz tunanem, który wdychają do ust, do oskrzeli, do płuc.

Ciekawe, jak się do tego odnosi komórka bezpieczeństwa i higieny pracy MPK, ciekawe, że Instytut Medycyny Pracy nigdy — ale to nigdy nie zainteresował się pyłką, która w ciągu dwu lat takiej pracy jest w stanie skrócić życie o dwadzieścia lat.

Najbardziej niemoralne jest traktowanie tych ludzi jako zupełnie anonimowych „robot”. A przecież to są PANOWIE, którzy chronią mnie i setki tysięcy użytkowników tramwajów przed piekielną katastrofą.

Powtarzam — to są PANOWIE, którzy muszą pracować w uciążliwych warunkach — i to od lat!

Być może na przystankach stoja prokuratorzy, lekarze, ekonomiści, działacze partyjni — i co? Uważają to za normalne? Psia-krew!

No a teraz wnioski — może bardzo niewygodne dla siedzących w gabinetach dyrektorów MPK i pracowników BHP:

— W trybie natychmiastowym należy rozważyć, czy nie należy tych ludzi zaopatrzyć w wygodne gogle (to są takie okulary ochronne, przyjaciele), a może w leciutkie maseczki z pochłaniaczami znanymi przecież u braci Czechów i bratanków Węgrów.

— czy nie należałoby zwołać symposium (ale nie takie od gadania, ale od działania), aby narzędzia do czyszczenia zwrotnic i rozjazdów usprawnić, wydłużyć, żeby ta cała szajsza nie leciała w twarz ludzi, którym zawdzięczamy to, że tramwaje się nie wykołaja.

Jest jeszcze jedna rzecz w tej pozornej małej sprawie: szacunek dla ludzi pracy — to o czym mówił główny ratownik na ostatnim (łódzkim) plenium KC PZPR — sprawa moralności. Niektórzy panowie w biurach uważają, że skoro pracownicy torowych jest mało, to nie ma się co nim zajmować. Otóż mil panowie, gdyby chodziło tylko o jednego robotnika, a wy byście to zlekceważyli — to z waszą moralnością jest bardzo kłopot.

Nie należę do ludzi, którzy piszą w przestrzeń. Dlatego żądam w nieprzekraczalnym terminie dwóch tygodni odpowiedzi MPK na niniejszą — nazwijmy to tak — interpelację.

ROBERT GLUTH

JESZCZE RAZ W SPRAWIE DZIURY W DACHU

Nawiązując do notatki opublikowanej w „Ogłosach” w numerze 22 z dnia 2.06.1984 r. pt. „Czy jest dziura w dachu?”, a podpisanej przez zastępcę dyrektora ds. technicznych PGM Łódź-Polesie — Tadeusza Redlickiego, pragnę zakomunikować co następuje:

Mimo że sprawa przeciekającego dachu zainteresowała się Naczelnik Dzielnic Łódź-Polesie i zobowiązał pracowników PGM do bezwzględnego naprawienia uszkodzeń, nic się w zaistniałej sytuacji nie zmieniło. Mieszkańcy nadal jest zalewane przez opady deszczu.

Do dnia 31.05.1984 r. przebywałam w szpitalu i tym właśnie faktem na łamach „Ogłosów” dyr. T. Redlicki usprawiedliwia się z niewypełnienia polecenia Naczelnika Dzielnic.

Natychmiast po moim powrocie ze szpitala do dyrektora T. Redlickiego udała się moja opiekunka. Mimo trzykrotnych odwiedzin dyrektora nie zastała (zawsze był na naradzie) natomiast skierowano ją do działu technicznego. Tam zakomunikowano jej, że po najbliższych opadach deszczu do mojego mieszkania oddelegowany zostanie pracownik, by dokonać wizji lokalnej.

Przebywam już w domu dwa tygodnie i deszcz padał już przez 4 dni, a pracowników PGM Łódź-Polesie jak nie było, tak nie ma. Zakłopotuję więc ze mną i moją opiekunką.

Myślę, że nie tylko deszcz, ale i bomba atomowa nie zdołałaby wyciągnąć ich z zacisznych, nie zalewanych przez deszcz pomieszczeń.

Tak więc mimo pomocy red. L. Bogusza i zobowiązania pracowników PGM do bezwzględnego naprawienia szkody — przez Naczelnika Dzielnic — nie się nie zmieniło.

Jak na kpinę przytoczyć tu można słowa dyr. T. Redlickiego z notatki „...o dalszym działaniu będziemy informować na bieżąco zainteresowanych”. O jakim działaniu PGM chce informować?

Jestem już bardzo ciężko chora, brak mi na to wszystko siły i jedyny ratunek widzę obecnie tylko w „Ogłosach”...

Blagam Redakcję o wydelegowanie do mnie Redaktora, by na własne oczy ocenił warunki w jakich mieszkam. Wierzę, że przy Waszej pomocy moja sprawa zostanie załatwiona szybko i pozytywnie.

Z poważaniem —

PAULINA LEŚNIEWICZ
(ul. Gdańska 19 m. 9)

PLAKAĆ I PLAĆ

Czy wiecie, co to są umowy adhezyjne? Nie — nie mam zamiaru zanudzać teoriami i snuć wywodów prawniczych. Rzecz będzie o całkiem codziennych, życiowych sprawach. Dotyczących każdego.

Ala najpierw odpowiedź na postawione w wstępie pytanie: otóż — najprościej ujmując — są to umowy, w których jeden kontrahent jest z góry znany i znane są również warunki umowy. Natomiast drugi kontrahent niezależnie od tego, czy warunki mu się podobają czy nie — ma wybór prosty: albo się

na nie zgodzić, albo umowy nie zawierać. Nigdy zaś dyktować. Proste?

I już budzi się ten sarmacki sprzeciw: Co? Mnie będą (oczywiście „oni”) dyktować warunki? Nigdy!!!

Słusznie. To nie przystępuję do tej umowy. Po co ci ona? Właśnie — nie przystępuję. Ale na nie Wasze sprzeciwy. Bo już macie kilka takich umów zawartych, a codziennie zawieracie nowe. Nie wierzyacie? Te już zawarte — to na przykład o energii elektrycznej i gaz w mieszkaniu. U niektórych (a sami lecimy na to jak ómy do światła) — o łączności telefonicznej. A inne? Gdy nalepiacie znaczek na list wrzucany do puszek, gdy kasujecie bilet w tramwaju lub autobusie, gdy jedziecie PKS lub PKP.

Zrezygnujemy, choć nie podoba nam się postępowanie naszego kontrahenta? Chyba nie.

Pewno sam miałbym ciędy o tego, aby tak się ustawić, że ktoś korzystający z moich usług ma minimum praw, a ja minimum obowiązków lub inaczej — maksimum nieodpowiedzialności. Szczególnie, gdybym był monopolistą. Tak jest i wygodniej — i rzecz by można — zgodnie ze zdrowym rozsądkiem. Bo przecież w tym naszym cywilizowanym świecie trudno wymagać, aby naraz wszyscy, zbulwersowani traktowaniem zrezygnowali z prądu, telefonów, a do pracy i na urlopy drałowali na piechotę. Będą płakać i płacić!

Marne te nasze uprawnienia. A obowiązki — niewzruszalne: przede wszystkim płacić. Niezależnie od terminowości i jakości — jak to się mądrze mówi — świadczeń kontrahenta. Jeśli już jakieś upusty, bonifikaty lub odszkodowania (gdy w ogóle dopuszczalne!), to po wielu tarapatkach i zachodach, które mój przysłowiowy Obywatel O Normalnej Odporności Psychiczej nie zawsze zniesie.

A co więcej? No to przypomnijmy sobie pierwsze z brzegu sytuacje, a niczego nowego tu nie wymyślę.

Wracamy do domu, a tu lodówka „pływa”, bo była przerwa w dostawie prądu. Zamrożone mięso, oszczędzane na inieniny za tydzień — musisz robić już, rozmrożone mrożonki (pardon!) musisz jeść na siłę lub wyrzucić („produkt raz rozmrożony nie może być zamrożony powtórnie”).

Niedostateczne napięcie w sieci zmusza cię do zainwestowania w stabilizator. Nasadziłeś w elektrycznej kwoce kilka tysięcy jaj, a tu wyłącza.

Pomyłono się w rachunku. Masz prawo reklamować, lecz rachunek i tak zapłacić, bo inaczej odetną od sieci, a za ponowne włączenie trzeba płacić...

Oczywiście — na to wszystko jest rada: nie mieć mięsa w lodówce (to nawet stosunkowo łatwo), nie mieć telewizora i nie nasadzać jaj. A ktoś powie na serio: możesz się przecież procesować o odszkodowanie. Nie daj Boże uwikłać się w taki proces, choć stosunkowo łatwo byłoby z tymi jajami lub gdyby na skutek braku prądu i wentylacji padło ze trzydzieści tysięcy kurczaków w fermie.

Z gazem sprawa mniej skomplikowana, lecz bardziej niebezpieczna. Wyobraźmy sobie, że nastawiamy garnek z dłuższym gotowaniem i nie siedzimy przy nim (takiego przymusu jeszcze nie ma). Tymczasem krótka przerwa w dostawie gazu, potem nie zapalony gaz zaczyna się ulatniać i — dość tej makabry!

Rachunkowe cuda dzieją się nagminnie w telefonach, szczególnie od czasu wprowadzenia obliczeń komputerowych. Oświadczam publicznie, że zapłacić mylny rachunek nawet na 10 tys. zł, mimo że telefon był popsuty, a reklamować będę potem! Telekomunikacja ma te swoje metody wychowawcze.

A tramwaje? Nie będę się powtarzał w ślad za innymi, lecz gdy wchodzi do tramwaju — czuję się z góry jak przestępca i po dziesięć razy sprawdzam, czy mam aby skasowany bilet? A cóż za dylemat, gdy kasownik niewyrażnie wytnie skomplikowany system dziurek? Zostawić czy poprawić? Trzymając kurczowo bilet wypatruję jawnych i tajnych kontrolerów. A czytając czasem w tym środku masowej komunikacji gazetę, w niej zaś artykuły o trudnościach obywateli w postaci braku ludzi, środków i sprzętu — nie zauważam nawet, że tramwaje jedzą raczej niepunktualnie i są zazwyczaj zapapranie od środka i z zewnątrz.

Ala dość o tym, bo MPK w gruncie rzeczy lubię. Za sprawy z czasów młodości (ta remiza LWEKD w Helenówku!) którymi może jeszcze kiedyś z Czytelnikami się podzielić.

O nieodpowiedzialności i specyficznym poczuciu „władztwa” w stosunku do pasażerów PKS już pisałem, lecz nie doczekało się to druku. Być może PKS ma w „Ogłosach” jakieś lobby?

Gdy liżę i naklejam na list znaczek za 6 złotych — nigdy nie wiem, co z tego wyjdzie i czy rzeczywiście zawieram umowę jako równorzędny partner...

A PKP? Temat stary jak świat, choć nie mam pewności, czy w tym momencie nie obraził się na mnie starsi wiekiem, emerytowani kolejarze. Z czasów, kiedy to na widok pociągu regulowano zegarki, a w każdym wucicie wagonowym była woda. Nie mówię już o prehistorii, gdy na „drugim dzwonku” podróżni kończyli obiad w bufecie stacyjnym...

Niedawno kupiłem sobie Rejonowy Rozkład Jazdy Pociągów. Pouczająca to lektura. Nie będę nawet pisał, jakich połączeń Łódź brak, co jest traktowane po macoszemu, bo takie ciągle powtarzanie jest nudne. Zagłębiłem się natomiast w „Ważniejszych Informacjach Przewoźowych i Taryfowych”.

Na przykład: „...spóźniony odjazd lub przyjazd pociągu, odwołanie pociągu lub wyłączenie z pociągu wagonu nie dają podróżnym prawa żądania odszkodowania...”. Chytre, co? Albo dalej w „obowiązkach podróżnego”: otóż mam obowiązek „...sprawdzić, czy otrzymałem właściwy bilet...”. A co to znaczy „właściwy”? Czy do właściwej stacji (to rozumiem), czy właściwą trasą i za właściwą cenę? A gdy omyli się kasa, a ja tego nie zauważę — to co?

Nie mniej ciekawe sytuacje wynikają z „uprawnienia” pasażera przed odjazdem pociągu do zgłoszenia konduktorowi, że nie zdążył wykupić biletu na stacji lub że na skutek braku miejsca chce dopłaty do jednolitego, albo w ogóle do pośpiesznego. Pasażer takie uprawnienie ma, lecz konduktor niestety, nie ma obowiązku poświadczyć, że zgłoszenie przyjął. Gdy przed kilkunastu dniami wracałem do domu — na stacji we Wrocławiu był taki miły, że konduktorzy nie chcieli z nikim gadać, nie tylko przyjął zgłoszenie. I byłem później świadkiem, gdy jakiś pełnoprawny pasażer PKP dopłacił do biletu wraz z karą, bowiem zarzucano mu, że zjadł klasy II na I nie zgłosił. Dobrze mu taki Luksusów mu się zachciało.

I jeszcze jedno: nijk nie mogę zrozumieć, dlaczego stanie na korytarzu wagonu I klasy jest droższe od takiegoż stania w klasie II? Czyżby dbałość PKP o lepsze samopoczucie pasażerów?

Wystarczy? Jako sensacji — pewno zbyt mało lub wcale. Jako faktów — chyba dosyć.

Ala mnie chodzi o coś innego. Jeśli już jako społeczność jesteśmy skazani na taką nierówność z przyczyn obiektywnych, to nie dodawajmy do tego bagażu jeszcze przyczyn subiektywnych w postaci niedbałości w pracy, niechlujstwa, arogancji i tego obrzydliwego „władztwa”, które z atawistycznych chyba pobudek nakazuje nam się „odgrywać” na bliźnich. Wiem, że nie wszystkich to dotyczy, lecz jeszcze zbyt wielu... A przyczyna takiego apelu jest prosta: jeśli nie starcza argumentów oczywistych — to pomyślny, że nie jesteśmy wyjątkiem. Bo już widzę, jak N. z PKP sekuję K. z telekomunikacji, ten odcina ma telefon, a potem przy jakiejś okazji tłumaczy się przed córką N., że nieśluszenie doliczył mu za prąd tysiąc złotych... I tak dalej i tak dalej. Wesoło? Ano — bo wszystko jest pożyczone i kiedyś może być oddane. Z nawłazką. Lepiej więc komuś jak najmniej „pożyczać”, a potem jak najmniej „odbierać”...

WITOLD AFELT

DEMASKUJE BOHATERÓW „ANTYKWARIATU PRZY PIOTRKOWSKIEJ”

Szkoda, że Jerzy Wilmański, pisząc swój „Antykwariat”, nie porozumiał się z mną. Pomógłbym mu wyjaśnić tajemnice kuchni redakcyjnej przedwojennej „Republiki” i nie poskąpił garści rodzynków.

Kto był autorem artykułu sprzed pięćdziesięciu lat, wyrażającym protest przeciwko bezmyślnym zmianom nazw ulic łódzkich? Zasugerowany kryptonimem (S), Wilmański snuje domysły. Może Wacław Smólski, może Adam Szemberg?

Ani jeden, ani drugi. Pan Wacław pracował u nas jako metrapaź, przełamujący kolumny gazet. Co prawda dostąpił zaszczytu figurowania w stopce redakcyjnej w charakterze redaktora ale... odpowiedzialnego. Co oznaczało w praktyce nadstawianie karku za swoich szefów. Podobnie jak „redaktorzy odpowiedzialni” innych gazet, pobierał stały ryczałt miesięczny, a gdy cenzura konfiskowała jakiś artykuł, co pociągało za sobą sprawę sądową, odpowiadał przed obliczem Temidy. Jeśli sąd wymierzył grzywnę, to jeszcze pół biedy, placili wydawcy, ale gdy wyrok opiewał odsiadkę — siedzi siedzieć.

Adam Szemberg, sekretarz redakcji „Republiki”, pisywał, owszem, lecz pod pseudonimem Adam Górski (w czasie okupacji zmienił nazwisko na Konstanty Bogusławski i po wojnie reaktował łódzki „Express”). Autorem cytowanego przez Wilmańskiego artykułu był płodny jak królik Bolesław Rawicz, używający różnych kryptonimów m.in. Sum, (S), (I).

Zaś pod literką (F) — futurologiczny artykuł również z 1938 r. o tym jak Łódź będzie wyglądała za 50 lat — ukrywał się Bernard Feferman, jeden z pierwszych pracowników „Republiki”. Znany był powszechnie jako Jerzy Boleński. Pod tym pseudonimem pisał wiersze, felietony oraz tasiełcowe powieści odcinkowe do „Expressu”. Mieszkał przy dzisiejszej ulicy Żeromskiego 61...

Roman HERNICZ... Filar „Wolnych Żartów”. Zgadza się z Wilmańskim, że utwory pana Romana to miernoty literackie jednakże jego sylwetka i „kariera” warte są przypomnienia. HERNICZ wydał bez mała trzydzieści książek. Niemal wszystkie, podobnie jak wiersze do „Wolnych Żartów”, napisał w Wiedniu, dokąd przeniósł się po wybuchu pierwszej wojny światowej. Lata młodości spędził w Stanisławowie, rodzinnym mieście Horacego Saffina. Oto jak pan Horacy wspomina go w swym pamiętniku „Ucieszne i osobliwe historie mego życia”:

„W szesnastym roku życia chadzałem w czarnej pelerynie i szerokim kapeluszu, spod którego spływały gęste pukle nieczłowiecznie trefionych włosów. Ogłosił podówczas drukiem tomik wierszy pod tytułem „Bezgwiazdne noce”. Jeden z utworów tego zbioru zamykał się sześciowierszem:

Lecz cóż innego przynieść mogę
ja, co straciłem życia drogę,
ja, który walcząc w życiu głuszy
nie mam dziś serca ani duszy,
ja, co straciłem ideały
i jako próchno jestem cały?”

Mimo tej pesymistycznej deklaracji, HERNICZ objawił w Wiedniu niepospolitą energię. W powodzi jego książek nie zabrakło i... Sennika egipskiego. „Co oznacza kielbasa?” — spytał Saffina w kawiarni „Ronacher” w trakcie tworzenia tego wielkopłomnego dzieła. „Nieszczęście w rodzinie” — pisał bez namysłu Saffin — i tak zostało to uwiecznione w Senniku.

Niezależnie od pisaniny, HERNICZ organizował najrozmaitsze imprezy kulturalne dla Polonii wiedeńskiej. Powodziło mu się wcale dobrze. Do niepodległej Polski nie wrócił. Z Wiednia rozsyłał na wszystkie strony świata plody swego ducha. Sporo zamieszczały gazety polskie na Oceanem. Oto jedna z wydrukowanych tam „perełek”:

Ja lubię szal, miłośny szal,
bachański szal upojeń!
Ja lubię spłot namiętnych ciał
i szukam w nich ukojeń...
Skończył tragicznie. Gdy hitlerowcy wkroczyli do stolicy Austrii, wyskoczył z trzeciego piętra na bruk. W liście pożegnalnym napisał: „Nie mam siły ani odwagi, aby życie rozpocząć na nowo”.

ADAM OCHOCKI

NAGRODY ZA PUBLIKACJE O CYRKU

Zarząd Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych uprzejmie zawiadamia, iż 4.06.1984 r. nastąpiło rozstrzygnięcie Konkursu Publicystycznego z okazji Jubileuszu Artystów Cyрку.

Jury Konkursu postanowiło przyznać dwie równorzędne nagrody dla:

- red. Elżbiety Baniewicz za artykuł „Cyrc — czyli wstydlive dziedzictwo” oraz zredagowanie specjalnego numeru „Teatru” z okazji 100-lecia cyрку (nr 8/83),
- red. Bogdana Danowicza za cykl artykułów poświęconych historii sztuki cyrkowej zamieszczonych na łamach „Przekroju”, oraz trzy równorzędne wyróżnienia dla:
- red. Zbigniewa Adriańskiego za publikację poświęconą współczesnym problemom cyрку polskiego, zamieszczoną na łamach „Polityki”;
- redaktorów: Bronisława Paszkowskiego (tekst), Romana Kwaśniewskiego (zdjęcia) i redakcji „Trybuny Opolskiej” za akcję publicystyczną pt. „Artyści areny — dzieciom”,
- red. Reginy Kruszelnickiej za program telewizyjny „ARENA”.

REDAKCJA DO „PASAZERKI”

Autorkę listu podpisanego „Pasażerka” prosimy o podanie do wiadomości redakcji imienia, nazwiska oraz adresu. W numerze 21 „Ogłosów” wyjaśnialiśmy, dlaczego redakcja nie będzie korzystała z listów, których autorzy nie podają, nawet do wiadomości redakcji, swego imienia, nazwiska i adresu. Cytowaliśmy również artykuł 15 „Prawa prasowego”, który gwarantuje wszystkim piszącym do redakcji pełną anonimowość i ochronę tajemnicy ich nazwiska, jeżeli wyrażą takie życzenie.

„AŚRAMY” A NIE „RAMY”

W numerze 24 „Ogłosów” z 16 czerwca 1984 r., w artykule kończącym omówienie tegorocznych Konfrontacji, wkraść się błąd nie wynikał z mojej winy. W recenzji z filmu „Gandhi” chochlik drukarski przekreślił wyraz. Zamiast słowa „aśramy” wydrukowano „ramy”. Wyjaśniam, że chodziło o wspólnoty wiejskie zakładane przez Gandhiego, w których wypracował on swoją praktykę jogi biernego oporu.

WALDEMAR BĘDZIŃSKI

Rok temu telewizja pokazała szokujący obrazek: oto w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Dmosinie dokonano sporego nadużycia w punkcie skupu skór. Komentator wymieniał ilości, podawał ceny i liczby. Były tego setki ton wartości milionów złotych. Jedyna rzecz, która nie pasowała do treści, to był budynek punktu skupu: mały, raczej kurnik, bez zabezpieczenia, o powierzchni nie większej niż 20 m kw. Miała się tu mieścić Rejonowa Składnica Skór, a także magazyn tychże skór miejscowej Gminnej Spółdzielni. I jakżeż nie było zastanowienia, jak to było możliwe, by w takim kurniku mogło się mieścić tyle tysięcy ton skór, jak to było możliwe, że właśnie tu odbywało się ich przyjęcie, konserwacja, klasyfikacja, wstępna, układanie na paletach. I wszystko to na o-wych skromnych dwudziestu metrach kwadratowych?

Najbardziej sceptycznymi i nie wierzącymi w cuda ludzkiej miłocinności w wyniku ich penetracji, przeciwko pracownikowi owego magazynu wszczęto śledztwo 26 marca 1983 r. przez Prokuraturę Wojewódzką w Skierniewicach. Po kilku miesiącach przebiegała akcja Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi i przekazała je do prowadzenia w całości Wydziałowi Dochodzeniowo-Śledczemu WUSW w Łodzi, czyli po prostu milicji.

Nie ma potrzeby pisać o trudnej, wymagającej czasu, cierpliwości i wiedzy pracy organów ścigania. Jednak dość szybko rozpoznano metody, powiązania oraz uczestników tej niemal gigantycznej afery gospodarczej. Wobec 24 osób śledztwo jest na ukończeniu (z czego 20 osób zostało aresztowanych), natomiast wobec dalszych kilkudziesięciu prowadzone będą czynności śledcze. Niemalże załoga jest udział Izby Skarbowej w ustalaniu finansowych nadużyć, a także w ocenie merytorycznej nadzoru nad pracą magazynu przez jednostki kontroli branżowej.

BOHATEROWIE PROSZENI SĄ NA SCENĘ

Postać nr 1 w tym dramacie jest magazynier Lucjan K. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że jest to rodzimy Arsen Lupin. Ale to pozory. Jego metoda kradzieży była prymitywna i bez polotu. Właściwie, gdyby nie sprzyjające okoliczności, a nade wszystko ludzie, z którymi współpracował, Lucjan K. nie mógłby ukraść z prowadzonego przez siebie magazynu nawet świątecznego ogona.

Kolejnym „bohaterem” jest były prezes GS „Samopomoc Chłopska” w Dmosinie Henryk O., patrzący przez palce na swego podwładnego i biorący od tegoż spore łapówki.

Dalej idzie kasjer z Banku Spółdzielczego, który wypłacał Lucjanowi K. na lipne kwity miliony złotych, wiedząc, że dokonuje nadużycia. Miał z tego profity, a także, bowiem Lucjan K. nie skąpił swojemu przyjacielowi finansowych gratyfikacji.

Reszta oskarżonych to: wiceprezes GS, kierownik magazynów, magazynierzy klasyfikujący skór, robotnicy, rampowcy, rzeczoznawcy z Łódzkiego Przedsiębiorstwa Obrótu Surowcami Włókienniczymi i Skórzanymi, a także niektórzy pracownicy Gminnej Spółdzielni w Dmosinie.

Akt oskarżenia zarzuca im wszystkim zagarnięcie mienia na kwotę około 77 milionów zł i to w krótkim czasie, bo zaledwie od 1977 r. do marca 1983 r.

LUDZIE BEZ POWOŁANIA

Od dawna było wiadomo, że w GS „Samopomoc Chłopska” w Dmosinie „coś śmierdzi”. Jednakże trudno było ustalić przyczynę tego zjawiska. Przyjeżdżające do punktu skupu skór i wełny kontrole piły optymistyczne protokoły z których niezmiennie wynikało, że nic się nie dzieje i wszystko jest w normie oraz najlepszym porządku. Na dobrą sprawę nie ma się do czego przyczepić. Kontrole dokonywali instruktorzy ze wspomnianego Łódzkiego Przedsiębiorstwa Obrótu Surowcami Włókienniczymi i Skórzanymi. Dziś, gdy czyta się owe protokoły polustracyjne, mimo woli chce się śmiać: oto

prawie na oczach wszystkich odbywa się gigantyczna mistyfikacja, na poczekaniu wymyśla się fikcyjne sprzedawców, wystawia się fikcyjne kwity, składa się fikcyjne sprawozdania i bierze się z kasy prawdziwe miliony złotych — a w protokołach nie ma o tym nawet wzmianki. Natomiast, jak na ironię, można wyczytać np., że „za porządek i magazynowanie surowca komisyjnie dano 8 punktów”. Albo, że „w magazynie znajdują się przedmioty jak skrzynia drewniana, papier i inne artykuły, co powoduje nieład. Kartoteka prowadzona na bieżąco” itp. Ukoronowaniem czynności kontrolnych jest protokół z 8 marca 1983 r., sporządzony przez Urząd Wojewódzki w Skierniewicach Wydział Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa. Dokonano w nim zestawienia ilości i wartości skór surowych i futerkowych skupionych przez punkt skupu w Dmosinie. Tylko, że powyższe zestawienie zostało zwyczajnie spisane z kartoteki magazynowej, natomiast nie zadano sobie trudu, by

EUGENIUSZ IWANICKI

Zapach świńskiej skóry

sprawdzić namacalnie, co znajduje się w magazynie i na jaką kwotę.

EKSPERTYZA BIEGŁEGO KSIĘGOWEGO

Wynika z niej, że GS „Samopomoc Chłopska” w Dmosinie prowadziła między innymi skup skór surowych od jednostek gospodarki uspołecznionej i od osób fizycznych. Wylącznym oficjalnym odbiorcą skupowanych skór przez spółdzielnię jest przedsiębiorstwo w Łodzi. Dalej ekspert stwierdza, opierając się na kontroli finansowej dokonanej przez Izbę Skarbową, że Lucjan K. prowadził podwójną dokumentację sprzedaży skór. Dowody rozchodu skór wystawione dla spółdzielni były różne od tych, które wystawiał on dla odbiorcy, to jest dla przedsiębiorstwa w Łodzi. Natomiast w spółdzielni księgowo dowody dostaw nie potwierdzonych przez odbiorcę. Do tego w okresie kontrolowanym nikt nie przeprowadzał pełnej inwentaryzacji tak okresowej, jak i kontrolnej w magazynie skór.

Ekspert wylicza następnie wysokości niedoborów, oceniając je na sumę 86.514.821 zł. Ponadto stwierdza brak rozliczenia na 440 szt. skór owczych z importu z Mongolii o wartości zbytu 1.320.000 zł, co łącznie z utraconą marżą i podatkiem stanowi kwotę 1.496.000 zł, oraz niedobór 178 skór z importu o wartości 620.033 zł.

Lucjan K. zawiązał dane liczbom w zakresie zaklasyfikowania skór i ich ilości i wartości. Zresztą on sam wystawiał sobie kwity dostawy skór i sam pobrał za nie gotówkę ze spółdzielni (Dodajmy, że głównym księgowym w GS był jego brat Jan K.). W sumie, jak wycenił i ocenił ekspert, Lucjan K. nabrał GS aż na 59.090.897 zł. Nieśwasty nadal niewyjaśniona pozostaje sprawa co się stało z 2.223.868 złotych, stanowiącymi różnicę w niedoborach wynikających z wycieńczeń zawartych w ekspertyzie a zeznaniami Lucjana K.

OPINIA IZBY SKARBOWEJ

W toku kontroli dokonanych w GS „Samopomoc Chłopska” w Dmosinie oraz w Łódzkim Przedsiębiorstwie Obrótu Surowcami Włókienniczymi i Skórzanymi, obok czysto finansowych nadużyć stwierdzono za-

cownikami LPOSWIS w Łodzi oraz moimi zwierzcownikami z GS „Samopomoc Chłopska” w Dmosinie. Nadużycia moje polegały na tym, że wystawiałem fikcyjne dokumenty skupu wełny owczej i skór, na podstawie których podejmowałem osobiste gotówkę z Banku Spółdzielczego w Dmosinie”.

Powyższe wyznanie wymaga ilustracji. Otóż we wspomnianym Łódzkim Przedsiębiorstwie Obrótu Surowcami były tworzone poza ewidencją nadwyżki „skór ciężkich” tj. wołowych, świńskich i cielęcych. Nadwyżki te trzeba było upłynniać, przy czym nie wyprowadzano ich fizycznie, lecz właśnie poprzez dopisywanie do dokumentów skupu wystawionych przez Lucjana K., odpowiednich, wyższych ilości wyższej klasy, wyższej wagi. W ten sposób likwidowano nadwyżki, a Lucjan K. z kolei produkował fałszywe kwity różnych skór. W ten sposób pobierał gotówkę z banku od kasjera i przywoził ją do wspomnianego przedsiębiorstwa i tu dzielił się z kierownikami magazynu, magazynie-

gratyfikacje, które przeznaczał na wódkę.

„Część pieniędzy przeznaczałem na alkohol, który wypijałem razem. Ja płem wódkę dlatego, że miałem dużo kolegów i naciągali mnie na pocztunek. Wódkę płem na terenie spółdzielni, a z kolegami w swoim domu, bądź w gospodzie... Wszystkie otrzymane pieniądze od K. przeznaczałem na alkohol... Od 1980 r. w ogóle nie oddawałem pensji żonie, ponieważ popadłem w alkoholizm, jednak nie leczyłem się w żadnej poradni. Przeciwnie dziennie wypijałem około pół litra wódki...”

Kasjer Marian P. wiedział, że Lucjan K. fałszuje kwity. Bywało, że wypłacał mu po kilka razy dziennie. O zagmatwanych powiązaniach obu panów niech świadczy i taki przykład. Oto kasjer sprzedał jedną z pracownic GS złotą dwudziestodolarówkę za 160 tys. zł. Kobieta albo nie miała tyle pieniędzy, albo wynikało to z jakichś tajemniczych układów, dość, że Lucjan K. wystawił w jej imieniu kwit na skup 30 skór ba-

zu nie zainteresował się, by wyjaśnić, jak to się dzieje, że Lucjan K. w ciągu dwóch lat mógł skupić skór na kwotę 130 mln zł. Mało skupić, ale odpowiednio zakonserwować (ile na to potrzeba soli i gdzie ta sól? Czy była w ogóle kupowana?), ułożyć na paletach i dokonać wielu innych czynności. Nie stanowiło także pytanie: od kogo on to kupuje? Lucjan K. twierdzi, że kupił wszystkie skóry od 25 handlarzy na sumę 167 mln zł! Twierdzi, że było tych skór ponad 34 tys. sztuk. Ciekawe, gdyż w całej okolicy pogłowie baranów wynosiło raptem ok. 5,5 tys. sztuk. Rzekomo skór bydlęcych kupił aż 360 ton. Dziwnie, skoro obowiązuje zakaz uboju bydła. Zresztą w okolicy nie było nigdy tyle krów i wołów. A gdyby tak było to gdzie mógł te skóry przechować? 360 ton to sporo, to średniej długości pociąg towarowy. A tu tyle towaru na niecałych 20 m kw! Cudotwórca i tyle. Lucjan K. przedstawił wykaz osób, od których kupował skóry. Wynika z niego, że jedna osoba jednorazowo sprzedawała mu kilka tysięcy owiec lub bydła. Kilka tysięcy owiec, to spory rezyk lub całe stado. Jak to wszystko pojąć i zrozumieć? A prezes twierdzi, że niczego nie widział. Jak mógł nie zauważyć owych ogromnych wozów lub całych transportów zajeżdżających przed jego magazyn!

Lucjan K. nie oszczędza swego prezesa. Mówi, że na przesłżeniu pięciu lat systematycznie przekazywał Henrykowi O. łapówki. Zaczął jeszcze wtedy, kiedy Henryk O. był w spółdzielni rezydentem. Wtedy dawał mu po 5 lub 10 tysięcy złotych i wręczał je w magazynie. Ale kiedy Henryk O. został prezesem, Lucjan K. musiał już fatygować się z forsa do gabinetu. Ano, co władza, to władza, trzeba zachować prestiż!

O lepkich rękach prezesa mówi także pracownice GS. Twierdzą, że wszystko było uzależnione od prezesa, natomiast jego decyzje personalne miały określoną wysokość w złotych. Oto Teresa W. chciała pracować w magazynie opałowym. Prezes nie miał nic, przeciwnie, tylko powiedział, że nie za darmo.

„Przy następnej rozmowie — mówi Teresa W. — przekazałam prezesowi O. sumę 10 tys. zł. Prezes powiedział „dziękuję”.

No, proszę, nawet wykazywał dobre wychowanie. Inna pracownica znała przyszłego prezesa jeszcze z czasów, gdy był lustratorem. Już wtedy podczas remanentów lubił zabierać nadwyżki ze sklepu lub zwyżczalnie żądał łapówki.

„Każdorazowo — mówi Zofia W. — podczas lustracji przeprowadzanej przez O. musiałam mu zapłacić średnio od 6 do 7 tys. złotych”.

PODSUMOWANIA DOKONUJE PROKURATOR

Wiceprokurator Czesław Zalewski postawił m.in. następujące zarzuty głównemu oskarżonemu Lucjanowi K.

I. W czasie od 1977 r. do marca 1983 r. w Łodzi i Dmosinie jako magazynier GS „Samopomoc Chłopska” w Dmosinie, działając w czynie ciętym wspólnie z innymi osobami, wyzyskując działalność handlową tejże spółdzielni oraz Łódzkiego Przedsiębiorstwa Obrótu Surowcami Włókienniczymi i Skórzanymi oraz Przedsiębiorstwa Przerobu Złomu w Łodzi, uczestniczył w zaborze około 82 mln zł na szkodę powyższych jednostek, a dla ukręcia przestępstwa wystawiał niezgodne z prawdą dokumenty skupu, specyfikacje i zestawienia.

II. W czasie od 1977 r. do marca 1983 r. w Łodzi i w Dmosinie udzielał korzyści majątkowych pracownikom Łódzkiego Przedsiębiorstwa Obrótu Surowcami Włókienniczymi i Skórzanymi w Łodzi i GS „Samopomoc Chłopska” w Dmosinie: Stanisławowi S., Stanisławowi C., Janowi K., Aleksandrowi K., Jerzemu W., Henrykowi O., Zbigniewowi D., Teresie P., Teresie S., Stanisławowi G., Leonowi G., Janowi P., Mirosławowi R. i Markowi K. w łącznej wysokości około 2,5 mln złotych.

Warto przypomnieć, że sam Lucjan K. przyznał się, że dał łapówek na sumę 3.881.000 zł.

A więc szkliwe się poważny proces, który obełmuje coraz większą grupę ludzi zamieszanych w przestępczą działalność prowadzoną przez magazyniera z małego punktu skupu skór na Ziemi Skierniewickiej.

PREZES UDAJE, ŻE NIE ROZUMIE

Prezes GS, Henryk O. udaje, że nie rozumie dlaczego został postawiony w stan oskarżenia. Wyjaśnia:

„W końcu 1982 r. z bilansu dowiedziałem się, że przedsiębiorstwo jest dłużnikiem naszej spółdzielni około 40 mln zł za różne skóry i w magazynie powinno być skór na 9 mln zł. Mimo to nie zaglądałem do magazynu i nie wiem, czy saldo było jedynie ewidencyjne czy też na tę sumę znajdowały się skóry w magazynie”.

Prezes mija się tu z prawdą. Przez okno budynku spółdzielni mógł każdego dnia oglądać ów magazyn o powierzchni sporego kurnika, gdzie z trudem mogła się zmieścić dobrze wyrosnięta krowa. Jednak ani ra-

rami oraz rzeczoznawcami. Część natomiast przekazywał prezesowi GS i swojemu bratu głównemu księgowemu w tymże GS. Dowcip polega na tym, że Lucjan K. wystawiał rzekome kwity przeważnie na skup skór owczych, a ci z przedsiębiorstwa zawiązyli mu z reguły wagę, klasę i ilość skór ciężkich, wśród których owcze nie figurują. Niezależnie od tego zawiązyli mu ilości skór baranich oraz ich wagę. Były przypadki, że Lucjan K. skupował skóry świńskie z jednostek uspołecznionych. Wówczas kroili je na połowy, a klasyfikatory i magazynierzy przyjmowali je jako całości. Ale i było tak, że brali część skór z innych palet, już zakupionych i zapłaconych i wstawiali na konto Lucjana K., że to niby zakupione zostały od niego.

Łapówki. Bez tego żyłby Lucjan K. jako złodzieja byłby krótki. Dawał więc na lewo i na prawo. I do tego spore kwoty. W większości sięgały one 900 tys., rzadziej są półmilionowe. Obliczono w czasie śledztwa, że w ten sposób rozdał ponad 3 miliony złotych. Swemu bliskiemu przyjacielowi i współpracownikowi, kasjerowi z Banku Spółdzielczego dawał raczej datki, a przecież uzbierało się tego równo 500.000 zł. Ta niecodzienna przyjaźń wymaga także zilustrowania. Zeznając przed prokuratorem kasjer Marian P. powiedział:

„Wypłacałem najczęściej Lucjanowi K. około 200 tys. do 500 tys. zł jednorazowo. Łącznie wypłaciłem 30 mln zł”.

Kasjer za fatygę otrzymywał



Foto: Grzegorz Galiński



Mężczyźni na rowerach

— Dla cyklisty — rower jest dobry na każdą porę roku — mówi to Jean Bobet, brat słynnego Louisona, który sam także przez trzydzieści lat zajmował się zawodowo kolarstwem. Jest to nie tylko stwierdzenie, ale coś w rodzaju nakazu. Jako wzór godny naśladowania podaje on tych wszystkich — co prawda niezbyt licznych — którzy od listopada do lutego także jeżdżą na rowerach.

W niedzielny poranek w okolicach wielkich miast można jeszcze spotkać takich zapaleńców, nawet jeśli pada deszcz i wieje wiatr. Nie jest ich zbyt wielu, ale już sam fakt, że udało im się przezwyciężyć jakże ludzką skłonność do świątecznego nierobstwa stanowi powód do dumy. W każdym z tych ludzi można odnaleźć szczególny rodzaj silnej woli. Niezależnie od tego czy ludzie ci znają się wzajemnie czy też są sobie nieznani, te grupki cyklistów przemierzających szosy w okresie zimy różnią się oczywiście od jeżdżących na rowerach tylko w piękne, słoneczne dni. Zima to czas bardziej trwałych spotkań, początków przyjaźni, poczucia, że dzieli się z kimś to co trudno właściwie określić, ale co każdy z tych ludzi z pewnością wyczuwa.

Jeśli chodzi o resztę, to różnice są niewielkie. Jeździ się przecież na tych samych trasach, co w innych porach roku. Ci, którzy chcą jeździć w dobrym tempie, spotykają się jak zawsze na paryskich torach wyścigów konnych w Longchamps i Vincennes, by tam w ciągu dnia „pokonać” czterdzieści albo sześćdziesiąt kilometrów, w kil-

kunastu okrążeń. Inni wola trasy bardziej zbliżone do natury albo spokojniejsze. Samochodami dojeżdżają do doliny Chevreuse i tam wsiadają na rower, wśród drzew pozbawionych jeszcze liści, czasem pokrywanych sarnym, w porannej mgie.

W inny taki poranek, który może przypaść na dzień Bożego Narodzenia albo w dzień Nowego Roku, fundują sobie przejażdżkę po Pirenejach albo w górach Owernii ze wspaniałymi widokami przeleceży pokrytych śniegiem. W południe zatrzymują się na krótki wypocinek w jakiejś farmie, by tam rozkoszować się wspaniałymi widokami, a wieczorem jeżdżą w doliny. Nie mówmy już o ludziach prawdziwie uprzywilejowanych, przebywających na Łazurowym Wybrzeżu. Idealnym terenem takich przejażdżek są okolice Nicei, gdzie można spotkać Rene Vietto, słynnego mistrza kolarskiego z lat trzydziestych.

Zima to czas kolarstwa w ciepłych strojach. Cyklista wsiada na rower opatulony, w ciepłej wełnianej czapce na głowie nasuniętej na uszy, w czarnych wełnianych rajstopach, nieprzewiewnej kurtce, w getrach i rękawiczkach. Trzeba wtedy szczególnie dbać o ręce i stopy, przede wszystkim narażone na zimno. Co roku producenci proponują nowe modele takiego wyposażenia. Co roku też zachwalają ich jakość. Starzy ludzie powiedzą wam jednak, że nic jeszcze nie zdolało zastąpić zwykłej, dobrej wełny.

Zima to również pora ograniczonego wysiłku, rozsądnej predkości, niewielkich przyspieszeń, chociaż spotykamy też takich szaleńców, którzy jeżdżą tak samo jak w lecie.

O jaki typ cyklisty powinno nam chodzić? Wciąż trwa dyskusja nad filozofią tego sportu, nad jego koncepcją a ściślej — nad stroną praktyczną tego wszystkiego.

Cyklistyka? Cyklosporcie? Cykloman? Czy jest to przyjemność czy też katorga? Czy ma to być solidny rower z błotnikami, z reflektorem, z bagażnikiem, czy też lekki sprzęt, skopiowany z tych, jakich używają mistrzowie? Nie jest to tylko kwestia ceny, bo i jedno, i drugie może być równie drogie. To raczej sprawa etyki. Czy należy wsadzić nos w kółko i poznawać kraj tylko z lektury przewodników, czy też wystawić tenże nos na wiatr i wsiąść na rower? „Opuszczać głowę nad kierownicę, a będziesz wyglądał jak zawodowiec”. Ten żart powtarzają stale ludzie, którzy nigdy nie odparkowali sobie siedzenia na siodełku.

Nie ma co do tego wątpliwości. Paryskie przedmieście w niedzielne poranki, zarówno latem, jak zimą, to teren przejażdżek ludzi, którzy chcą udowodnić swoją silną wolę, a także natychmiast się świeżego powietrza. W tych peletonach, które tworzą się właściwie przez przypadek, nasi cyklisty rzeczywiście bawią się w zawodowców, zaspokajają swoje utajone ambicje, spełniają tajemne marzenia. Już sam strój dowodzi tego, bo jakże często nakłada się paski kółko kółko wielkich ekip sportowych. A szersza stosuje się wszelkie — wielkie i małe — sposoby szybkiego pokonywania przestrzeni. Mamy więc jazdę wachlarzykiem, mamy ucieczki i pościgi. Są też tacy, którzy chcą dać z siebie wszystko. Jedzie z nimi ten, kto jest w stanie to wytrzymać. Wiek nie odgrywa tu większej roli. Najstarsi bardzo często dają przykład. Wystarczy, że w latach młodości uprawiali tro-

che kolarskiego sportu i teraz naprawdę znają się na rzeczy.

Nieco później, po godzinie wyciskania z siebie potu, zwalnia się tempo, by w dwójkę lub w trójkę, tuż obok siebie, pojeździć sobie spacerkiem jakieś dwadzieścia kilometrów na godzinę. To wtedy nawiązują się rozmowy o życiu, rodzinie, sprawach dnia dzisiejszego. Rzecz dziwna, ale niemal nigdy nie porusza się wtedy temat — rower. Czyż w gruncie rzeczy mogą sobie przekazać wiele nowego? Chyba nie, bo każdy zna to sam doskonale. Na kolejnym skrzyżowaniu drogi rozchodzą się. Do niedzieli? Tak, do następnej.

Teraz dalej jedzie samotnie jeszcze jeden zapaleńiec. Jego rower wyposażony jest w błotniki, a on sam ma przewieszoną przez plecy torbę. Ten człowiek jeździ regularnie, często już niż inni, nie zwracając uwagi na ostatnich, zjeżdżających już do domu. Wsiadł na rower na cały dzień. Wie, że od pory śniadania aż do zmroku droga należy do niego. Chociaż jazda nie jest zbyt szybka, to przecież potrafi pokonać wiele kilometrów. Oddycha teraz powietrzem, rozgląda się na boki. Jazda to jego szczęście. Bardzo możliwe, że spotka kogoś takiego jak on. Pozdrowią się krótko, jak ludzie świadomi, że łączą ich coś ważnego. To wystarczy. Każdy z nich pomyśli o tym drugim: „Ten także jest twardy”.

Ci „twardzi” są bezwarunkowo miłośnikami Paula de Vivie, zwanego „Velocio”, który dla turystyki rowerowej zrobił chyba tyle, co dla kolarstwa sportowego Henri Desgranges twórca Tour de France. Ich duchowy przynależność zniósł tragicznie, przejechany przez tramwaj na ulicy w Saint Etienne, kiedy wyruszał na codzienną przejażdżkę.

„LE MONDE”

Aerobic Jane Fonda i inne

10 maja 1981. Pewien wydawany w Paryżu miesięcznik poświęcony sprawom kultury fizycznej, jako jedyny uświadamia sobie wyjątkową wagę nowego zjawiska i ośmiela się dać tytuł: „Aerobic przybywa do Francji”. Słowo jest nieznane. Praktykuje się to w ponurych katakumbach podziemnych sal gimnastycznych. Pochodzi z Kalifornii, stamtąd gdzie dysza ciała. Jego wielką kapłanką to gwiazda filmowa Jane Fonda, która ma już 2500 wiernych w Los Angeles i wygląda absolutny dogmat — swą książkę: „Moja metoda”.

Luty 1981. Niedziela. Godzina mszy. Ponad pięć mln Francuzów (mężczyźni skłonni są raczej praktykować aerobic tak jak piłkę nożną, tzn. w charakterze widowiska) oddaje się rytuałowi: odsuwa się stół, zwija dywan, zawiązuje włosy, włącza telewizor i przez trzy kwadranse trwa szaleniec gimnastyki. „Gym tonic” to największy sukces telewizyjny ostatnich lat. Emisja najchętniej kupowana za granicą.

Wyciskanie potu zwiększa: 4,5 mln Francuzów płaci około 3000 franków rocznie za przyjęcie do jednej z sal aerobicu, które niemal wszędzie pojawiają się jak grzyby po deszczu (ponad tysiąc w samej stolicy). W ciągu dwóch lat aerobic zdobył sobie więcej praktykujących, niż wszystkie francuskie federacje gimnastyczne od lat trzydziestu.

W Stanach Zjednoczonych eksplozja trwa i Richard Simona, trener gospodyń domowych codziennie pojawia się na wizji kanałów ABC i NBC.

Jane Fonda z satysfakcją zakończyła niedawno inspekcję swych ośrodków europejskich. Jej ostatnia książka poświęcona aerobice (dla kobiet w ciąży i noworodków) została rozchwyтана w USA w liczbie 700 tys. egzemplarzy, dołączając w gronie bestsellerów do jej słynnej „Metody”, która przekroczyła już 2 mln sprzedanych egzemplarzy. Nie mówiąc już o videokasetach, liniach produkcyjnych ubiorów sportowych i wyrobów dietetycznych: business to business. Globalne obroty sięgają rocznie 30 mln dolarów.

Kiedyś gwiazdy filmowe śpiewały, teraz tańczą. I idąc za radą mrówki zbierają efekty mrówczej pracy.

Victoria Principal, słynna Pamela Ewing (z popularnego na Zachodzie amerykańskiego serialu telewizyjnego „Dallas” — przyp. red.) zrozumiała to natychmiast. Z końcem 1983 r. między dwoma ujęciami „Dallas” podpisywała swą książkę „Ciała według Principal”. Cena taka sama jak książki Jane Fondy: szesnaście dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów. Mniejszy sukces (niezwykle wprost proporcjonalny do popularności aktorki): tylko trzysta sprzedanych egzemplarzy. Ale to dopiero debiut! Victoria pochłonęła jest przygotowaniami drugiego tomu: „Uroda według Principal”. Poznamy tajemnice jej dyskretnego makijażu, dowiemy się gdzie kupuje swe zachwycające koszule. Przed „Dallas” nakreślała krótkie przerywniki reklamujące wyroby toaletowe. Po „Dallas” jej działalność osiągnęła wymiar przemysłowy. Nowy business gwiazd filmowych to ciało.

Tymczasem wielka Raquel (Welch) szykuje od roku swoją książkę: „Uroda i zdrowie Raquel”. Jest to owoc siedmioletniego pilnego uprawiania jogi. Ukazuje się ona we wrześniu 1984 roku. Fotografie ilustrujące książkę są dziełem męża Raquel, André Weinfeld. Cena taka sama jak innych książek (wydaje się, że rynek ustalił limit na 17 dolarów). Originalność: wciąż chodzi o „body building”, ale w łagodnym wydaniu. Filozofia Raquel to przeciwnieństwo aerobiku. Żadnego wycieńczającego, wytężonego, rytmicznego wysiłku. Powolność i elastyczność. Przede wszystkim nie sprawiać sobie bólu.

Babskie pomysły? Nic podobnego! Aerobic został wymyślony przez niejakiego K. Coopera w latach sześćdziesiątych... w celu utrzymania w formie „marines”, którzy bynajmniej nie odznaczali się słabą formą fizyczną. Chodziło o intensywne ćwiczenia utrzymujące przyspieszony rytm serca, aby organizm się maksymalnie dotlenił (stał etymologicznie pochodzenie amerykańskiego słowa „aerobic”). Wpływa to na lepszą pracę mięśnia sercowego i zwiększa wytrzymałość.

Cała rzecz w tym, że to podnoszenie formy pomyślane dla owłosionych i wyćwiczonych tegich chłopów stało się ulubioną zabawką Kalifornijek, z feministkami włącznie. Jane (Fonda) chce mieć muskulaturę Tarzana.

I pod jej energicznym batem damy te otrzymują trening odpowiedni do nowej filozofii: filozofii wysiłku.

Oto jak wygląda rozpoczęcie kursu u Fondy: — Jesteście przygotowane na ciężką pracę? Great! Zaczynamy: trzymajcie się prosto, wciągajcie brzuchy, ściśnijcie pośladki! Żadnego rozluźnienia. To musi boleć!

Wszystko to odbywa się z uśmiechem, w kostiumach w paski różowo-białe, zaś mężczyźni — jeśli są — w różowych lub popielatych koszulkach. Trwa trzy kwadranse i jest wyczerpujące.

— To niemal nieludzkie — twierdzi Leslie Lillen, trenerka w pierwszym „Jane Fonda's workout” w Los Angeles — ale wychodzi się z tego w euforii!

Ponad cztery tysiące kobiet uczęszcza do wielkich, jasnych sal przy 869 Robertson Boulevard, otwartych od szóstej rano do ósmej wieczór. Zgęszczenie przypominające plażę w Saint Tropez w sierpniu. Wszystkie miejsca zajęte. Żadnych krzeseł przy oknie na krótki odpoczynek. Przychodzi się tam, żeby ćwiczyć ciało. Żeby wycisnąć pot.

To staje się narkotykiem, ale narkotykiem pozytywnym — tłumaczy Mary, która poznała już inne, ale teraz woli smaganie batem spowodowane „beta endorfinami”, które pojawiają się w organizmie po 20 minutach aerobiku. Na koniec wszyscy biją sobie brawo. Kalifornia żyje w cieniu Hollywood i jego gwiazd. Tam bardziej niż gdziekolwiek indziej wypada być wesołym, opalonym, w formie, dynamicznym i uśmiechniętym. Kult wyglądu stał się kultem ciała.

Przed dziesięcioma laty kilogramy zwalczano dietą, a głód amfetaminami. Jane Fonda, która tego poprobowowała, dzięki ćwiczeniom fizycznym starała się odzyskać zdrowie. Całkiem po prostu. A ponieważ ze swych wcześniejszych, rozmaitych doświadczeń bojowniczką świadoma była swego oddziaływania na opinię publiczną, skłoniła się w kierunku prozetyzmu.

Bez trudu udało się jej przekonać Kalifornijki, że z brzucha płaskiego trzeba się przestawić na brzuch twardy. Niskokaloryczny jogurt, który od dawna zastąpił śniadanie z hamburgerem, zamieniony został trzema kwadranami ćwiczeń i szklanką wody. I tak się to kręci. Wszyscy za zdrowoleni. Oczywiście zdarzają się malkontenci (to rzadkość w Kalifornii), jak Dale Polloc z „Los Angeles Timesa”, twierdzący, że nastąpiło pomieszanie gatunków. Ze skrobacze, jakie Jane Fonda wykonuje w kostiumie kąpielowym w filmie „Dom nad jeziorem”, nakreślonym w 1982 roku w wytwórni jej ojca, mają na celu raczej eksponowanie muskulatury aktorki (a więc jej książki), niż intrygi. Jednak tego typu krytyki należą do rzadkości. Wyzwolenie kobiety odbywa się teraz poprzez jej muskuły. Fonda, feministyczna gwiazda filmowa rozumuje jak dobry żołnierz: — Moją główną wartością jest dyscyplina: moralna, fizyczna i fizjologiczna. Dyscyplina to wyzwanie. Nie znam nikogo, kto dołączyłby się naprawdę rozwijać bez dyscypliny. Chce, aby moi czytelnicy nauczyli najpierw się szanować.

Jej aerobic to przeciwnieństwo tumiwizmu. Jej imperium finansowe (wytwórnie, ośrodki sportowe, ubrania, produkty dietetyczne) służy dobrej sprawie:

— Trzeba znaleźć równowagę między przedsiębiorczością, słuszną chęcią zarobku i realizacją potrzeb duchowych.

Stary amerykański refren. W Kalifornii zaczynają go śpiewać również demokraci...

„LE FIGARO MAGAZINE”

9 Klub sportowy Jane Fondy.

Pożytki z dzialek

Węgierskie rolnictwo od lat osiąga bardzo dobre wyniki. A oto kilka danych świadczących o poziomie produkcji tego działu gospodarki. Zbiory pszenicy z 1 ha przekraczają już dziś 4 tysiące kg, kukurydzy 7 tys. kg, buraków cukrowych — 42 tys. kg, a winogron około 6 tys. kilogramów. Od jednej krowy uzyskuje się średnio około 4 tys. litrów mleka rocznie. Nie ulega wątpliwości, że osiągnięcia te zawdzięczają Węgrzy przede wszystkim wielkim gospodarstwom rolnym państwowym i spółdzielczym, uprawiającym ogromne obszary ziemi i prowadzącym masową hodowlę bydła i trzody chlewnej.

Ale w ostatnich latach coraz poważniejszy udział w globalnej produkcji węgierskiego rolnictwa mają także szybko rozwijające się gospodarstwa (działki przyzagrodowe). Zajmują one niecałe 20 proc. gruntów rolnych, ale już obecnie dostarczają 1,3 całości produkcji rolnej. Właśnie z dzialek pochodzi między innymi 55 proc. wieprzowiny, około 24 proc. bydła rzeźnego, 33 proc. drobiu, 30 proc. mleka, 60 proc. jaj, 30 proc. warzyw i owoców i aż ponad 90 proc. nowalijek.

Na działkach 1,5 mln rodzin, czyli około 4 mln ludzi zajmuje się hodowlą, sadownictwem, uprawą warzyw itp. Około 20 proc. właścicieli dzialek stanowią emeryci, 25 tys. osób prowadzi niewielkie gospodarstwa indywidualne, zaś reszta, to pracownicy spółdzielni i PGR zajmujący się dodatkowo — po pracy — hodowlą i uprawą roli.

Według ostatnich danych, drobni producenci zapewniają ponad 4 proc. całego eksportu węgierskiego, wartości prawie 13 mld forintów rocznie. Jest to przeszło trzy razy więcej, niż uzyskuje się za eksport tlenku glinu i aluminium i mniej więcej tyle, ile wynosi wartość eksportu węgierskich autobusów.

O rozwoju drobnej produkcji rolnej dobitnie świadcza także i inne dane obejmujące okres 1978—1982. I tak na przykład skup warzyw z dzialek zwiększył się ze 152 tys. ton do 459 tys. ton rocznie, miodu z 7,8 tys. ton do 17,3 tys. ton, trzody chlewnej z 1,7 mln do 4,1 mln sztuk, zaś drobiu z 19 tys. ton do 86,5 tys. ton.

Wszystkie te imponujące osiągnięcia stały się możliwe dzięki zapewnieniu działkom przyzagrodowym wszechstronnej pomocy ze strony wielkotowarowych gospodarstw rolnych. Pomoc ta wyraża się zarówno w dostawach wszelkich potrzebnych maszyn i urządzeń, nawozów, ziarna siewnego, pasz, jak i w opiece weterynaryjnej.

Obecne, kolejne posunięcia władz zmierzają do stworzenia dalszych udogodnień zachęcających do wzmożenia produkcji na działkach przyzagrodowych. Poza przyznawaniem dotacji na przykład na rozwój sadownictwa, czy też kredytów na bardzo dogodnych warunkach, w roku przyszłym przewiduje się zwiększenie kwoty przychodów nie podlegających opodatkowaniu, mimo iż obecna polityka podatkowa wobec posiadaczy dzialek jest bardzo łagodna.

I tak, jeśli wartość sprzedanych państwu produktów sięga 150—200 tys. forintów, wskaźnik dodatkowy wynosi 1 proc. tej sumy, do 250 tys. forintów — 2 proc., do 350 — 3 proc., a ponad 350 tys. forintów — 10 proc. Hodowla bydła jest całkowicie zwolniona od podatków, zaś przy hodowli trzody chlewnej sprzedaż każdej sztuki zmniejsza podstawę wymiaru o 1500 forintów.

Należy się spodziewać, że tak istotne udogodnienia i zachęty będą miały poważny wpływ na dalszy rozwój produkcji rolnej i hodowli na działkach przyzagrodowych. Ma to zaś bardzo ważne znaczenie, gdyż w tym roku węgierskie rolnictwo zrehabilitować musi wyjątkowo napięty plan, który przewiduje między innymi wyprodukowanie 15 mln ton zboża, znaczne zwiększenie produkcji winogron i owoców, dalsze wzmocnienie eksportu oraz rozszerzenie asortymentu i poprawę jakości artykułów spożywczych.

ANDRZEJ CZERKAWSKI

TOMASZ PAWŁOWSKI

Matnia

4

Obudziłem się z silnym bólem głowy. Cały byłem zły, potem, z trudem łapałem oddech. Idąc do nawigacyjnej, chwiałem się i zataczałem jak po spożyciu alkoholu. Na pokładzie panowała idealna cisza, wszystko było na swoim miejscu, mimo to czułem, że dzieje się coś niedobrego. Pomyślałem, że muszę obudzić Kipperę. Ruszyłem z powrotem. W korytarzu mimochodem zerknąłem na wskaźniki układu bio i zrobiło mi się słabo. Musiałem mocno oprzeć się o ścianę. Strzałka manometru zbiornika z tlenem, a którego dotąd korzystać nie było, była zera. Od razu zrozumiałem, co to znaczy. Niewiele brakowało, a w wyniku zwykłego zaniedbania udusiłbym się i to mając na pokładzie jeszcze dwa nietknięte zbiorniki. Natychmiast otworzyłem zawór jednego z nich. Należało to zrobić już poprzedniego dnia. Prawda, nie pomyślałem o tym w porę, ale przede wszystkim zaniedbałem sprawę kapitana Kipper. Mnie przecież prawie cały dzień było na patrolowcu i to on został — jak lubił mówić — „na gospodarkę”. W końcu było nas dwóch i trudno wymagać, żebyśmy tylko ja pamiętał o wszystkim. On też powinien. Pomyślałem jednak, że chyba będę teraz do tego zmuszony.

Oczywiście następna próba nawiązania łączności przeprowadziłem również sam, gdyż kapitan Kipper zdecydowanie odmówił mi swej pomocy. Jakkolwiek udało mi się dużo bardziej oddalić od statku niż za pierwszym razem, nie udało mi osiągnąć na tyle czystego odbioru, aby wyłowić cokolwiek z powodzi szumów i trzasków, jakie docierały do moich uszu. Nie miałem też wielkiej nadziei, iż melidunek, jaki nadebrałem, dotarł do naszych. Było już jednak znacznie lepiej i dawało mi to poczucie pewnego zadowolenia.

W dniu spodziewanego przybycia ekipy ratunkowej od samego rana pełnił się na zmianę z kapitanem dyżur na powierzchni przy kadłobie patrolowca. Byliśmy dobrej myśli i nawet w całkiem dobrych humorach. Jednak w miarę jak mijala godzina za godziną, a naszych ciągle nie było widać, zdenerwowanie znów zaczęło dawać znać o sobie. Nie mogliśmy pojąć, co się stało. Powinni już przecież być. Złaziliśmy Kipperowi trudno przychodziło się z tym pogodzić. Biegali jak osy i niemal bez przerwy rzucał przekleństwami pod adresem kierownictwa wyprawy. Początkowo próbowałem go pocieszyć, uspokoić, że już niedługo, że na pewno, że są już blisko, nie ma powodu do paniki... Widząc jednak, iż to nic nie daje, a wprost przeciwnie — wyzwała z niego jeszcze większą złość, przestałem się w końcu w ogóle odzywać. Sam byłem bardzo zdenerwowany i pełen najgorszych myśli. Wydawało mi się, że każda minuta trwa wiecznie, że to oczekiwanie nigdy się nie skończy.

Nazajutrz sytuacja powtórzyła się, a napięcie wzrosło jeszcze bardziej. Widziałem, że Kipper jest już u kresu wytrzymałości i tylko patrzy na czym by tu wyładować swe niezadowolenie. Obawiałem się, aby nie popełnił jakiegoś głupstwa, które mogłoby zawazić na naszym dalszym losie. Czułem, że wystarczyłoby jedno słowo za dużo... Wolałem schodzić mu z oczu. Mnie zresztą też niewiele już brakowało. Najgorsze miało jednak dopiero nadejść.

Po południu, gdy dyżur na zewnątrz miał kapitan Kipper, postanowiłem wreszcie coś zjeść. Od rana nie miałem niczego w ustach, bolała mnie żołądek, ale rozsądek nakazywał spożyć choćby jednego dziennego skromnego posiłku. Siegnąłem więc do pojemników z żywnością, nie mogąc długo zdecydować się, który zestaw wybrać. Nie leżało to w moim charakterze i zwykle brałem pierwsze z brzegu danie, ale teraz na co bym nie spojrział, odwracałem głowę prawie we wstrętem, gdyż wszystko wydawało mi się wyjątkowo nieapetyczne; do każdego pojemnika zaglądałem po kilka razy i właśnie wtedy zwróciłem uwagę, że nasze zapasy żywności są już bardzo małe. Niemożliwe przecież, abyśmy tak dużo zjedli — przemknęło mi przez myśl. Czyżby był to kolejny efekt działania owej tajemniczej siły...? Znikająca żywność? A może mam już halucynacje? Może miałem je od samego początku i to nie Kipper, ale ja zachowuję się nienormalnie.

Wysoki Trybunał! Nie wiem, co mi się wtedy stało. To było wbrew moim zasadom, ale nie mogłem powstrzymać się przed przeszkucaniem osobistej Kapłana Kipper. Coś mi mówiło, że właśnie tam znajdę odpowiedź na pytanie, co dzieje się z żywnością.

W kabinie jak zwykle panował nieład. Byłem już do tego przyzwyczajony, choć bardzo rzadko tam zaglądałem i nigdy dotąd — pod nieobecność gospodarza. Nie sądziłem, aby mógł być temu przeciwny; po prostu taki miałem zwyczaj. Kipper dobrze o tym wiedział. Myślałem, iż nie przypuszczał, że mogę postąpić inaczej i dlatego chyba nie miał większych obaw, chowając przede mną część wspólnych przeciwzapasów żywności. Znalazłem je dosyć łatwo w jednej z dolnych szafek za osobistymi rzeczami kapitana.

Kiedy wróciłem na pokład, zapytałem go spokojnie, dlaczego to zrobił. Zamiast odpowiedzi posypały się przekleństwa i obelgi. Ani też zdążyłem się spostrzec, jak głowa odskoczyła mi do tyłu po zadaniu niespodziewanego ciosu. Nie pozostałem mu dłużny. Zaczęliśmy się szamotać i okładać pięściami. Zależało mi na tym, aby wygrać. Jeszcze dziś na wspomnienie tamtego incydentu ogarnia mnie niesmak i poczucie wstydu. Jak mogło dojść do bójk między nami? Czy naprawdę było to potrzebne? W najczarniejszych nawet przypuszczeniach nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Wiedziałem, że nie będzie łatwo, że wielu przeciwnościom losu przyjdzie mi stawić czoła, ale że zniży się do udziału w czymś tak obrzydliwym i

poliowania godnym... Nie, to przerastało moją wyobraźnię. To był zupełnie koszmarny. Nie miałem poczucia winy, sam do siebie czułem jednak wstręt. Do jakiego upodlenia człowiek może doprowadzić człowieka!

Noc nie przyniosła spokoju i ukojenia. Bardzo długo nie mogłem zasnąć, trzęsły mną dreszcze, co chwila zbierało mi się na wymioty, żołądek podchodził aż do gardła. Myślałem o śmierci, która już wkrótce zakończy moje życie. Jakże ono było? Kilka lat spędzonych poza Ziemią, trudy, wyrzeczenia... I teraz ta planeta — obca, tajemnicza — gdzie przyjdzie chyba zostać już na zawsze. Dlaczego nie przylecieli? Dlaczego zostawili nas samych? Niewiele przecież brakowało, a pozabijalibyśmy się. Skąd w człowieku tyle zia? Tyle agresji? Uciec, uciec stąd! Było daleko od tego przeklętego miejsca, od kapitana Kipper...

Wspominając później tamte chwile, zastanawiałem się nieraz, że chyba obaj zachowywaliśmy się nienormalnie, a co najmniej — dziwnie. Nie rozumiem, dlaczego Kipper właśnie tak postępował, ale — muszę przyznać — nie bardzo też rozumiem, dlaczego i ja tak postępowałem. Mam o to duży żal do siebie. Powinienem być mądrzejszy i nie dać się wciągnąć w idiotyczną rozgrywkę między nami. Bo była to po części jakaś szalenicza gra, i granie z losem, ze śmiercią, nierozsądne, niegodne mianem pilotów kosmicznych, którym się szcyciłem. Co pchnęło nas na tę drogę? Co wyzwoliło nasze szaleństwo — już nie tylko kapitana Kipper, ale i moje?

Rano rozpocząłem przygotowania do kolejnej próby nawiązania łączności. Żeby mogła być skuteczna, musiałem oddalić się od patrolowca znacznie bardziej aniżeli przedtem, a to znaczyło, że prawdopodobnie będę przebywał poza pokładem dłużej niż dobie. Wziąłem więc ze sobą podwójny zapas sprężonego powietrza w butlach, a przed samym wyjściem zjadłem obfite i bardziej kaloryczne śniadanie. Było to konieczne, gdyż przyzywanie pokarmów w zamkniętym szczelnym skafandrze próżniowym było niemożliwe. W założeniach służył on jedynie do krótkich pobytów w otwartej przestrzeni. Do chodzenia po powierzchni planety mieliśmy w bazie inne, a przede wszystkim lepsze skafandry. Tych jednak nie zabraliśmy ze sobą, gdyż nikt nie przewidywał, że będziemy zmuszeni do lądowania, a w konsekwencji — do opuszczania na dłużej pokładu.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, jak ryzykowna była moja wyprawa. O planecie wiedziliśmy przecież niewiele, a cały mój plan opierał się w gruncie rzeczy na domysłach i przypuszczeniach. Szczerze mówiąc, w najmniejszym nawet stopniu nie byłem w stanie przewidzieć, co może mnie tam spotkać. Czułem jednak, że muszę to zrobić, że nie mam już innego wyjścia. Albo się uda, albo... Było mi już wszystko jedno. Pragnąłem tylko, aby ten koszmarny raz wreszcie się skończył.

Co w tym czasie działo się z kapitanem Kipperem, nie miałem pojęcia. Od kiedy po wieczornej bójkie zamknął się u siebie, nie widziałem go już więcej. On nie pokazał się w nawigacyjnej, ja również do niego nie zaglądałem. Tak jakbym był na pokładzie zupełnie sam. I choć może nie powinienem tego mówić — los kapitana Kipper był mi po prostu już obojętny. Poniekąd przyjąłem jego postawę; co ma się stać i tak się stanie. Trzeba zacząć myśleć tylko o sobie, bo nikt nie zrobi tego tak dobrze, jak ja sam. Jak długo tylko mogłem, broniłem się przed takim myśleniem, ale nadszedł moment, kiedy nie miałem już wyboru.

Starałem się iść prosto na północ, pamiętając, że gdzieś tam nad biegunem wisi satelita łącznościowy, który ułatwi mi nawiązanie kontaktu. Oczywiście kierunek marszu nie mógł mieć praktycznie większego znaczenia, jednak świadomość, że choćby minimalnie zbliżam się do stacji przekątnikowej, dodawała mi siły i otuchy, a tego potrzebowałem najbardziej.

Już po kilku kilometrach, jakie pokonałem taszcząc moją prymitywną radiostację i zapasową butlę ze sprężonym powietrzem wzbogaconym w tlen, ledwo trzymałem się na nogach. Bolały mnie mięśnie, twarz zalewał gorący pot, a serce biło tak mocno, jakby chciało wprost wyskoczyć z klatki piersiowej. W najdalszym miejscu, do jakiego dotarłem ostatnim razem, zrobiłem dłuższy odpoczynek, uruchamiając wreszcie odbiornik. Zgodnie z przewidywaniami efekt był dokładnie taki sam, jak poprzednio. Wiedziałem, że muszę odejść dalej, dużo dalej, aby móc liczyć, że poziom zakłóceń spadnie do minimum. Nie zwlekając więc, złożyłem z powrotem antenę i powoli ruszyłem naprzód.

Pod wieczór znów zatrzymałem się na dłużej. Sylwetka naszego statku dawno zniknęła już za horyzontem. Jak okiem sięgnąć ze wszystkich stron otaczała mnie martwa, piaszczysta pustynia. Wysokie na dwa, trzy metry wały wydmy były tu na szczęście coraz rzadziej położone, co znacznie ułatwiała mi marsz po sypanym piasku, który przy podejściach osuwał się spod nóg. Dokuczał mi głód, a zwłaszcza — pragnienie. W gardle czułem nieprzyjemne drapanie, język był suchy i opuchnięty, usta prawie wydzielające ślinę i potu. Kończyło się powietrze w pierwszej butli. Odczekałem aż ciśnienie spadnie do zera, po czym podłączyłem drugą, pustą wyrzucając. Odczekałem już nieco jałem znowu rozkładać antenę.

Różnica w jakości odbioru była wyraźna, choć zakłócenia wciąż jeszcze występowały. Teraz jednak nie miałem już żadnych wątpliwości, że słyszę jakieś ludzkie głosy. Nie mogłem jeszcze, co prawda, zrozumieć ani słowa, ale i tak nie posiadałem się z radości, gdyż wszystko wskazywało, że moja teoria była słuszną. Patrolowiec nasz musiał zostać otoczony jakąś siłą zasłona utrudniającą swobodne rozchodzenie się fal radiowych, co było niewątpliwie związane z położeniem i kształtem piaszczystych wydym. W miarę oddalania się od statku działanie owej zasłony było coraz słabsze. Logicznie zatem, iż w którymś miejscu musiała być granica, poza którą zakłócenia zanikały. Jak daleko było to miejsce, ciągle nie mogłem się jeszcze zorientować. Ale przecież było. Było na pewno. Obyz-

tylko zdążył tam dotrzeć zanim skończy się zapas sprężonego powietrza — myślałem. Bo gdybym miał nawet na czworakach...

Rozpoczął się morderczy wyścig z czasem. Mimo wyczerpania, wciąż posuwałem się do przodu. Czułem, że zaraz padnę, że nie wytrzymam dłużej, a jednak szedłem, wierząc, że zdążę. Co będzie później, nie zastanawiałem się. Byłem zbyt zmęczony i osłabiony, aby trzeźwo myśleć. Najważniejsze to nawiązać kontakt — powtarzałem sobie co trochę — a później... Może uratują przynajmniej Kipper? Na pewno są tu gdzieś blisko, szukają...

Potknąłem się i przewróciłem. Nie miałem siły wstać. Metalowy pojemnik z radiostacją leżał kilka metrów obok. Z trudem doczołgałem się do niego, po omacku odnalazłem ręką wtyk, podłączyłem wewnętrzne słuchawki i — znów było lepiej. Słabym, drżącym głosem spróbowałem wywołać naszych. Nie słyszał mnie, chociaż ja słyszałem ich już bardzo dobrze. A w każdym razie tak mi się przynajmniej wydawało.

Potem upadłem jeszcze wiele razy. Nie bardzo wiedziałem już, co się ze mną dzieje, gdzie jestem i dlaczego idę. Pamiętałem tylko, że iść muszę. Zresztą o powrocie do patrolowca nie mogło już być nawet mowy.

W pewnej chwili poczułem, że zaczynam się dusić. Bez zastanowienia rozhermetyzowałem skafander i wypelzłem z niego jak motyl z poczwarki. Byłem cały mokry, obolały, półprzytomny. Trzęsły mną dreszcze. Nie zdziwiłem się nawet, że od kilku minut oddycham powietrzem atmosferycznym, a mimo to żyję. Podniosłem się wolno na nogi i jak beznamiętna maszyna, chwiejąc się i zataczając, ostatkiem sił powlokłem się dalej.

To wszystko, co przetrwało w mojej pamięci. Dalszy bieg wydarzeń jest już Wysokiemu Trybunałowi znany z zeznań świadków. Kłaczę po orbicie patrolowca z ekipą ratunkową na pokładzie odnalazł mnie w stanie skrajnego wyczerpania. Leżałem nieprzytomny wśród piaszków pustynnego piaszczowiznu, mniej więcej trzydzieści kilometrów od miejsca, gdzie przeszło dwa tygodnie wcześniej zostaliśmy z kapitanem Kipperem zmuszeni do lądowania. Nieśmiertelność to było teraz puste, a dokładniej rzecz biorąc — zamienilo się w duży i głęboki lej. Jak wykazały późniejsze ekspertyzy, nasz patrolowiec eksplodował, rozpadając się na drobne kawałeczki, z których część odnaleziono na dnie leja i w najbliższej okolicy. Jak dotąd nie udało się ustalić przyczyn eksplozji. Osobiście przychyliam się do zdania, że nastąpiła ona samorzutnie, to znaczy, że dokonała się za sprawą tej samej tajemniczej siły, o przypuszczałem działaniu której już tutaj wspominałem.

— Na jakiej podstawie oskarżony tak twierdzi?

— Nie twierdzą. To jest tylko moja własna, prywatna hipoteza.

— Nie poparta żadnymi konkretnymi dowodami!

— To prawda. Nie natrafiono na żadne ślady piaszczowizny wydm o regularnej budowie. Nie stwierdzono zakłóceń w pracy urządzeń nadawczo-odbiorczych. Ale — przypomnę — nie odnaleziono również mojego skafandra, zużytych butli, ani mojej radiostacji. Poza tym jak wytłumaczyć fakt, że choć dwa ratownicze patrolowce przez kilka dni nieustannie prowadziły poszukiwania wokół planety, nie dostrzegły naszego statku? Dlaczego nikt nie widział momentu eksplozji? Nie da się przecież tego racjonalnie wytłumaczyć.

— Czy oskarżony ma jeszcze coś do dodania?

— Nie. Tym razem to już wszystko.

— W takim razie trybunał zamyka dzisiejszą rozprawę. Ogłoszenie wyroku nastąpi jutro.

— Obudź się, do cholery! Niedługo wchodzimy na orbitę.

Lisowski przetarł zaspane oczy. Głos kapitana Kipper, pełniącego dyżur w nawigacyjnej, dochodził jakby zza grobu. To jeszcze sen mieszał się z jawą, jeszcze nie zniknęły wszystkie koszmarny noc, kłócąc się z tym, co widział i usłyszał. „Wchodzimy na orbitę”? — zdziwił się. Przecież...

Po dziesięciu minutach siedział już przypięty pasami w swoim fotelu. Kapitan trzymał stery, on kontrolował działanie aparatury i prowadził obserwację. Rozpoczęła się najważniejsza faza trzeciego ich zwiadu nad północną półkulą planety.

Pierwszą godzinę lotu w górnych warstwach atmosfery przebiegły spokojnie. Lisowski nie zauważył nic godnego uwagi. Aparatura badawcza pracowała normalnie, czujniki nie sygnalizowały żadnych zmian w strefie zerowej i powyżej. Jednakże nad kwadratem C-7 odnotowano niejasne wrażenie, że zaczynają tracić wysokość...

LESZEK KRASKOWSKI

Maraton

Poranek był ciepły i bezwietrzny. Wschodzące słońce rozjaśniało krwistym światłem dolinę Charadrosu. Słoneczne promienie z trudem przebiły się przez ogromne chmury dymu unoszące się nad Maratonem. Żelbetonowe budynki znajdujące się w dolinie pokryły kilkunastocentymetrowa warstwa pyłu. Gdzieś tam dopadały się jeszcze szczątki statków bojowych, pomiędzy budynkami wały się beładnie części żołnierskiego wyposażenia, jakieś pogięte żelastwo, grudy stopionego plastiku. W powietrzu unosił się trudny do zniesienia odor spalenizny.

Sierżant Tersypos wprawny ruchem zgasił skret, rozgniatając go o betonową ścianę schronu.

— To już chyba fajerant, dostali porządnego

łupnia — porucznik Letos nasunął sobie hełm na oczy i rozciągnął się wygodnie na swoim posłaniu znajdującym się między pustymi skrzynkami po amunicji.

— Może nie zauważyli naszej nieobecności — sierżant miał niepokojącą minę.

— W tym bałaganie wszystko jest możliwe — głos Letosa był wyraźnie znudzony. — Jak tylko wyjdziemy na górę, to wytarżamy się trochę w piachu, wysmarujemy jakimś świństwem i położymy w leju po bombie. To proste. Zabierzemy nas kolumna sanitarna. Jeszcze zostaniemy bohaterami — Letos roześmiał się w głos.

— Do tego leja wcale mi nie spieszą. Bombardowanie może się powtórzyć — sierżant nie był zachwycony propozycją kolegi.

— Wolisz kulę za dezercję — porucznik uśmiechnął się złośliwie.

W tym momencie drzwi otworzyły się z przeraźliwym piskiem.

— Wnieście te skrzynki tutaj. Tu jest dużo...

— głos kapitana Blacka urwał się nagle.

Do wnętrza magazynu weszło jeszcze czterech ludzi targających jakieś skrzynie i puszki.

— Co wy tutaj robicie? — twarz kapitana nabrała wyrazu niewysłownego zdumienia zmieszanego z wściekłością.

— Co, może bez przydziału? Parszywi dezerterzy! — głos kapitana kipiał od gniewu.

Jazda stąd!

Rozmowa kapitana Blacka z sierżantem Tersypossem była krótka, ale rzeczowa.

— Ta misja jest dla ciebie ostatnią szansą, lejaku — grmiał kapitan Black. — Naczelne dowództwo w Atenach musi być powiadomione w przeciągu 3 godzin o naszym zwycięstwie. Jeżeli ich o tym nie poinformujemy, to otworzą ogień na nasze pozycje ze wszystkich dział artylerii głównej w przekonaniu, że odcinek ten został zajęty przez wroga. Rozumiesz, bydlaku?

Tersypos niepokojenie skrzywił głowę.

— Jakże środki techniczne będą miały do dyspozycji? — głos sierżanta drżał.

— Własne nogi — wrzasnął kapitan i zaciął wściekle pięścią. — Wszystkie środki powietrzne odpadają, ponieważ załoga Aten otrzymała rozkaz strzelania do każdego obiektu latającego. Pojazdy odpadają także, gdyż teren jest zaminiowany minami przeciwczołgowymi. A jeżeli chodzi o nasze radiostacje, to zostały z nich tylko niedzne strzępy.

— Możecie mi dać chociaż robota szybkobieżnego — Tersypos spojrzał błagalnie na kapitana.

Ten jednak nie wykazał żadnego zrozumienia.

— Te miny działają także na każdy metal — tłumaczył cierpliwie kapitan. — Szlak trafiony i robota, i ciebie. A teraz dość już tego gadania, wykonaj rozkaz — zawyrokował ostatecznie.

Droga była długa, teren bardzo trudny. Tersypos biegał wciąż i wydawało mu się, że bieg ten nigdy nie będzie miał końca. Sztabowa mapa była dokładna: 42.195 m — taki dystans miał do pokonania. Wciąż słyszał jeszcze słowa kapitana: „Nie dojdiesz — rozwalę”. Na ich wspomnienie sierżant dostawał dreszcze, czuł, że ciarki przechodzą mu po plecach. Jeszcze szybciej, szybciej. Zboczył z trasy, skrył się? Gdzie? Wszędzie wypalona ziemia i zatruta woda, wokół teren wojсковy. Tersypos wiedział doskonale, że do wojska się nie nadaje. Taki argument nie zwałniał go jednak od obowiązku służby ojczyźnie. Określał siebie zawsze mianem „człowieka spokojnego”, a każda myśl o ryzyku wywoływała u niego ataki panicznego strachu. Teraz też ogarnęły go panika, znajdował się we władaniu własnej bojowni. Strach ten popędzał go, zmuszał do większego wysiłku, do szybszego biegu. Znaleźć się w bazie, być bezpiecznym — było to teraz jego jedyne pragnienie. Biegł więc coraz prędzej, nie zważając na narastające zmęczenie. Przewracał się, podnosił, znowu przewracał. Wreszcie w oddali dostrzegł mgliste zarysy potężnych budynków bazy ateńskiej.

— Zwycięstwo — krzyczał zachylając się Tersypos. — Zwycięstwo! — oczy zasłzyły mu mgłą. Obraz nieznajomej kobiety, która przystanęła obok obserwując jego szaleńczy bieg, nagle stał się przeraźliwie ostry, nabrał znajomych kształtów.

— Zwycię... — głos sierżanta urwał się. Twarz nieznajomej kobiety nabrała rysów twarzy znajomej, bardzo dobrze znajomej. Twarz ta wyglądała szkaradnie. Sierżant już wiedział, to była buzia jego żony.

— Nie! — jęknął rozpaczliwie Tersypos i runął na ziemię.

Po chwili wieść o zwycięstwie podążyła dalej, docierając wreszcie do naczelnego dowództwa. Wokół ciała Tersyposa zgromadził się spory tłumek cywilów i wojskowych.

— Upadł tak nagle — tłumaczyła jakaś kobieta. — Widziałam to dokładnie, bo przebiegał obok mnie. Wyglądało na to, że się czegoś bardzo przestraszył.

Granitowy pomnik Tersyposa stanął na centralnym placu Aten. Mestwo tego wspaniałego i nieugiętego żołnierza, jego hart ducha, opiewane były w pieśniach, opisywane w podręcznikach, legendy o nim przekazywane były przez wiele pokoleń. Jego bohaterka śmierć stała się natchnieniem dla malarzy i poetów.

Swego czasu pewien niepokój wzbudziła osoba kpt. Blacka — emerytowanego wojskowego. Szkalował on nieskazitelną postać dzielnego Tersyposa, co nasuwało podejrzenie o kontakty z obcym wywiadem. Wkrótce kapitan poddany został dyskretniej inwigilacji. Problem rozwiązany został przez lekarzy-psychiatrów. Stan kapitana uznano za beznadziejny, a sam kapitan znalazł się w miejscu odosobnionym wśród jemu podobnych „Napoleonów”. Mógł tam wreszcie, nie niepokojony przez nikogo, wygłaszać długie tyrady dotyczące osoby swego byłego podwładnego sierżanta Tersyposa, ale nawet tam nie znalazł zrozumienia. Pacjenci zakładu byli po prostu oburzeni jego przemowami i żądali ścisłej izolacji kapitana. Ich słuszne żądania zostały spełnione, a wielkie imię walecznego Tersyposa przeszło do historii.

1

Spojrzenie znad szachownicy

Prosto od krowy

Przez jakiś czas milczałem roztrębie, grzebiąc się we własnej jałmierz i dociekając, czy też wszystkie ułożone mam w głowie po kolei. No cóż, jakbym miał. Ledwo wróciłem do znajomej Łodzi, ledwo przylazłem do znajomej redakcji, aby na znajomym biurku rozpocząć znajomą kupkę papierków, a z miejsca poczułem się nie tyle może lepiej, co normalniej. A potem, gdy w znajomej stołówce poproszono o potrawę, omamy i halucynacje odstąpiły, jak ręką odjął.

Zastanawiałem się nawet, skąd u mnie te sensacje, które nieporadnie próbowałem opisać w nagłym zrywku urlopu felietonistycznym. Żyjąc w swym czasie — eksperymentalnie, a więc pod nadzorem lekarza, proszę sobie być czego nie myśleć — nie tylko LSD, ale również psylocybina, wyłącza z amerykańskiego grybka o alimim działaniu halucynogennym, no i zmarnowałem tylko cenne specyfiki, nie mi się bowiem nie chciało przywidzieć, nawet rąbiąc w brydża dostarczałem tylko tylko asów, nie ich miałem w kartach.

No i tu takie sensacje, jakieś głupie zwiady i jakieś równie głupie pytania tłukące się po głupiej głowie. Początkowo chciałem to hurtem zwałować na wiek podeszły, bądź na wyższe i niższe, które podczas mojego wywczasu wędrowały sobie pracownie po Polsce, jednak, gdy tak się zmagałem z problemem, nagle naszło mnie oświecenie.

To nie huśtawka baryczna była winna, lecz gnuśne lenistwo, owe wygody i totalna grzeczność, którymi w Domu Pracy Twórczej ZAiKS-u traktowano wszystkich bez wyjątku, nawet mnie, prostego felietonistę! Śniadanie podawane do pokoju, obiad smakowity i do tego ciepły, kolacja szkoda gadać, papier toaletowy gdzie należy, prysznic działa, no, po prostu luksus. Mało kto wytrzyma takie rzeczy, żeby mu się na mózg nie zaczęły rzucać; ja w każdym razie jestem prawie chory, jeżeli nie postoję sobie w kolejce, a gdy przypadkiem dodzwonię się pod jakiś numer, zaraz mówię „przepraszam”, w przekonaniu, że to kolejna pomyłka.

Na szczęście wszystko znów wróciło do normy. Kochani, nie zwariowałem, choć nie wiem, czy jest się zaraz z czego tak cieszyć, bo wariatom jest prawdopodobnie bardzo dobrze na tym najlżejszym z możliwych światów.

Tu musimy jednak uskokczyć w głębszą dygresję. Iżby dać odpór i naświetlić pewien problem.

Otóż z dwóch różnych źródeł doszły mi dwa różne sygnały od PT Czytelników — jeden przychylny, a drugi jakby niezbyt przychylny.

Przychylny pochodził od pewnej wielce miłej pani, która zadzwoniła do mojej żony zapodając, iż rada czyta moje felietony, ponieważ dowiaduje się z pierwszej ręki, co niby u nas słychać. Oszczędną jej to czasu i czasu, tudzież morderstwa się z telefonem, ponieważ ona, ta pani, do telefonu nie ma już zdrowia, podobnie jak i ja zresztą.

Drugi sygnał — przekazany pantoflową pocztą — tyczył niestety zupełnie tego samego, ale komentarz był odmienny. Autobiograficzne wątki poddane

zostały surowej krytyce, eda bowiem może właściwie kogo obchodzić, gdzie, kiedy i po co byłem na urlopie, albo co sądzi, bądź czego nie sądzi na swojej pracownicznej działce?

Czytelnicy zawsze mają rację, ergo obie strony mają rację, a choć rację te zdają się wzajemnie wykluczać, zaraz dokonamy pewnej — brzydkie to słowo — manipulacji.

Miła pani, której przy okazji przesyłałem piękne ukłony, niechże spokojnie czyta te moje teksty, jak i wprzódy czytała, dla niej bowiem jestem całkiem konkretnym Jerzym P., człowiekiem z krwi, kości i zdaje się wody, bo wszyscy głównie z wody jesteśmy ulepiani.

Dla innych jestem pytkiem, drobnią, niewyobrażalnie małą częścią ludzkości, traktujcie mnie tedy tak właśnie — jako tę, za przeproszeniem, cząstkę. A gdyby komuś nadal się nie podobalo, zaserwuję mu fragment wstępu, którym Melchior Wańkowicz poprzedził swoją książeczkę „Prosto od krowy” poświęconą problemom warsztatu dziennikarza.

„Heywood Campbell Brown, autor reportażu autobiograficznego pt. „Antony Comstock”, nagrodzonego pierwszą nagrodą „Literary Guild”, spytany, dlaczego tyle pisze o sobie, odpowiedział, że na ten temat jest największym autorytetem światowym. Ze Proust, na pewno byłby ciekawszym obiektem, ale on mało może o Prouście powiedzieć.”

Otóż tak i ze mną. Ciekawych obiektów jest od licha i trochę, niektóre objęły się nawet po zaprzyjaźnionych redakcjach, ale ja — niestety — mało mogę o nich powiedzieć. Natomiast dość dobrze wiem, jak chodzi kończył szachowy skoczek i tak się jakoś składa, że dobrych parę razy dałem tym skoczkiem prawdziwego mata.

I to jest pewne, to macie z pierwszej ręki, lub — jeśli pozwolę się na Wańkowicza — prosto od krowy.

JERZY P.

2

Lewym okiem

Janusz P. do Janu- sza P. o Januszu P.

„Polityka” opublikowała już kilka listów, w których czytelnicy skarżą się na bezbrodką niedyskrecję niektórych urzędów, naruszającą jedną z konstytucyjnych swobód obywatelskich, a mianowicie tajemnicę korespondencji. W listach podane są jako przykłady wezwania do odcisnięcia alimim, do zgłoszenia się na rozprawę rozwodową czy na dochodzenie odcisnięcia — wysłane jako okwarte druki, które każdy sąsiad, współlokator, listonosz może po prostu odnieść i przeczytać. Sam miałem kiedyś przykrość na skutek tego, że druk adresowany do mnie nie został zabezpieczony, został przeczytany przez „osobę trzecią”.

Sprawa jest ewidentna i żadnej różnicy zdań być tu nie może. Treść listu powinna być

niedostępna dla nikogo poza adresatem i koniecznie. Urzędy muszą otrzymać odpowiednie polecenia, a urzędników należałoby pouczyć — jeśli nie o właściwych orawach, to choćby o dobrych obyczajach. Z analogicznym zjawiskiem spotykamy się ciągle w służbie zdrowia. Wywiad lekarski z pacjentem, przyjęciem do szpitala, odcygnięciem publicznym, wszyscy chorzy siadają na łóżkach i śledzą każde słowo, w drzwiach gromadzą się gapię z innych sal. Pytania dotyczą nieraz spraw bardzo intymnych i można być pewnym, że świadkowie przy najbliższych odwiedzinach krewnych podzielią się z nimi najsmakowitszymi kaskami z historii „tej koło okna” i „tego drugiego z prawej”. Takich lekarskich rozmów przy łóżku przeżważyć nie można unikać, ale na pewno można przeprowadzać je znacznie dyskretniej, po prostu: ciszej.

Przy tym wszystkim, przy całym znieczuleniu na ochronę intymności życia osobistego, dziwić musi fakt, że istnienie rejonu spraw, gdzie dyskretnie została posunięta aż do nieinformowania zainteresowanych o istotnych elementach sprawy. Myślę mianowicie o procesach sądowych. Czytamy na przykład o ważnym, oczekiwany przez całą opinię publiczną procesie takimi wiadomościami: „Michał M. odwołał zażalenie obciążające Michała M. który stwierdził, że Janusz P. nie był obecny w Z. gdy Stefan K. poblił Romana C.” Zgodnie z tą zasadą, o procesie norwimskim, dopóki się toczył, powinniśmy byli czytać: „Po zeznaniach Hermana G. zabrał głos Rudolf H., po czym Alfred K. i Alfred S. zeznawali o wymordowaniu trzech milionów Z. w O.”.

Czytuję trochę prasy zagranicznej i — w ramach zajęć hobbistycznych — dużo prasy sprzecznej wielu lat. Nigdzie i nigdy sprawozdania z procesów nie były i nie są podobne do rebusów. Zresztą zakończony niedawno u nas proces Szczepańskiego też był relacjonowany z mnóstwem nazwisk i ani świadek Edward Gierk nie był nazywany Edwardem G., ani nawet oskarżonego nie ukrywano pod inicjałami imienia i nazwiska. Skąd więc nagle ta komiczna przebiegłość, przypominająca „Czarne Maski” cyrkowych zapaśników? Czy tak właśnie będzie realizowana ustawa prasowa? Anonimowi oskarżenia, anonimowi świadkowie — tylko sędzia i matka ofiary wymieniani z nazwiska?

Dobrze jeszcze, że pod tym wszystkim podpisał się imieniem i nazwiskiem dziennikarz, z którego biorę wzór i kreślę się niniejszym —

WŁODZIMIERZ
KRZEMIŃSKI

3

Hannibal ante portas

Śloneczna pogoda, soczysta wiosenna zieleni wyciąga na łono natury. Komu starczy benzyny gna za miasto, do lasu, na działkę, po zdrowie, odetchnąć świeżym powietrzem. I bardzo dobrze! Tyle że po sobotnio-niedzielnym eskapadach uroczyste zakątki zmieniają się w śmietniska, pełne butelek, potłuczonego szkła, puszek od konserw, plastikowych opakowań, papierów, niedopałków... „Cy-

wilizacja” przy naszej wydatnej pomocy wszędzie wyciska swoje piętno. Ciągłymi jak za sobą nawet tam, gdzie szukamy od niej ucieczki! Jesteśmy zakłamanymi, beznymi.

Opowiadał mi przyjaciel, iż do pięknych lasów okalających Hutę Dłutowską, leżącą osiem kilometrów za Pabianicami, wycieczkowiec najchętniej wędruje samochodami. Całe rodziny rozsiadają się wygodnie przy rozkreconych jak tylko można najgłośniejszych turystycznych telewizorach, radiach. Dzieciaki bawią się w chowanego, wrzeszczą, łamią gałęzie. Pieski oszalałe z radości, oszołomione wolnością, uganiają się za leśną zwierzyną.

Najgorsze zaczęło się od działek. Drewniane domki, altanki, barakowoz, mrowane kłitki zaczęły tu wyrastać jak grzyby po deszczu. Zresztą nie tylko tutaj. Wiadomo, już od dłuższego czasu, że dacie są w modzie. Każdy kto dysponował gotówką kupował kawałek ziemi i budował tak, aby z daleka na pierwszy rzut oka można było poznać zasobność portfela posiadacza. Najmniejszych są te 2-3 arowe, gdzie na połowie stoi dom, reszta gruntu wylana jest przemysłową pianiną betonowych i asfaltowych ścieżek.

W Hucie ruch na działkach na dobre zaczyna się latem. Okoliczni rolnicy narzekają; dzieciarnia niszczy im plony, ktoś wykopuje ziemniaki. Nocami nie ma spokoju. Z domków rozbrzmiewają głosy, wesolych alkoholistów rozrywki. Nad wszystkim góruje ujadanie psów. Czasem w środek lasu przemkną eleganckie „Polonez” lub „Mercedes”. Za kierownicą widać podtatulskiego pana, obok młoda dziewczyna. To nie troskliwy ojciec wiezie córeczkę, aby odetchnęła pełną pierś. Dzisiaj siedemnastoletnia, dwudziestoletnia pannice wola podziwiać piękno natury w towarzystwie odców rówieśnic. Zresztą nie o gustach i zwyczajach naszych pańienek chce pisać, tylko o lesie, który ginie zatrutywany spalaniem, o leśnych zwierzętach, co jeszcze niedawno żył, a teraz wiośna wychodziła na jego skraj — o sarnach, zającach, bażantach. Teraz wystraszony ukrył się gdzieś w gębi.

Wszystkie lasy podlódzkie — Sokolniki, Grotniki, Łagiewniki traktowane są podobnie. Niech nie tylko ktoś spróbuje zwrócić uwagę samochodziarzi: — A co, pana las? — warczy nieprzyjaźnie zła kierownicy. Dwie jaskrawo wymalowane panienki wiadomej profesji chichoczą radośnie. — Jestem urzędniczką państwową, las też państwowym, wszystko zatem w najzupełniejszym porządku.

Mają nawyczki! Większość, zanim przesiadła się do samochodu, pieszo i rowerami wędrowała trawniki. Teraz w ośmiu pod oknami trzymają swoje łóżeczka „cacka”. Tarasują się, przebiegają, plac zabaw. Zdarza się, że przemkną tak chodnikiem wśród bloków... Boże broń, żeby ktoś podniósł rękę na ich własność! Państwowo, to co innego! W słownych starciach z piechurami są ważni i odważni. Obywatel z samochodem jest lepszy od reszty społeczeństwa. To też trzymają je nawet tacy, których nie stać. Każdy chce posiadać przedmiot, który go nobilituje w oczach rodziny, sąsiadów, znajomych. Nawet koszt standardu, zdrowia — nie je, ale kupi — nie mówiąc już o kinie czy teatrze, oszczędza nawet na mydle, proszku do prania.

Opowiadał mi przyjaciel, że do „Syrenki” jego sąsiada rodzina wśladała zawsze w mieśkich „papuciach”. Raz zabrał go na wycieczkę, ponieważ tęciowa czuła się źle i było wolne miejsce w samochodzie. Nieste ich niedzielnego wypoczynku nie dbali tak, jak o swój pojazd! Śmietnikiem nazwał to, co zamierzali zostawić — to mało — to było pobojowisko, wysypisko nieczystości!

Wkrótce „samochodziarze” jadą na urlopy. Najlepiej byłoby w ogóle nie wysiadać z pojazdu, wjechać wprost do morza, na szczyt góry, żeby „pieszczoszki” zachowały się tak, jak motorówka, helikopter...

Są przepisy regulujące korzystanie z pojazdów spalinywych. Niestety strażnicy ochrony przyrody, służba leśna nie mogą dać sobie rady z samochodową in-

wazją. Jest ich po pierwsze za mało! Najgorsze, że perswazja, pouczenia, nawet mandaty mijają się z celem. Oni nie dadzą za wygraną, wiedzą o swojej liczebnej przewadze. Będą opalać się na wydmach, aby mieć na oku swoje „cacka”, palić ogniska w niedozwolonych miejscach, wrzucać butelki do wody, myć swoje ukochane pojazdy w rzekach, jeziorach...

Jesteśmy narodem dziwnie lekkomyślnym. Wszyscy dookoła zastanawiają się, jak ratować naturalne środowisko, chronić lasy. My owszem, chętnie słuchamy o frapującej walce ze szkodnikami. W telewizji nawet z zainteresowaniem obejrzymy przemysłowe sposoby ich zwalczania, ale rano w niedzielę samochodem w las. Cóż tam, jeden „maleńki Flacik” uszczerbku nie uczyni. Mamy przecież prawo do solidnego wypoczynku i państwowy przydział benzyny. Zatem, szerokiej drogi!

MŚCIWÓJ ZASADNY

4

Sport

Korona RTS Widzew

Na asfalcie przed moim blokiem jacyś bardzo młodzi kibice napisali kredą: „RTS Widzew Łódź — król”. W innym miejscu na koszu do śmieci tylko napis: „RTS”, ale nad tymi trzema literami narysowano starannie koronę. Miłoścy do Widzewa jest duża, ale nie powszechna. Są przecież zaprzysiężeni kibice ŁKS. Jeden z nich wyznał szczerze, że jego wielkim marzeniem jest, aby... „Widzew spadł do drugiej ligi”, ale — jak do tej pory — bar dziej grozi to ŁKS niż Widzewowi. Jeden mój znajomy rozmarzył się: — „Jakby to było pięknie, gdyby końcową tabelę i ligi otwierała jedna łódzka drużyna, Widzew, a zamykała druga, ŁKS”. Ale rzeczywistość skorygowała to marzenie. ŁKS apisał się w roli „czerwonej latarni” ligowej tabeli. Widzew natomiast przywdział tylko koronę wicekróla. Podobnie zresztą jak rok temu. Zabrakło jednego punktu.

Wojciech Łazarek, po ostatnim meczu ligowej kolejki, powiedział, że to nie przypadek. Prawda to. Przed dwoma laty poznański Lech zdobył Puchar Polski, przed rokiem mistrzostwo Polski, w tym roku ponownie mistrzostwo i awans do finału Pucharu Polski. Jak się uprą, to mogą jeszcze i ten Puchar zdobyć. A poznaniacy bywają uparci. Niech im tam będzie.

Kibic łatwo ulega emocjom i często marzenia przesłaniają mu rzeczywistość. Ale kibic powinien wiedzieć, że na przykład poznański Lech wygrał 19 meczów, 4 zremisował i 7 przegrał. A Widzew? Otóż Widzew wygrał 15 meczów, 12 zremisował i 3 przegrał. Więc jednak, jak się patrzy na cały sezon, to Lech był lepszy. W Widzewie chyba z tego wyciągnąć właściwe wnioski.

Gdyby tak w ogóle PZPN zechciał wyciągnąć właściwe wnioski z naszej ligi. Bo jeśli Włodzimierz Ciolek z 14 bramkami został królem strzelców, to bardzo źle jest z napastni-

kami w naszej pierwszej lidze. Włodzimierz Smolarek dopiero wrócił na pozycję skrzydłowego strzebi 4 bramki w jednym meczu. Dobrze, że ten eksperyment z przesuwaniem piłkarza z pozycji na pozycję już się skończył. Zawiodł też Dariusz Dziekanowski, a tak na niego liczone.

W PZPN muszą się zastanowić, co się dzieje z młodymi, zdolnymi piłkarzami, którzy dobrze zapowiadają się jako juniorzy, a zle kończą jako seniorzy. Gdzie tkwi błąd? Oto do ZSRR pojechali nasi juniorzy bez nadziei, a tu wrócili — niespodziewanie — z brązowym medalem. Czy to znaczy, że umiemy szkolić juniorów, którzy później demoralizują się wśród seniorów?

Trener juniorów Mieczysław Broniszewski miał w Moskwie i Kijowie do dyspozycji 5 napastników i umiejętnie ich wykorzystwał. Radzieccy specjaliści, a i dziennikarze byli zachwyceni grą polskich juniorów. Mówiono, że grają jak polska reprezentacja w Monachium w 1974 roku, czyli za czasów Kazimierza Górskiego, co jest już wysoką formą uznania. Mieczysław Broniszewski przyjął bowiem styl gry ofensywny: atak od gwizdka do gwizdka. I chłopcy jakby wytrzymał. Nie żałują tego. Tylko, co będzie z nimi dalej?

Dariusz Marciniak jest z Widzewa. Przyjdzie mu walczyć się w walce o miejsce w pierwszej drużynie z Dariuszem Dziekanowskim. Kiedy to się stanie? Czy wielkie pieniądze, jakie klub dał za Dziekanowskiego nie osłabia szans walki Marciniakowi? Tomasz Cebula zagrał już pełny mecz w zespole Legii z zabrzańskim Górnikiem i grał przez pewien czas w meczu z Widzewem. Niekiedy nawet się ucieszyli, że nie będzie to kolejny zmarowany talent.

Kibic może usiąść nad tym wszystkim i zastanowić się, jak to jest, że zespół juniorów dysponuje aż 5 napastnikami, a w drużynach ligowych nie ma kto strzelać? Co się z tymi napastnikami dzieje? Dlaczego młodzi mają tak trudną drogę do klubowej kadry? Kibic może oczekiwać, że na te pytania odpowie PZPN. Ale kibic nie bardzo ma czas teraz się zastanawiać, bo całe godziny spędza przed telewizorem śledząc losy mistrzowskich drużyn Europy. Przelatują telewizor z drugiego na pierwszy program i dziwuje się.

Był taki dzień — miniona sobota — gdy padło w dwu meczach aż 10 bramek. Czy to się powtórzy? Wątpię. Ale rzecz nie w tym. Pewnie, że przyjemnie jest oglądać jak padają bramki, szczególnie że strzelają je nie naszej drużyny, bo nas we Francji na mistrzostwach Europy nie ma. Tylko że Francuzi grali z Belgią jakby ze statystami. Belgowie coś nie byli w sosie tego dnia i dali sobie strzelić tyle goli, ile Francuzi byli w stanie. No, gdyby nie belgijski bramkarz, byłoby tych goli więcej. Nie zdobyli nawet honorowej bramki. Był to ciekawy mecz, ale walka nie była równa. Jeszcze ciekawszy mecz był później, gdy Duńczycy wkopali Jugosławii tyleż samo, bo 5 bramek, sami nie tracąc. Dalsza walka w tej grupie zapowiada się niebywale interesująco.

Ale grali też piłkarze RFN z Portugalczykami. Bramek nie było, ale mecz był wielce interesujący, gra była szybka, ładna. Przyjemnie to się oglądało, pamiętając, że Portugalczyków jakbyśmy nieco lekceważyli. Tylko że we Francji oni grali a nie my. Zresztą Duńczyców też lubimy lekceważyć. Kogo to my nie lubimy lekceważyć. I sprawozdawcy telewizyjni wybrzydzali, że mecz nieładny, że bez bramek. A trzeba pamiętać, że drużyna RFN zawsze tak zaczyna, od remisu, bo to jest turniej i nigdy nie wiadomo, co ją jeszcze czeka.

Dalszy ciąg mistrzowskiego turnieju zaczyna zapowiadać się interesująco.

BOGDA MADEJ

Honor mężczyzny

Cóż z tego, że tak wysoką notę na zaocznych studiach otrzymała jej praca magisterska o tym, że ognisko przedszkolne na wsi zrównuje start życiowy dzieci miejskich i wiejskich — jeśli ostatnio wciąż jej się trafiały w przedszkolu i w pierwszych klasach dzieci z Horazem osiemnastolat, a nie dziewięćdziesiąt lub sto. Tytuł mądrych i uczonych ludzi na świecie różna zachwycające wynalazki robiło, a przecież jakoś nie było słyhać, aby ktoś potrafił wynaleźć pigułkę lub zastrzyk, które pozwoliłyby, na przykład, o kolejnych dzieci młodego Galebki, w Ziętków, Jarosław albo Stasiaków podnieść iloraz inteligencji. Stasiakowa mówiła „hrum-brum-brum”, jej dzieci także mówiły „hrum-brum-brum”. Pani Halinka umiała odróżnić jedno „hrum-brum-brum” od innego „hrum-brum-brum”, bo jedno wyrażało zadowolenie, a drugie niezadowolenie. Ale nie był w stanie tego pojąć wizyta-
tor z kuratorium i skrzywił ją za owo „hrum-brum-brum”, twierdząc, że inne dzieci w klasie zarabiają się od tamtych dziwną mową i wszystkie zaczynają „hrum-brum-brum”, czyli tamte powinny zostać odizolowane w specjalnych szkołach w mieście. A czy było winą pani Halinki, że na wysłanie dzieci do szkoły specjalnej trzeba zgody rodziców, a Stasiakowa nie wyrażała takiej zgody, ponieważ, jak twierdziła, tak kocha swoje dzieci, że się z nimi rozstać nie potrafi, a także, że za dzieci w szkole specjalnej trzeba coś zapłacić, piżamę i ubranie kupić, w Skirolawkach zaś uczą się za darmo i mają blisko do szkoły. „Hrum-brum-brum” Stasiakowej brzmiało zdecydowanie i odmownie, tedy w klasach musiało być nadal tak jak było, coraz więcej dzieci mówiło „hrum-brum-brum”, bo im się to bardziej podobało od ludzkiej mowy. W rezultacie dzieci zdolniejsze jak i mniej zdolne niewiele się od siebie odróżniały. „Hrum-brum-brum” powoli zwyciężało w całej szkole, we wszystkich klasach. Zaiste, być może miał rację pisarz Lubliński, który przybył do Skirolawek wierząc, że u ludzi prostych znajduje odwieczne prawdy i nauki moralne, ale gdy wzgardzona została przez prosty lud jego szlachetna idea budowy wiaty, głosił za-
czę, że w dobie, gdy każdy ma szeroki dostęp do nauki i do coraz wyższych kwalifikacji, człowiek prosty to taki osobnik, który ma iloraz inteligencji osiemnastolat. Uczył się u niego praw odwiecznych albo nauk moralnych, to jest to samo, co żądać od konia, aby rozwiązał równanie z dwoma niewiadomymi. A kiedy nie szła mu praca nad powieścią zbrojną, miał kartki i rzucając je po kątach swojej pracowni głosił pani Basienię, że i tak nie warto nie dobrego pisać, ponieważ wkrótce nie tylko w szkole i w sklepie w Skirolawkach, ale na całym świecie rozlegać się będzie samo „hrum-brum-brum”, a on w tej dziwnej mowie tworzyć nie potrafi. Zupelnie zaś stracił Lubliński serce do prostego ludu, gdy w chwili dobrego humoru zaraził cię-
ciela Sewruka swoją miłością do „Pism semantycznych” Gottloba Frege i kilka stron z tej książki mu przeczytał. Cięcia zaś z wielkim uznaniem odniósł się do wywodów zawartych w książce powiedział, że przypominała mu owe „hrum-brum-brum” Stasiakowej, tyle że wypowiedziane w innej mowie. On, cięcia Sewruk bardziej rozumie „hrum-brum-brum” Stasiakowej, niż „hrum-brum-brum” Gottloba Frege.

Zatrzymała się w drodze do lasu pani Halinka, popatrzyła na

odlatujące łabędzie, i zaczęła się jej w oczach i poprzec nie,

jak przez drobniutkie szkiełka, łabędzie stały się nikiennymi za

horyzontem białymi smugami. A gdy wierzchem dłoni otarła

z oczu, ujrziała, że znajduje się w pobliżu domu malarza

Porwasa, który — mimo że dzień był pochmurny i chłodny —

rozebrany do pasa, mył na podwórku swój stary samochód.

— Hej! Hej! — słabym głosem zawołała ku niemu.

— Hej! Hej! — odpowiedział głośno malarz i radośnie poma-

chał ręką.

Poszła dalej pani Halinka, minęła dom Porwasa, ale o sto lub

dwadzieścia kroków dalej coś ją tknęło, stanęła raptownie, obejrzała

się za siebie i poprzec i, które znowu napłynęły do jej oczu

i stały się podobne do drobniutkich, w oddali zobaczyła Porwa-

sa — to małego, to dużego, to kurczącego się, to znowu

wydukałego, lecz wciąż tego samego, z którym wyhodowała

„Kocham go” — pomyślała. Pragnęła, aby ta myśl

przeraziła ją w jakiś sposób, zmusiła do dalszego marszu, do u-

ciekłości w kierunku domu. Zamiast strachu jednak poczuła w so-

bie wielką błogość a nawet radość. Znowu otarła i wierzchem

dłoni i przez długą chwilę miłośnie patrzyła na malarza uwija-

jącego się przy samochodzie. Chciała być z nim lub obok niego,

połaskać go po zmierzwiłonych włosach na głowie, przesunąć

palcami po brzuchu wkleśniętym od ciągłego niedojadania.

Przez cały rok, biedaczek, chodził w tej samej brudnej czarnej

koszuli — pomyślała o nim z tliłością. — Nadchodzi zima, a on

nie ma ani kawałka suchego drewna i będzie mu zimno”. I

adumiała się, że to, co złości i frytuje ją u męża, Turleja, budzi

w niej tliłość i miłość do Porwasa. Jakże przewrotnym uczu-

ciem była więc owa miłość — tylekroć opisywana przez różnych

ludzi, a przecież wciąż dla każdego człowieka kryła jakąś za-

gadkę i tajemnicę. „Kocham go” — sześć lat temu w ten spo-

sób pomyślała o Turleju i była pełna tliłości, spoglądając na

jego brudne, znoszone koszule, mijając jego marzycielsko i

nieszaradność. Zaraz po ślubie, bez skargi dźwigała do leśniczów-

ki oblodzone kłody drewna, które łupała siekierą z obłuzowanymi

styliskiem. Czemu więc przestała go kochać i raptem pokochała

człowieka pod pewnymi względami tak podobnego do tamtego?

Którego roku, miesiąc, tygodnia, a także o której godzinie

przestała kochać Turleja, a zaczęła kochać Porwasa? Może kre-

sztą był to proces długotrwały, powolny, trwający miesiącami,

tygodniami, jak drążenie kamienia — kropka po kropki. I kogo o

to zapytać, od kogo usłyszeć odpowiedź?

Wsparta się pani Halinka plecami o brzozę rosnącą na pobo-

czu drogi i wspominać zaczęła swoje życie z leśniczym Turlejem

— rok po roku, miesiąc po miesiacu. Najpierw, jak sobie przy-

pomniała, było przypadkowe spotkanie grupy wędrujących har-

cerek-lisalistek z samotnym młodym leśniczym, który udzielił

im gościny w swojej ogromnej stodole. Wszystkim dziewczętom

wydał się on tajemniczym niby głębie przepastnego lasu. Za-

zdrościły Halince koleżanki, że na nią jedną zwrócić uwagę i

potem listy do niej pisywał — porównując i romantyczne jakby

głos z matecznika leśnego. Dla Halinki pachniały te listy leśnym

igłiem, budziły przedziwne tęsknoty i nadzieje. Aż zrobiwszy

maturę (choć jej rodzice uczyli się dalej doradzali) na skrzyd-

łach owych tęsknot i nadziei ku owej samotnej leśniczówce po-

zyskowała. Wzięła ślub z inżynierem Turlejem, oskrobała kuszą-

cą się starą farbą ściany mieszkania, wymalowała pokoje, u-

myła okna, drzwi i podłogi, a nic jej nie było za ciężkie, nie się

nie wydawało ponad dziewczęce siły. Ani to nawet nie było zia-

ła, że jej nie pomagał gotować dom do małżeńskie życie, tylko

szedł ze strzelbą do lasu. Jesienią i zimą dźwigała oblodzone kło-

ca, byle grzać się przy ogniu w piecu i ogniu miłości. Praca mu

koszule, namawiała męża do częstszej zmiany podkoszulków i

kalosionów. Turleju wciąż pachniał dla niej leśnym igłiem i

wabił tajemną głębią leśnych mateczników. Urodziła mu po roku

niewielkiego chłopca i tu chyba w tym to czasie, pewna niedogod-

ność się okazała. Dziecku trzeba było prać pieluchy, a woda za-

marzała w kranach i kanalizacja przestała działać. Trudniej też

było pani Halince dźwigać z lasu oblodzone kłody, rabać je sie-

kierą z obłuzowanymi styliskiem. Tak, to chyba wtedy zaczęły się

pierwsze niesnaski, bo co innego grzać się przy ogniu miłości, a

co innego ogrzać małe dziecko. Naonczas zabrakło nauczycielki

w Skirolawkach, a że pani Halinka była w włosce jedyną ko-

biętą z maturą i chętną do nauczania dzieci, przyjęto ją do pra-

cy w szkole, pod warunkiem, że na studia zaoczne pójdzie — co

się też stało. Wtedy to po raz pierwszy dziecko odwoziła do

matki na Śląsk. Studiowała cztery lata, magisterski egzamin zło-

żyła, kierowniczką szkoły została. Dziecko jedynie na lato do le-

śniczówki zabierała, choć to miało być zawsze po raz ostatni, po-

niem Turleju obiecywał, że przed zimą dużo nagromadzi su-

chych drewn, rury wodociągowe i kanalizacyjne starannie tro-

ciła, kierowniczką szkoły została. Dziecko jedynie na lato do le-

śniczówki zabierała, choć to miało być zawsze po raz ostatni, po-

niem Turleju obiecywał, że przed zimą dużo nagromadzi su-

chych drewn, rury wodociągowe i kanalizacyjne starannie tro-

ciła, kierowniczką szkoły została. Dziecko jedynie na lato do le-

śniczówki zabierała, choć to miało być zawsze po raz ostatni, po-

niem Turleju obiecywał, że przed zimą dużo nagromadzi su-

chych drewn, rury wodociągowe i kanalizacyjne starannie tro-



Rys. Janusz Szymański-Głanc

c.d.n.